

Spotkania literackie
Tom piąty
Nowy Targ 2009

Spis treści

Zamiast wstępu	
Małgorzata Bucior	
*** (życie to nie happy end...)	
Dla pielgrzyma	
Femme fatale	
*** (Jestem pustostanem...)	
Koniec i początek	
*** (Kropla dziegciu...)	
Listki	
Nienawiść, nawiść	
Noc	
Panna Nikt	
Pociąg do dobra i zła	
Reanimacja duszy	
*** (Rozbieraj mnie...)	
Szczęście ty moje!	
*** (Świetlikom pousychały skrzydła...)	
*** (Tkwiłam...)	
To co ważne	
*** (Tramwajowy...)	
*** (W bezkresie...)	
*** (W krwiobiegu dni...)	
*** (W melinach blokowisk...)	
*** (Wodospad Sikława...)	
Życie na poczekaniu	
*** (Życie to czarno-biały film...)	
Jacek Cikowski	
Werona	
Czterolistna koniczyna	
Dobre wiadomości	
Kwiaty	
Nie zapisane	
Piękno	
*** (Słońce...)	
Maria Giłka	
Wymuszony kamuflaż	
Nie zawsze do pary	
Kalina Gruca	
Ciało – broń doskonała (fragmenty)	
*** (Poezja jest krucha...)	
Do Itaki	
*** (Itaka jest taka pusta...)	
Niebiańska zabawa w chowanego	
Penelopa tęskni	
*** (Przeżywam chwile...)	
*** (Usypuję kopiec...)	
Wiara czyni cuda	

Krzysztof Kokot	
Daj mi talent	
Leprosus	
Kto stanął na górze	
Sielanka	
Mazowiecka nuta	
Nagietkowe pole	
Anna Kram	
Motyl	
Dom	
Małgorzata Kranc	
Dziękuję.....	
Chmury.....	
Dlaczego?	
Narodziny radości	
Resztki nadziei	
Szum	
Piątka z krainy wyobraźni	
Magdalena Mrugała	
Dworzec główny	
*** (Twoja twarz...)	
*** (Deszczowa pora...)	
Edgar	
Andrzej Pietraszkiewicz	
Z sierpniem	
Słowa jak liście.....	
Żeby tak	
Klan klonów	
Dwupak dla dwojga	
Ostra laska z trzeciorzędu	
Maciej Pinkwart	
Przewodnik	
Prekursor	
Przeprowadzka	
Renata Piżanowska-Zarytkiewicz	
Ucieczka	
Autoportret	
Cienie	
Czerwone wino	
Liść kasztanu	
Może dzisiaj	
Nasza miłość	
Brzoza	
Nieokreślone	
Podróż do Sochaczewa drogą morską	
Potem	
Taniec	
Twoje ramiona	
Umieranie	
Frasobliwy	

Modlitwa	
Waria(tka)cja uliczna	
Moja wolność	
Pusta szafa	
Miłość z gazety	
Na drewnianym koniku	
Spotkania	
Promenada snów	
Elżbieta Plewa	
Pokochaj mojego syna	
Metamorfoza	
Karol Skiba	
Białe bizona	
Biegnący błazen	
Być iskrą	
Co dnia	
Cukierek	
Drzew szeleście	
Dzieci z plastiku	
Gdy daleko	
Ja ciebie ty mnie	
Los poety	
Mechatnik	
Miska cukierków	
Na parapetach	
Niebieskie okulary	
Nocny taniec	
Pani zza baru	
Poczwarka	
Polowanie na mola	
Prosty system	
Skrzypiące oko	
Społecznicy	
Stado	
Świat i ty	
Umrzeć raz	
W górach	
W pokoju bez drzwi	
W słoiku	
Wychowanie społeczne	
Zawsze z boku	
Mariola Socha	
Ulica Skromna	
Dublińska opowieść	
Dwie części	
Moja życiowa przestrzeń – Myspace	
Spotkanie	

Zamiast wstępu

Piąty tom „Spotkań literackich” zamierza pokazać Czytelnikom bieżący dorobek autorów, czyli utwory powstałe na cotygodniowych warsztatach literackich, odbywających się w nowotarskim Miejskim Ośrodku Kultury, jak i odzwierciedlić drogę artystyczną, jaką przeszli ci z nich, których dzieła trafiają do Czytelników po raz kolejny – w kilku przypadkach już po raz piąty. Ta droga jest niekiedy imponująca. Nie twierdzę, że osoby te zdobyły większe umiejętności w trakcie naszych zajęć, choć wykluczyć tego nie można. Przede wszystkim jednak nabrały odwagi i większej wiary w siebie, a to są cechy osób twórczych. Mają one zwykle coś ciekawego do powiedzenia i potrafią to coś odpowiednio nazwać. A zarazem spoglądają na świat pod własnym, osobistym kątem, nie dając się prowadzić na smyczy powszechnych sądów opinii publicznej i tzw. jedynie słusznych poglądów. Na szczęście, twórcy V tomu tym razem stronili od bieżących spraw politycznych, obracając się w sferze własnych fantazji, ocen i emocji – w zasadzie dystans do bieżących połażanek jest warunkiem prawdziwie niezależnej twórczości.

Kilkunastu autorów piątych „Spotkań” to w większości „weterani”, osoby, których twórczość obserwujemy już od lat – jedynie dwie osoby w tym roku debiutują. Większość autorów jest z Nowego Targu, choć niektórzy czasowo przebywają poza „miastem”. Tradycyjnie gościmy na łamach także Kalinę Grucę z Toporzyska koło Jordanowa i Mariolę Sochę z Łodzi, które od lat współpracują z nami korespondencyjnie. Tematyka i forma prezentowanych prac jest dowolna, choć ilościowo przeważa proza, tym razem beletrystyczna – wspomnień i materiałów historycznych w zasadzie nie ma. Prace prezentujemy w porządku alfabetycznym nazwisk autorów.

Wiosennymi ukłonami dziękujemy Dyrekcji Miejskiego Ośrodka Kultury w Nowym Targu za otoczenie nas opieką i wydanie niniejszego tomu. Pięć lat to za mało na jubileusz i jakieś próby podsumowania – to ostatnie, mam nadzieję, będzie kiedyś dokonane przez Czytelników. Autor tych słów pragnie wyrazić tutaj jedynie podziękowanie wszystkim tym, z którymi przez te pięć lat miał zaszczyt współpracować i życzy im wielu pięknych doznań artystycznych w dalszych latach życia i twórczości.

Maciej Pinkwart
Nowy Targ, kwiecień 2009

Małgorzata Bucior

*Leonard Cohen, Mnich spragniony miłości:
Ogolilem głowę
Przywdziałem habit, sypiam w kącie chaty
Na wysokości dwóch tysięcy metrów
Ponuro tu
Jedyne czego nie potrzebuję
To grzebień*

*Exupery:
Kochać – to patrzeć w tym samym kierunku*

życie to nie happy end ani nawet teatr
to nie słońce nie deszcz nie Bollywood
to skrawki obierki podane na złotych talerzach
to tkanina pocerowana uczuciami
puzzle które tworzą całość jak tort mający wiele warstw
i wreszcie jak cebula
czym więcej stawiasz się życiu
ono da ci kuksańca w bok
życie to awantury i błahe sprzeczki
to codzienny trud spracowanych rąk
to gesty słowa radości i smutki
bynajmniej bez słodyczy
skorupki ostracyzm to co dzieli
gdy masz cały świat to pragniesz kosmosu wszechświata galaktyk
pieniądz to luksus stawiasz go na piedestale
ten co nie ma jest nikim dla ciebie
usuniesz go z pierwszego miejsca gdy spotka cię na zakręcie koleżanka kostucha.

Dla pielgrzyma

zamknij oczy przechodniu
otwórz serce pielgrzymie,
oczy niech ci się świecą,
jak u kota,
postaw je w słup,
niech patrzą obłąkane,
tęsknią za rajem utraconym,
uszy stul pod siebie
niech będą głuche,
niech odpoczywają
w skrzydłach wiatru,
usta daj mi do całowania
scałuję cały twój smutek,
przechodniu,
opowiem ci o starej jabłonce pielgrzymie,
o tej co już jabłek nie rodzi,
co rośnie na zakręcie ulicy Niczyjej, chodźmy na czaty,
pobuszować wśród stęchniałych liści,
usypmy duży kopiec dla ciebie dla niego dla mnie.

Femme fatale

Kiedyś był chłopo-robotnik
przodowniczka pracy

potem tylko kobieta pracująca
baba-chłop
dzisiaj jest supermenka
twarda jak stal
to ona dźwiga ciężary
naprawia pralkę
wbija gwoździe
mówią że jest odporna na ból

to czemu słaba płeć
krucha jak piórko na wietrze
potrafi ścinać drzewa
budować domy i mosty między ludźmi
potrafi projektować świat
nosi spodnie
pali dzointy
pije łyski
mówią to koniec świata baby światem rządzą

więc czemu twarz ma pokrytą chustką
za zdradę płaci głową
jest niewolnicą i ma służyć panu
facet może sprawić że staje się zabawką w jego rękach
czemu musi sprzedać się by przeżyć
upokorzyć by nakarmić dzieci
równouprawienie przenigdy

niech role się mieszają
świat normalnieje
bo bycie kobietą to świadomość swej wartości do końca.

Jestem pustostanem
zamieszkałym przez kuny i bezdomnych
jak w aparacie rentgenowskim widać
moją pokręconą od osteoporozy duszę
potrzebuję szybkiej reanimacji i rehabilitacji
afirmacji jutra
nie dzisiaj
chcę być pyłkiem kwiatu
bardziej swobodnym i bezinteresownym niż ptaki na wietrze
tak bezwolnym i szczerym jak pan Brodac
karmiący gołębie mianą

Poceruj mi serce poszarpane
wyprasuj struny osierdzia
wypierz moje smutki w mydlinach radości

Nie lubię kwiatów w doniczce są biedne bo zależne od ludzi
najbardziej wolne są te polne kaczeńce i maki

Prometeuszu daj mi płomień nadziei
troszkę ciepła
nie będę szarpać ci wątroby
przecież wiesz że piję tylko mleko i to kwaśne
zamieszajcie chochliki w kotle trochę smoły
może ulepimy z niej nowe życie
na krańcach samotności palec Adama Michała Anioła wskaże ci drogę

Koniec i początek

Zacznijmy od końca, nie wiem co prym wie dzie jajko czy kura?
Czy odcisk stopy? Czy dłonie na skale odbite?
Na końcu czasów stworzy się człowieka z kawałka włosa, mając DNA.
Czy koniec to światło w ciemnym tunelu, zapach babci - ona lubiła „Być może”.
Początek to jedna komórka, która dzieli się na milion innych.
Poruszyciel pchający dzieje świata wciąż do przodu.
Dziecko, które myśli, że jest pępkiem świata.
Koniec to wyrok śmierci lub nieprzemyślany skok na głowę.
Czy koniec istnieje?

Kropla dziegciu wystarczy, aby unicestwić życie w zarodku.
Plany,
aspiracje,
jeden fałszywy ruch i pozostaje zadra, pustka- niby pustać.
Pęd w stronę słońca,
nie narodzisz się na nowo jak drzewo - wiosną.
Przekleństwem jasnowidza są jego sny na jawie.
Żyj chwilą, która trwa, nie jesteś niezniszczalny!
Popatrz na ptaki, co tańcem zdobywają to, co dla nich cenne!
Świat jest kolorowy, choć wolę starą fotografię pradziadka.

Listki

Leszczyno dziewczyno krasnolice
listki wypuszczasz jak młoda panna pokwitająca
jeszcze słońce nie wzięło cię w swoje ramiona
jeszcze nie pieszczą twych lic jego promyki
a już czuję, że w tobie soki pulsują
aż chce się żyć
powstać z gliny
otrzepać proch z butów

zapalić fajkę pokoju z przyjacielem kretem
i z pszczołką napić się miodówki

Nienawiść, nawiść

Trzeba znienawidzić życie, by móc je pokochać ze zdwojoną siłą,
i choć cierpienie odbiera ci głos,
głucho i niemo,
wysycha gardło,
zęby zaciskasz, i wydajesz niemy krzyk duszy,
zadra, drzazga, jak szpila,
ból egzystencjalny,
credo już nie ma znaczenia,
odszedł,
telefon milczy, skasowane wiadomości

pustka, bezimienna
non omnis moriar - mentalna huśtawka,
czy to ty?
Wnętrze krzyczy z bólu,
aparat w niebycie,
głucha cisza,
ja nie wbiję szpilki,
laleczka chucky - to banał.
Pozostanę sam na sam z pretensją?
Dlaczego ty nie ja?
Odpływam.

Noc

najważniejszy moment
Palestyna
Betlejem
zimno
mroźno
Gwiazda rozbłysła na niebie
w ciemności
jasność
Dziecię kwili
Matka Boska
tuli je w ramiona
biedni
prości
pastuszkowie
niosą z dobrą nowiną
dary z natury wzięte
Czekanie to ciągła przemiana

Dawanie to twoje ręce,
ofiarowane Bogu w podzięcie.

Panna Nikt

- Puk!
- Puk!
- Kto tam?
- Nikt - Mamo!

Podsumowanie
Panna Nikt
lat 28
puszysta
Dama z łasiczką
optymistka

Tu leży Panna Nikt
tożsamość nieznana
pochodzenie też
podobno lubiła ludzi
kwiaty i zwierzęta
Zabita przez pędzące konie
poetka neurotyczka z charyzmą.
- Ciemność
- Widzę ciemność
- Wejdz
- Zapraszam
- Na małą czarną i papierosa.

Pociąg do dobra i zła

Tolerancja to nasz chory substytut życzliwości!
Ciągnie nas na różne strony,
przybieramy maski i chwiejemy się,
jak osika na wietrze.
Stąpamy na linie bez zabezpieczeń,
kiedy wartość ludzkiego życia przelicza się na drobne.
Mamona kusi, jak cyrkonia w dniu ślubu,
przecież lepiej dać sójkę w bok,
niż być nawigatorem niewidomego.
Piękni inaczej, tak zwiesz ludzi,
a sam jesteś karłem moralnym.
Na przekór światu podstawiasz nogę,
by móc się wspinać wyżej i wyżej,
aż na sam szczyt.
W życiu jednak przychodzi moment,
że trzeba wypełnić pustkę,

wyrwę moralną!
Zaczyna brakować uśmiechu przyjaciela
i psa, który cieszy się na widok pana.
Choć to co dobre zawsze kosztuje
i nie chodzi o złoto!
Warto dodać skrzydeł tym małym istotom co cierpią.
Pociąg do czynienia dobra to puste miejsce w tramwaju,
zakupy, które właśnie przyleciały do starszej pani.
Zwykle słowa: „Jak dobrze, że jesteś!”
Uścisk, gdy gardło nie mówi - bo cierpi.

Reanimacja duszy

Patrzę w przestrzeń, przez lornetkę - lunetkę
duszy alchemika światło-cienia,
widzę jakby na krańcach
mojej psycho-przestrzeni
co było jest i będzie,
moje intymne sacrum-profanum,
pascha z upadłym aniołem
niedoszłym samobójcą,
naprawiam mu skrzydła, są jak sito.
Rzeszoto to co boli, pozostawia rany-stygmaty,
ja z moim ego cierpimy,
jak bumerang wraca do mnie myśl, chwila, zdarzenie,
nie zawrócisz kijem rzeki panta-rei,
chciałabym być maleńką komórką-embrionem,
pisklakiem w jajku, ćmą w kokonie,
ten etap mam już za sobą daleko...
- szkoda,
odrodzę się po drugiej stronie tęczy,
czasem trzeba dojść aż do pestki by poczuć smak owocu,
być na krawędzi by nozdrzach chłonąć życie.

Rozbieraj mnie z kolorytu duszy
rozbieraj i ubieraj w śpiew słowika o poranku
rozepnij moją uprząż strachu
rozchyl mimowolnie rąbka tajemnicy
tańcz czardasza nim minie tysiąc świetlnych lat

Wielki Zderzacz Hadronów nie dla mnie
ktoś inny już odcina kupony od mojego szczęścia

ktoś inny zapina ci koszulę
przezesuje jasne pukle włosów

podaje ci kaptcie i gazetę
pamięta że maj to raj dla kochanków
ktoś inny podlewa mnie, gdy schnę z tęsknoty
pieści me ciało późną nocą
czeka na kubek wody ze suchej studni o poranku

Szczęście ty moje!

Urodził się człowiek,
Dzieciatko - aniołek,
przyszło na świat,
śpij, śpij maleńki,
śpij śpij *mon cherie*,
mama ma rentę socjalną,
ojciec rok temu zapił się na śmierć,
piękne włoski, jak kędziorki,
nie ma rąk i nóg,
mama dobra i bogobojna,
co zrobi w świecie skazanym na znieczulicę?
W domu zimny piec kaflowy,
nie starcza na opał,
pozostaje chrust,
kobiecina myśli:
„Dobrze, że mamy rzepe, to jakoś tę zimę przetrwamy”.

Świetlikom pousychały skrzydła z tęsknoty
za rajem utraconym
Ćmy ćmią fajranty i liczą na więcej
Ważki rozważają wypad nad jezioro
wszystko jakby na swoim miejscu
jakaś normalność
potrzebna bliska
odleciała z wiatrem

Tkwiłam w wewnętrznym więzieniu dwa lata,
uwięziona w pajęczynie ciała,
niby mucha trawiona przez soki
złości, smutku i rozpacz,
pustka jest gorsza niż śmierć
bo jest niewidocznym zabójcą,
usychasz powoli, jak trawa na wietrze,
filozof powie:

„człowiek to trawa myśląca”,
więc byle podmuch,
podeptanie, czy skwar,
niszczy jej zieleń i piękno,
wiezienie to odcięcie od świata,
ludzi,
bytowania,
to spacer nad przepaścią,
niemoc,
niemożność wypowiedzenia swoich słów, uczuć i myśli
nie do pokonania, gdy masz swoje ja i nie masz tożsamości,
tylko namiastka życia - egzystowania,
bez egzaltacji i afirmacji,
zabija samo - zamknięcie w sobie.

To co ważne

Oddech, oddaj mi swój oddech.
Bez motoru napędzającego sens nie ma życia,
choroba, ograniczenie, ale sarkazm, świntuszenie,
dym dający radość!
Dziś hipis to staruszek bezzębny.
Popatrz mi w oczy, głęboko do środka,
ognik się tli,
jeszcze zapalimy,
co nam szkodzi do dna życia,
upijmy się sobą co dnia!

Tramwajowy transpoting
Transplantacja super ego
Trepanacja mózgo-czaszki
Światowy Dzień Kota nie Świra
szał niebieskich ciał nie dla maluczkich
rozszyfrowanie kodu dostępu
brakujący element to trybik w maszynie życia
każdy jest niebanalny w swoim rodzaju
piękno Lili gdy umiera pociąga najbardziej

w bezkresie twoich oczu zapominam jak smakuje wolność
jestem niewolnicą
która zakwita tylko raz w twoich ramionach bezwstydu
jak kwiat paproci
otulam się w twój niebyt gdy jesteśmy już tylko my

wyzbywamy się siebie
erupcja chwili
rozlewa się i wypala
zabliźnione pączkowanie

ocean wolności przybija jak najtwardszy gwóźdź
rozczarowanie bezwolny mus
zawiedziona miłość
odnaleziona posmutniała
dostała dożywocie wilczy bilet
czeka na stopa nienormalna

W krwiobiegu dni
zapominam że istnieję
ściana to mentalny szlaban
zachłysnęłam się życiem
wciąga mnie brutalność fal eteru
mej piosenki bez refrenu i składni
zamykam porami ciała
wszechogarniający lęk
był to spacer po rozżarzonych węglach
Kanciasty Księżyc ma w nosie
wrażliwość wojownika światła
podmucha wystarczy by zapalka zgasła
kruchość płatków
twardość korzeni
c'est la vie

W melinach blokowisk szukają okazji by odlecieć
rozplynać się i usnąć na trawniku
chcą uciec przed sobą w mętne towarzystwo
kumpel to substytut ciepła i rodziny
marność, jestestwo to ciągła walka wręcz i mocowanie na szali dobra i zła
zaułki płoną
zapalka wystarczy by ogrzać dłonie
dotyk nie musi boleć
dzieci gorszego Boga
niekochane
życie po życiu
życie na krawędzi bytu i śmierci
poza nawiasem
popychadła które nie dostają tego czego pragną
odmieńcy

buntownicy bez powodu
o talentach utopionych w hektolitrach wódki
mogli być zwycięzcami przewodnikami stada
mogli tulić pociechy do serca
sami nie mogą ustać na chwiejnych nogach proszą o parę groszy

Wodospad Siklawa - mała stróżka, kropla, która draży skałę,
łyk wody w Jaworkach,
szczyt głupoty skoczyć wprost do rzeki,
trzyście wiosen - początek kobiecości,
kolejne szczyty wtajemniczenia,
wolisz filozofię?
Zabiorę cię do Jaskini Platona,
Myślisz, że jesteś najmądrzejszy?
Czy wiesz, że inteligentny, nie znaczy mądry?
Smak malin w chruśniaku,
Czarne palce, borówki-winowajczyni,
mają to w nosie, ukrywając się pomiędzy listkami.
Cogito ergo sum! Po co popadać w zadumę nad swym losem?
skoro pewne w życiu są tylko dwie rzeczy, reszta jest milczeniem.
Spłynęmy Przełomem Dunajca, jak kawałek drzewa oderwany od swego ego.

Życie na oczekaniu

Zamknięty obwód naczyń połączonych,
zależność,
Samotny człowiek łaska - nie łaska,
pęd za wiatrem, dziki wyścig,
nikt nie przebiera w środkach,
zatracaś to, co najważniejsze,
stajesz się persona non grata,
nie ma dla ciebie miejsca w tym wyścigu szczurów?
Czemu mieć, mieć staje się językiem urzędowym?
Wnętrze przegrywa z zewnętrżnością,
intelekt z układami,
przecież Exupery miał rację - trzeba patrzeć w tym samym kierunku,
czekać na istnienie,
na koniec misji,
na pojazd, czy odjazd do lepszego świata.

Życie to czarno biały film
czasem pantomima

bywa że komediodramat
niemy głos duszy jak pies bezdomny samotnej

Zza masek teatralnych spoglądają na nas jakby cienie naszych wcześniejszych wcieleń
daremny trud
wymazania gumką złych wspomnień
nasze mentalne odbicia czasem w krzywym zwierciadle
pokazują ulotność ciepła zapalki
już nigdy nie założysz użytej wcześniej maski

Świat cały czas jak przycięty automat nakręca nas
ludzie ludziom pokazują gdzie ich miejsce
na talerzu podają półprawdy
nęca nas zbyt ciasnymi kostiumami
w stylu legginsów
światłem, które pali gałki oczne
muzyką jak drewno niedostępną
raniącą duszę alchemika

Codzienny makijaż atrybut pierwszej klasy przykrywa kolejne bruzdy
wyrzuty po życiu bez oddechu
poczwarka porzuca kokon to drugi etap wtajemniczenia
lekcje mądrości lub głupoty
otwórz mi oczy na piękno
nie rzucaj pereł przed wieprze
zachowaj talent
palec boży i pazur
gdy poczujesz pustkę istnienia
dziecka tęczy dziecka wojny.

Jacek Cikowski

*Kto chce prawdziwie czynić miłosierdzie,
musi sam stać się „bezinteresownym darem”
dla drugiego człowieka...*

Werona

Piękne miasto
Romea i Julii
balkon kochanej
westchnień podarowanych
czar

To dla ciebie
kochanie
odrobina
niespełnionych
marzeń

Dwa bilety trzymam
w ręce
naszych serc autokar
odjeżdża przepelniony
nienawiścią
Kapulettich i Montecich

Tylko nas to zło
omija ciągle
razem
zwiedzamy piękne miejsca
romansów i tragedii
wielkiego Williama

Werona naszej miłości
Pokona nienawiść

Czterolistna koniczyna

Trzymam w ręce
Szczęścia moc
Komu ją podaruję

Chyba tobie

Jesteś tak daleko
I tak blisko
Moja miła
Nic nas jednak
Nie rozłączy

Czytając piękne wiersze
Napełniam swoje wnętrze
Nigdy nie kończąca się wena

Nigdy nie utracę

Moja miła ten wazon
Zapełniam kwiatami
Bukietu szczęścia

Daruję ci
zapach białych
Róż

Dobre wiadomości

Słyszałem dziś w radiu
spadły stopy procentowe,
zmniejszono podatki o połowę.
Tanieją ropa i gazu pod
dostatkiem.

Będzie jeszcze lepiej
bezpłatna komunikacja
darmowe leczenie
tanie budownictwo
wynajem za grosze

Tymczasem z ambony krzyczą
módl się i pracuj
skrzydła ci same
wyrosną
Anioły na wcześniejszą
emeryturę

Statki do portów
Obudźcie śpiących rycerzy
niech biją na alarm.

W tej chwili budzik zadzwonił
Już muszę wstawać
Do pracy
zmykać

Kwiaty

Aster wesoly uśmiechem się zaleca
Róża czerwienią miłości wyznaje do żółtego tulipana
Dzikością orchidei kuszonego pamięcią niezapominajki
Rosnący na polu bratek i zielony kaczeniec i
Górska arnika szczytom się przygląda z szarotką

Nawet narcyz wyznaje uczucia do przepięknych sasanek.

Nie zapisane

Życia nie zapisane
stronice
wyznaniem dialogu
płyną
monotonnej podróży
minuty i godziny

młodość odeszła
wspomnień czar
przyszłości nie pewne
zwróć utracone lata
miłości młodzieńczej

teraz do dzieła
zawstydzić mądrością
głowy nadęte
sursum corda

wszystko pokonam
i wszystko zwyciężę

Piękno

To przyjaźń i miłość
podzielony chleb z głodnym
To dobre słowo
wypowiedziane tak prosto
od siebie

Nie trzeba być retorem
czy poetą
by kochać dobra świątynie
Jego Duszę

Słońce
świeci na niebie
Promieniami oświecając życia
mozół
przyjemność gorąca i emocje
przyzywają promieniami te chwile

dzieciństwa

W to czasach
przemijaniem nie ustępujące
przelatują jak film wypadki
Pierwszy dzień życia
pierwszy dzień w szkole i pierwsza miłość
oraz pierwsze rozczarowanie

Tyle tych jedynek
było co jeszcze
Może na koniec z Bogiem i jego świętymi
przebywanie

Maria Gilka

*...Kiedy samochód znikł za zakrętem,
Julia zrozumiała co Maks miał na myśli mówiąc,
że gaśnie słońce, kiedy ona odchodzi.
Ona też chciała krzyknąć za nim – nie zabieraj mi słońca ze sobą...*

Wymuszony kamuflaż

- Ponad wszystko przedkładałam podróżowanie bez bagaży - pomyślał Kamil Garet, wykładając na półkę swój nesoser.

Po chwili jednak marszcząc czoło z niezadowolenia, ponownie zdjął go z półki, po czym wyjął z niego gazetę, puszkę soku pomidorowego oraz książkę. Puskę postawił na blacie stolika, gazetę rzucił na miejsce, które miał zamiar zająć, książkę natomiast wsunął do kieszeni neseseru, po czym umieścił go na półce, tuż nad miejscem, które zajął. A wykładając spostrzegł na półce drugi nesoser bardzo podobny do jego własnego. Też granatowy i też podobnej wielkości.

- To widocznie bagaż tej współpasażerki - pomyślał i poczuł się głupio, że odkrywa takie oczywiste fakty - Ale dlaczego bagaż ulokowała nie nad zajmowanym miejscem, tylko naprzeciw? – zastanowił się i sam sobie dał odpowiedź na to pytanie: widocznie chciała go mieć na oku.

Po rozwiązaniu i tego dylematu, szczęśliwy uśmiech zagościł na jego twarzy, ale nie na długo, bowiem raptem przypomniał sobie, że nie pamięta, czy wchodząc powiedział dzień dobry, ale chyba takie rzeczy robi się spontanicznie, pocieszył się. Zresztą co to za różnica, przecież ta zaczytana intelektualistka i tak by na to nie zwróciła uwagi. Nim usiadł zdjął marynarkę, starannie ją powiesił sprawdzając czy portfel z cenną zawartością znajduje się w kieszeni. Następnie poluźnił krawat, odpiął górny guziczek koszuli, rozsiadł się wygodnie, i wziął do ręki gazetę. Powoli przewracając stronicę, szukał czegoś frapującego. Na chwilę zatrzymał wzrok na artykule *Kwiaty w sypialni*. Ale prędko zrezygnował, bo po co mu wiedzieć, że paprotki, aloesy, bluszcze, nadają się do sypialni, bo coś tam usuwają z powietrza. On w sypialni szukał innych doznań. Bardziej by go zainteresowały kwiaty afrodyzjaki. Odłożył więc gazetę, zamknął oczy i powoli zapadł w spokojną drzemkę. Kiedy się obudził spojrzął na zegarek i ze zdziwieniem zobaczył, że spał przeszło godzinę. W czasie jego snu wysiadła współpasażerka i został sam w przedziale. Mógł się więc do woli poprzeciągać i powoli powracać do rzeczywistości. Ale rzeczywistość nie przedstawiała się zbyt ciekawie, jazda stukot i wciąż migające skrawki krajobrazu. Zdecydował się więc na przeglądnięcie gazety. Odwracał jej stronicę, ale bez szczególnego zainteresowania. Nagle zauważył nagłówek „Horoskopy”.

- To się może przydać, pomyślał i odszukał swój znak zodiaku - Przed tym jednak napiję się soczku z pomidorków...

Z uwielbieniem spojrzął na puszkę stojącą na podniesionym blacie. Wziął ją do ręki i wypił łyczek, pomruczał z zachwytu nad wybornym smakiem i zaczął zgłębiać przepowiednie astrologa:... *Gwiazdy nie będą w tym tygodniu dla ciebie łaskawe. Szczególnie trudnym i stresującym dniem będzie poniedziałek. Co by się nie działo, panuj nad nerwami i negatywnymi emocjami. Dbaj o swój wizerunek.*

- Bzdury, podsumował przeczytane proroctwo. Przecież właśnie dzisiaj jest poniedziałek, za osiem godzin będzie wtorek, więc co może mi się tu takiego wydarzyć?

Nie wiedział, nieszczęsny, co mówi i w co ośmielił się wątpić. Bo właśnie w tej sekundzie, poczuł silne uderzenie w rękę, które wytraciło mu trzymaną puszkę w dłoń. Wypadająca puszka gęstym strumieniem zalała mu spódnie.

- Niech to wszyscy diabli wezmą, co za pech! - wykrzyknął.

I wtedy zobaczył, że przyczyną kłopotu była książka, która wypadła z niedopiętej kieszeni nesesera. Kopnął ją z irytacją, po czym w ślad za nią posłał kopnięciem również pustą puszkę po soku pomidorowym. Obficie polane sokiem nogawki zaczęły się kleić do owłosionych nóg, doprowadzając go tym do szaleństwa. Porwał więc z półki nesoser oraz marynarkę i w pośpiechu ewakuował się do toalety. Tam z wściekłością próbował wyskoczyć z mokrych nogawek. Ale w tym, wydawałoby się, łatwym zadaniu na przeszkodzie stanęły

buty, które przeszkadzały w pozbyciu się spodni. Skakał więc raz na jednej, raz na drugiej nodze. Wiedział, że musi ochłonać i podejść do sprawy racjonalnie. Ale przecież ten, z bożej łaski, prorok, przepowiedział, że co by się nie działo - musi zachować spokój. Usiadł więc na muszli klozetowej i zaczął liczyć do dziesięciu, powoli wciągając wywrócone na drugą stronę nogawki, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie, kiedy przesiąknięta na wylot materia dotykała jego łydek. Wreszcie osiągnął cel wyswobadzając buty z nogawek. Teraz należało tylko pozbyć się ich z nóg, zdjąć spodnie i sprać z nich plamy pomidorowe.

Z zapalem przystąpił do działania, a ciepła i zimna woda w kranie ułatwiały zadanie. Spłukując sok z nogawki myślał, na cholere ubierałem ten beżowy garnitur, ale przecież mamusia zawsze mi mówiła, ubieraj się synku stosownie do okoliczności, i tak robiłem, przecież beżowy kolor i cienka struktura materiału mieściły się w kanonach ciepłego słonecznego lata. Ale jakbym miał na sobie czarne spodnie, rozważał dalej temat, to zwyczajnie wytarłbym je tą gazetą z horoskopami i po kłopotcie. Najwyżej byłyby trochę sztywne po wyschnięciu. A tak przyglądał się z uwagą swoim spodniom, i stwierdził, że zrobiły się dwukolorowe, gdzieś tam zachował się jasny beż, reszta zaś stała się jasnym brązem. Ale jak wyschną... będzie dobrze, pomyślał.

Wywiesił je więc w oknie, licząc na to, że łaskawe słońce osuszy je swymi promieniami. Ale niestety pociąg jechał niekorzystnie dla suszących się spodni, bowiem słońce już dawno minęło zenit i teraz chyliło się powoli ku zachodowi. Więc tylko jazda w kierunku południowym obdarowywałaby suszące się spodnie bogactwem gorących promieni, biegu pociągu nie zmienię, pomyślał. Ale przecież nic mi się nie stanie jak będę je trzymał za oknem. Pęd pociągu zadziała jak letni wiatr, który suszy ludziom pełne sznury bielizny. Rzeczywiście, pomysł nie był głupi, trzymane oburącz w pasie spodnie wesoło łopotały nogawkami, nadymając się to znowu płaszcząc przy zmianie prędkości jazdy.

Tylko stanie w tym jednym miejscu okazało się dość nudne, więc właściciel suszących się spodni oddał się rozmyśleniom nad swoim życiem, które oceniał jako udane. Robił to co sprawiało mu ogromną satysfakcję, choć wiązało się z dużą odpowiedzialnością, bo przecież dziennikarstwo polityczne to poważne wyzwanie, ale radził sobie w tym fachu dobrze, choć ojciec nieraz z niego kpił: ta twoja praca, chłopcze, to stałe uzależnienie od niusów...

Tymczasem pociąg dojeżdżał do zakrętu odsłaniając widok na pobliski wiadukt, pod którym równo biegły szyny kolejowe. Zapatrzonej w pomarańczową kulę zachodzącego słońca, poczuł nagle silne szarpnięcie, które wydarło mu trzymane spodnie z rąk. Oślupiał z wrażenia, widząc je pozostające w tyle, zawieszzone na krzakach rosnącego przy wiadukcie głogu. W pierwszym odruchu chciał za nimi wyskoczyć, ale w porę się opamiętał, bo po co nieżywemu spodnie. Zrezygnowany usiadł ponownie na muszli klozetowej, przeklinając zarówno parszywy los, jak i przepowiadaczy - astrologów, proroków, którzy w końcu zawsze coś wykraczą. A przecież ten w mordę jeża prorok przepowiedział mu dokładnie: dbaj o swój wizerunek.

Przyjrzał się więc sobie krytycznie, ale w części od pasa w górę nie znalazł żadnych usterek. Prezentował się nader korzystnie, z fryzurą wymodelowaną przez znakomitego fryzjera, w koszuli kupionej w domu mody we Florencji, w marynarce szytej na miarę. Po chwili spojrzął na tę drugą część ciała przynależną do niego. To co zobaczył wstrząsnęło nim: białe gatki i do tego kontrastujące z żywym bordem skarpet, dwie nogi koloru pietruszki. Okropność, zakrzyknął, jak ja się pokażę ludziom. Przecież mnie wyśmieją, zaarrestują, a potem pokażą w mediach. Gdybym miał na sobie takie białe kretonowe spodenko-gatki jakie się teraz nosi, choćby w kolorowe papugi, mógłbym rezygnując z koszuli, krawata i marynarki, a wkładając t-shirt, zgrywać się na plażowicza, przecież jest środek lata, a tak co mam robić? Powiesić się podpowiedziało zgnębione ego. Ale dziennikarz wisielec w białych gatkach, też byłby filmowany. To wszystko wina mojej mamy, to ona od dzieciństwa

wmawiała mi, Kamilku włóż białe kałesonki, a ja durny byłem posłuszny maminej maksymie, że biała bawełniana bielizna jest najzdrowsza, no to mam co chciałem.

Nagle naciśnięcie klamki przypomniało mu, że to pomieszczenie przynależne jest ogółowi pasażerów, więc w popłochu rzucił się na neseser w nadziei, że znajdzie w nim jakieś wybawienie, ale to co zobaczył po otwarciu zaskoczyło go. To nie był jego neseser, jego musiała zabrać przez pomyłkę współpasażerka - intelektualistka, pochłonięta sobą, tak ją przecież ocenił wsiadając do przedziału.

- To już koniec ze mną, co ja mam robić bez portek, usiadł zrezygnowany ponownie na desce sedesowej i zastanawiał się co dalej. Mam dwie skarpety, jeden krawat, marynarkę, koszulę, parę butów i cudzy neseser, to stanowczo za mało, żeby w biały dzień, wysiadać na stacji kolejowej, muszę mieć coś do ubrania na tyłek. Rzucił się więc z nadzieją na bagaż zamyślonej damuli szukając jakichś spodni choćby od dresu, czy choćby krótkich spodenek. Przewrócił całą zawartość, aż do spodu i nie znalazł niczego co by mogło posłużyć za spodnie. Był jakiś szlafrok w kwiaty, bielizna osobista w różnych kolorach, jedwabne kiecki w woreczku, peruka w kolorze blond, kosmetyki, dwie apaszki, i tyle.

No to po ptokach, pomyślał sobie zapożyczając to powiedzenie do swojego ojca, który w ten sposób obwieszczał jakiś swój osobisty koniec świata. Kamil, który w życiu zawodowym zwalczał z powodzeniem wszelkie przeciwności, teraz popadł w czarną rozpacz. Dziennikarz, po chwili dodał, popularny dziennikarz, bez portek, w letni słoneczny dzień, O! Nie! Tylko nie to. Muszę coś zrobić, żeby uratować twarz, przecież to byłby koniec mojej dziennikarskiej kariery, gdyby mnie ktoś nakrył w tych głupowatych tarapatach. Tylko jakiś kamuflaż może mnie wybawić z opresji.

Jeszcze raz rzucił się do opatrnościowego nesesera i zaczął z zainteresowaniem oglądać kiecki. Trzecia, którą wyciągnął okazała się spódnicą, długą do samej ziemi w ładny kwiatowy wzór. To może mnie uratować i w wielkim pośpiechu ubrał ją na siebie. I już poczuł się znacznie lepiej, bo gdyby nawet zaalarmowany przez jakiegoś pasażera konduktor nagle wtargnął do okupowanego przez niego tego szczególnego pomieszczenia, to nie zastałby go w gatkach, ale przyzwoitej spódnicy.

No tak! Też mi przyzwoitość, mężczyzna w spódnicy, z ciemnym zarostem na gębie, w koszuli i krawacie, z bagażem pełnym damskich ciuchów. To nie wyglądało przyzwoicie, to wyglądało wręcz kryminalnie. Spódnica dawała mu już to minimum pewności siebie, niwelowała wstyd, ale przecież nadal mógł być rozpoznany w tej wielce kompromitującej go sytuacji. Więc dalszy kamuflaż jest konieczny. Zaczął ponownie grzebać w neseserze, aż wreszcie znalazł bluzkę, nie za bardzo wydekoltowaną, z długim rękawem w ciemnozielonym kolorze. To coś mi się nada, pomyślał. I zaraz pozbył się krawata i koszuli, upychając je razem z ciuchami paniusi i przywdział wyszukaną bluzkę.

Był zadowolony z siebie. Mógł uchodzić za damę, gdyby nie ta czysto męska facjata. No cóż, ogolić się nie mam czym. Przydałby się jakiś maskujący puder. Więc rzucił się zaraz na kosmetyczkę i tu znalazł wszystko, co eleganckiej kobiecie było potrzebne do makijażu. Przystąpił więc zaraz z wielkim zapalem, do zmiany całkowitej swego wizerunku, zachowując przy tym kolejność rzeczy podpatrzoną u swojej eks-partnerki Wioli. Najpierw podkład z fluidu, potem korektor, którym zamaskował miejsca nad górną wargą oraz brodeę, gdzie zarost był szczególnie widoczny. Potem cienie na powieki, pociągnięcie tuszem rzęs i gotowe.

Spojrzał w lustro i sam był zaskoczony rezultatem, no bomba jednym słowem pomyślał i przyłapał się ku wielkiemu swemu zaskoczeniu, że robi głupkowate miny zalotnie mrużąc oczy. Zaklął więc szpetnie, że dał się tak łatwo ponieść wymuszonej rzeczywistości, co gorsza, w rzeczywistość tę zbyt się natrętnie wcielał. Więc przeglądnął resztę kosmetyków, wykorzystując jeszcze pomadkę do ust oraz perfumy marki Masumi. W samą porę ukończył te makijażowe zabiegi, bo ktoś próbował znowu dostać się do ubikacji, którą on okupował już

przeszło godzinę. Prędko więc wrzucił kosmetyczkę do środka, zasunął błyskawiczny zamek nesesera i podnosząc go pomyślał, no to jestem gotów zmierzyć się z losem, po czym wyszedł energicznie w tym swoim nowym wcieleniu na korytarz.

Aby dać sobie szansę na oswojenie się z nową sytuacją, stanął przy oknie, ale kiedy spojrzął na swoje odbicie w szybie, aż podskoczył. Z pośpiechu zapomniał całkiem o blond peruce, którą przecież zamierzał sobie pożyczyć. Prędko więc przykucnął i w pośpiechu wyciągnął z nesesera swoje nowe uczesanie, nałożył na głowę i ponownie spojrzął w okno. To co zobaczył w pełni go usatysfakcjonowało... W porządku, pomyślał, i znowu się przyłapał na tym, że kokieteryjnym ruchem głowy, poprawia opadający kosmyk włosów. Chyba mi odbiło, upomniał się. Ale w tej samej chwili usłyszał z ust jednego z przechodzących młodych mężczyzn epitet czy komplement, nie był już pewny, co to jest:

- Ale prymula, co?

Więc skwitował to tak po męsku:

- No cóż, piękny tulipanie.

I dalej patrzył na uciekający mu przed oczami krajobraz myśląc, co za kara boska na mnie spadła i za co to. Czy to ten astrolog-przepowiedacz wszystkiemu winien? Nagle z tego zamyślenia, wyrwał go czyjś głos z zapytaniem, czy uwagą, nie zrozumiał bo usłyszał tylko:

- Ładne lato...

Więc odpowiedział, a raczej wymruczał:

- Yychy...

I drugie pytanie, czy piękna blondyna daleko jedzie. Więc znowu mruknął:

- Yychy...

Ale kiedy usłyszał, że taka znajomość zawarta w pociągu może się okazać bardzo obiecującą, postanowił udawać, że nie rozumie po polsku. Więc powiedział:

- I don't understand, podnosząc przy tym tembr swego głosu o całą oktawę.

Wtedy poczuł poufałe klepięcie w tyłek i w jednej chwili wszystko się w nim zagotowało. Gdzieś ulotniła się nabywana latami, zresztą jego zdaniem dość obłudna, ogłada towarzyska. A przeważała odziedziczona po przodkach skłonność do mówienia prawdy, tego, co się czuje, co się myśli, więc już się nie powstrzymał i wykrzyczał:

- Jakbyk cie wzion teroz i strugnął - i prędko dodał - nęła w kufę, tobyś se wiedział, ty zasrany zalecacu. Ty sie klep po swojej rzyci... a zreflektowawszy się, że mogą to słyszeć pasażerowie w separacie obok, dokończył już po pańsku...- co za dzikie obyczaje zapanowały teraz. Kobieta stale narażona jest na jakieś zaczepki, ze strony perfidnych podrywaczy!

Po czym podniósł neseser i drobnymi kroczkami, zapożyczonymi od modelek prezentujących stroje na wybiegu, przeszedł na drugi koniec wagonu po drodze szepcząc sobie na pocieszenie:

- Ja wysiadam... ja zaraz wysiadam na najbliższej stacji.

Nie minął nawet kwadrans i już dojeżdżali do jakiejś stacji. Kamil był trochę zdenerwowany tą nową rolą, w jakiej przyszło mu występować. Więc z obawą przyglądał się peronom i budynkowi stacji, które nie wyglądały imponująco. To jakieś małe miasteczko, pomyślał. Ale co mi tam, ja potrzebuję tylko taksówkę i jakiś city market. A to tu znajdę, o ile przestanie mnie prześladować pech. Z pociągu wysiadł on i jakiś jeszcze kolejarz. Tymczasem, jak zdążył zauważyć, przy wejściu na perony rozgrywał się jakiś ichni spektakl. Ludowa kapela i grupka wystrojonych obywateli, żywo o czymś dyskutowała. Usłyszał tylko pytanie:

- Co, grać?

I drugi głos:

- Nie, to baba, a miał być chłop.

Kiedy Kamil zrobił dwa kroki w stronę wyjścia, jakiś mężczyzna odświętnie ubrany, jakby się wybierał na spotkanie z biskupem podszedł do niego i zapytał:

- Ona przyjechała z Warszawy?
- Jaka ona? - tak dla porządku zapytał Kamil.
- No ona - ze wskazaniem na niego.

Więc przytaknął.

- Ona jest dziennikarką? - padło drugie pytanie.
- Ona jest dziennikarz - padła zgodnie z prawdą odpowiedź.
- Kapela grać! - wykrzyknął ten przepytujący.

I zaraz wyciągnął grabę do powitania. Potem były kwiaty, oraz potrząsywanie dłoni przez innych witających. Kamil był tym nowym zajściem wkurzony na maksa.

- To już przechodzi ludzkie pojęcie co jeszcze może mnie spotkać.

I jak zawsze w chwilach szczególnych zaczął powtarzać swoją mantrę Similia Similibus, z której zawsze czerpał spokój i mądrość. Kiedy już zdołał dojść do słowa powiedział:

- Dziękuję za miłe powitanie, ale teraz muszę państwa na chwilę pożegnać, gdyż pragnę się odświeżyć i przebrać. Czy mogę prosić o przywołanie mi taksówki?

Ktoś tam chciał go podrzucić, ale on stanowczo upierał się przy taksówce. Bo to ona w tej chwili stanowiła dla niego gwarancję wyjścia z opresji. Kiedy już siedział w taksówce, uśmiechnął się radośnie do taksówkarza i zadysponował:

- Proszę do najbliższego city marketu, a potem do Krakowa. Płacę podwójny kurs, czyli do Krakowa i z powrotem do... jak się nazywa ta miejscowość? - zapytał.

- Od wczoraj „Gosiewo” - odpowiedział taksówkarz.

- Gosiewo, Gosiewo powtarzał zamyślony Kamil - Brzmi mi to jakoś dziwnie znajomo.

- To, panie, od nazwiska posła tej ziemi. Taki gest na jego cześć.

A widząc głupkowaną minę pasażera, dodał:

- Co pan zrobisz, uchwalili, przegłosowali... liczą na to, że może w rewanżu tędy puści jaki ekspres. I tak od wczoraj, jak pan widział, świętują. I co pan zrobisz, nic pan nie zrobisz.

Zamyślił się nad zawilóściami życia. Przecież nigdy się nie wie rano, co cię może spotkać za dnia...I jako swoiste memento, przypomniał sobie swoje dyndające tuż za wiaduktem na krzaku głogu spodnie od beżowego garnituru.

Nie zawsze do pary

- Nie! Wykluczone! Nie zrobię tego! Chyba ci odbiło, mam podejść do trzech obcych osób i powiedzieć im jak gdyby nigdy nic, że jestem głupia? – no, nie zrobię tego - oznajmiła zdecydowanym głosem Julia.

- Dałaś słowo! - powiedziała Beta.

- Dałam, ale litości!

- O, nie! Zakład był uczciwy. Twoi faworyci przegrali trzema bramkami, więc musisz płacić za swoje bezpodstawne uwielbienie. Gdyby wygrali to ja musiałabym postronnym osobom oznajmiać, że jestem głupia.

- To śmieszne - to bez sensu nawet. Mam dwadzieścia pięć lat i nie mogę, ot tak, wykrzykiwać, że jestem głupia, zwolnij mnie z tego zakładu - prosiła Julia.

- Nie! Zakład to zakład, a ryzyko ma swoją cenę – Beta była nieustępliwa - Ruszaj i zaczynaj. O, powiedz to tej starszej pani, która idzie w naszą stronę.

- Jesteś okropna! - skwitowała Julia i podchodząc do nieznajomej pomyślała, co mi tam, jak grać to grać, idę na całość i pełnym egzaltacji głosem oznajmiła starszej pani - Jestem głupia.

- A czy my się znamy? - zapytała starsza pani.

- Ależ nie, proszę pani - odpowiedziała Julia.

- Więc to jest jakiś żart, a pani pewno z „Ukrytej kamery”...

- No właśnie! Ale heca, no nie?

Julia rzuciła wściekle spojrzenie w stronę Bety, ale widząc, że jest zdarzeniem szczególnie ubawiona, postanowiła nie dawać więcej satysfakcji przyjaciółce i rzeczowo zapytała:

- No i co dalej?

- Dalej będzie dalej, chodźmy - powiedziała Beta.

I znowu znalazły się na terenie ośrodka *spa*, w którym to od wtorku przebywała Julia. Ośrodek nowoczesnością zachwycał, a przy pomocy wszędobylskich reklam tłumaczył, że pobyt wprawdzie kosztuje, ale warto, bo zdrowie to podstawa. Więc Julia na chwilę przystanąła, aby zgłębić sens reklamy, wychwalającej zalety wody, która *łagodzi podrażnienia, wzmacnia naturalne mechanizmy obronne skóry, stymuluje regenerację komórek*, czytała, *a wszystko dlatego bo to prawdziwa woda zdrowia. Pochodzi ze skał magmowych, skąd czerpie rzadkie minerały*. Same komunały, pomyślała Julia, to tak jak gdyby Eskimos reklamował lód, że jest zimny śliski i przezroczysty.

W tym samym czasie Beta rozglądała się za kimś, komu Julia mogłaby oznajmić, że jest głupia. Oczywiście przede wszystkim miała na względzie dobrą zabawę. Więc wnikliwie szukała obiektu, przed którym Julia mogłaby z aktorskim kunsztem wygłosić głupawą sentencję. Wreszcie uwagę Bety zwrócił mężczyzna, który wyróżniał się spośród stojących wzrostem, nie wiadomo tylko, czy wydawało się tak tylko dlatego, że stał w otoczeniu dzieci, które wsiadały do autokaru. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości - musiał być stałym bywalcem Ośrodka, o czym świadczyła jego klubowa marynarka oraz pewność siebie. Ale nie tylko z tego powodu wybrała go Beta, za poszukiwany obiekt, bo o tym zadecydował jego wygląd: śniada karnacja, ciemne włosy, czarne brwi, opalone policzki, kwadratowa broda z niewyraźnym dołeczkiem pośrodku. To bardzo atrakcyjny mężczyzna, pomyślała Beta, takiego warto poznać, więc do dzieła, ślicznotko. I zaraz pokazując Julii mężczyznę, powiedziała:

- To twój drugi obiekt, wykaż się inwencją.

- Jesteś okropna, jak ja z tobą dotąd wytrzymałam - narzekła Julia.

Była zła, ale nie tylko na Betę, ale również na tych graczy z bożej łaski, którym kibicowała, ale chciała mieć to już za sobą, więc podbiegła do wyznaczonego mężczyzny i z widoczną kokieterią wyznała:

- Jestem głupia.

- Co ja słyszę, to zupełnie coś nowego - odpowiedział nieznajomy - czy teraz podrywa się na głupotę?

- Ja wcale pana nie podrywam. Od tego trzeba zacząć - powiedziała Julia.

- To co się może kryć za tym wyznaniem? - powiedział nieznajomy. - Nie wygląda pani na głupią, a zresztą przy takiej urodzie, drobne niedorozwinięcie nie stanowi jakiegoś wielkiego mankamentu.

- Dziękuję za komplement, ale nie rozmawiam z nieznajomymi.

- Nie rozmawia pani z nieznajomymi, a przecież to pani mnie zaczepiła.

- Tak, dla ścisłości, to nie zaczepiłam, a tylko odezwałam się do pana, a to duża różnica. A pan nie musiał podjąć dialogu.

- Och! Jak to dumnie zabrzmiało - dialog. A ja myślałem, że zwyczajnie odezwałem się do miłej, trochę postrzelonej dziewczyny.

- O jejku... - powiedziała Julia i w zamyśleniu skrecała na palcu krótki loczek, opadający jej na czoło - Coś panu powiem w zaufaniu. Moja przyjaciółka Beta ustawicznie wrabia mnie w idiotyczne zakłady, ciągle słyszę - no to załóż się. I tak było dwa dni temu, założyłam się, że nasi tzn. drużyna piłki ręcznej, wygrają z Niemcami. A te patałachy, przepuścili trzy bramki i teraz muszę trzy razy ogłaszać publicznie swoją głupotę. Pan jest tym drugim, został mi tylko jeszcze jeden raz. Więc chcę to już mieć za sobą - idę. O! widzi pan z jaką szczęśliwą miną, czeka na mnie ta prowokatorka? Zatlukę ją, jak tylko wywiążę się z tego durnego zakładu. Albo może lepiej zrobię to wcześniej.

Przerwała, bo nagle uświadomiła sobie, że oto patrzy w najbardziej błękitne oczy świata, ocienione długimi rzęsami, z których sypały się iskierki rozbawienia.

- Mam tego dość.

Ledwo to powiedziała, już usłyszała głos swojej przyjaciółki.

- Co, nie możesz się odkleić? Pomogę ci.

- No! No! No! - przemówił nieznajomy - Może mnie pani przedstawi swojej przyjaciółce.

- Już się robi. Pozwól, że ci przedstawię, pan Iksiński, moja przyjaciółka prowokatorka. Zadowolony? - spytała Julia nieznajomego.

- Och, przepraszam. Rzeczywiście, przecież my się też nie znamy. Pozwolą panie, że się przedstawię. Maksym Wolski jestem, z zawodu dziennikarz, czasami korespondent wojenny, chwilowo na urlopie.

- Ona jest Julia, a ja jestem Beata, dla przyjaciół Beta.

- A nazwiska nie są ważne, i tak się więcej nie zobaczymy - dopowiedziała Julia - bo to co miałam powiedzieć panu, to już powiedziałam.

- Ale wcale tak nie musi być, przecież możemy gdzieś iść na kawę, wtedy poznamy się lepiej.

- Ale mnie świruje w głowie coś innego, wreszcie chcę zaspokoić żądanie tej prowokatorki - powiedziała Julia.

- No to chodźmy je zaspakajając wspólnie - odezwał się Maks.

- Przenigdy, już przed panem, panie Wolski, odegrałam rolę słodkiej idiotki.

- Ten zwrot panie Wolski zabrzmiał jakby Pani przemawiała do mojego ojca, proszę mi mówić Maks.

- I czeka pan, żebym teraz ja powiedziała „mów mi Julio”?

- Nie tylko czekam, ale usilnie proszę... Mogę mówić „Julio”?

- No dobra - po namyśle odpowiedziała Julia - a do niej proszę mówić Beta. I tak się nigdy nie zobaczymy, to co mi tam.

- Nigdy to znaczy bardzo długo, a ja tego nie chcę, spotkajmy się jutro.

- Jutro to znaczy bardzo krótko, a ja tego nie oczekuję - odpowiedziała Julia.

- Więc ci się przyśnię w nocy, co ty na to? Albo daj mi numer twojej komórki, to zadzwonię - powiedział Maks.

- Poproś elfy, może ci dadzą, skoro masz takie dobre układy w świecie snu i duszków, zażartowała Julia.

Przekomarzanie to przerwała Beta, która w międzyczasie wypatrzyła już trzeci obiekt. Tym razem był to ktoś w mundurze policyjnym. I popychając Julię powiedziała:

- To już trzeci, nie załamuj się, będzie wesoło.

- Ze mną wesołkiem w roli głównej - narzekła Julia.

Atrakcyjne dziewczyny, nie da się ukryć, ocenił je Maks. Jedna wysoka smukła, z fryzurą afro, która doskonale podkreśla jej wystające kości policzkowe i piękną oprawę oczu, druga drobna bardzo zgrabna z dużymi zielonymi oczami i miękkimi kasztanowymi oczami, na dodatek kształtny nos i ten zniewalający uśmiech. Ja ponad wszelką wątpliwość wybieram tę drugą, zdecydował Maks i spoglądając za odchodzącymi poczuł jakby nagle słońce zaszło i zrobiło się zimno i szaro. Co za dziewczyna, pomyślał, czarująca autentyczna, niewiarygodnie prostolinijna, z poczuciem humoru. Skąd się biorą takie dziewczyny? On takiej dotąd nie spotkał. Wystarczyło, że jacyś tam gracze przepuścili trzy gole, a ona już urządza przedstawienie, aby uraczyć wesołością przyjaciółkę i samej przy tym dobrze się bawić. Muszę ją odnaleźć jutro. Takiej dziewczyny się, ot tak, nie odpuszcza.

W ten sam dzień późnym wieczorem, siedząc na kanapie w pokoju nr 213 myślała, że to głupie, ale chyba naprawdę jest sentymentalna, bo czuła się jakoś dziwnie zniewolona spojrzeniem tych błękitnych męskich oczu, które patrzyły na nią z ciekawością i życzliwością, czuła, że pod wpływem ich uroku byłaby w stanie zdradzić wszystkie swoje tajemnice, a nawet zasady. Czytała w powieściach o miłości od pierwszego wejrzenia, ale zawsze uważała, że to tylko fikcja literacka. Dotąd myślała, że to coś dla marzycieli, więc to nie był właściwy temat do rozmyślań dla tak rzeczowej osoby, jaką się czuła. Więc co ja tu jeszcze robię?

Czy potrzebny mi jakikolwiek zamęt, który mógłby wkraść się w moje uporządkowane życie? Wyjeżdżam - zdecydowała natychmiast - Jeszcze dzisiaj spakuję się, zniosę walizkę do samochodu, rankiem ruszę przed siebie w stronę wschodzącego słońca. Jeszcze tylko telefon do Bety i gitara, tak to się chyba teraz mówi.

Już po trzech sygnałach Beta odebrała telefon.

- Chciałam ci zakomunikować, że rano wyjeżdżam, odezwała się Julia.

- A miałaś wyjeżdżać dopiero po południu, jak zwykle w gorącej wodzie kąpana. Czy wcześniejszy wyjazd ma może związek z tym przystojniakiem, którego emablowałaś parę godzin temu? - zapytała Beta.

- Chyba zgłupiałaś, w żadnym wypadku, ale że przystojny to fakt i te oczy... - rozmarzyła się Julia.

- Skąd mam wiedzieć, jakie on miał oczy, nie widziałam ich z bliska...

- Czysty szafir, mówię ci.

- Więc podsumowując: duży, silny, sympatyczny z niebieskimi oczami. Tak? - zapytała Beta.

- Och! Aż trudno uwierzyć - westchnęła Julia.

- Założysz się, że to były kolorowe szkła kontaktowe?

- Znowu zaczynasz, Beta, ja już nigdy o nic się z tobą nie założę.

- A nie chciałabyś się dowiedzieć, jak on się nazywa, jakie ma hobby, co gdzie robi?

- Nie, wyjeżdżam. Muszę ukoić zszarpane nerwy.

- Więc pozostawiasz mi carte blanche na uwiedzenie tego niebieskookiego? Bo wiesz, takich mężczyzn się podrywa natychmiast, jak się ma swoje pięć minut, a ty je, Julio, masz.

To prawda, pomyślała Julia, chyba zdarzyło mi się w życiu mylić niepewność uczuć z miłością i być może właśnie myślę się i teraz.. Ale zdecydowanym głosem odezwała się do Bety:

No to żegnaj i do miłego zobaczenia. No i oczywiście życzę ci wzajemności w podrywaniu.

Julia odłożyła słuchawkę i zadumała się: a może właśnie myślę się myśląc w ten sposób, czy wyjeżdżając, może powinnam dać sobie szansę, bo dlaczego stale o nim myślę? A tego akurat czy się zakochałam, czy nie, nie musi się wiedzieć od zaraz, wystarczy potem, byle wiedzieć to na sto procent. Jednak nie miała zamiaru tego sprawdzać osobiście i już równo ze wschodem słońca rozpoczęła swoją podróż. Jeszcze do końca drogi pozostała jej jakaś godzina jazdy, umówiła się wprawdzie z rodzicami, że będzie dopiero jutro, ale to przecież nie miało znaczenia, że powita ich jeszcze dzisiaj, opuszczona do połowy szyba w samochodzie zapewniała jej ożywczy dopływ świeżego powietrza, oraz zapach skoszonej trawy, więc Julia czuła się szczęśliwa i w tym miłym nastroju zaczęła wspominać jak to wiele lat temu jadąc z ojcem samochodem, też mniej więcej o takiej porze roku, zapytała go czy ta namalowana środkiem jezdni biała krecha ciągnie się aż do końca świata, na co ojciec krótko odpowiedział:

- Nie, bo ziemia jest okrągła.

- No to co?

- Okrągła nie ma końca.

- To gdzie jest koniec tego świata?

Ale ojciec niewiele jej tłumaczył, bo uważał, że do wszystkiego trzeba dorosnąć, kochała go za to, że pozwalał jej długo pozostać dzieckiem. Teraz z radością myślała o spotkaniu z nim i z mamą, oraz cieszyła się na tydzień wspólnego pobytu z nimi.

W domu jak zwykle czekał na nią sernik, oraz mnóstwo czułości i miłych słów. Zaraz też dowiedziała się, że jutro z samego rana jadą do babci na imieniny, i wrócą dopiero pojutrze. Julia, która darzyła babcię szczególną estymą nie protestowała na z góry narzucony jej program pobytu. Wrócili w czwartek koło południa, trochę zmęczeni, ale szczęśliwi na tyle, aby to poczucie szczęśliwości rozciągnąć na wszystkich domowników i na wiele godzin, więc Julia jeszcze postanowiła zabrać psa na daleki spacer brzegiem jeziora aż do lasu, przez tutejszych wanego Choiną. Tam krótki odpoczynek, aportowanie przyniesionego przez Teisona patyka i powrót oczywiście jak zawsze z uwzględnieniem zwyczaju pokonywania ostatniego odcinka drogi biegiem na wyścigi, kto pierwszy dopadnie furtki. Jak nietrudno się domyślić zawsze zwycięstwo należało do psa, który swój sukces ogłaszał niemożliwym ujadaniem.

Kiedy więc wpadli do kuchni zdyszani, ale szczęśliwi, zarówno pies jak i dziewczyna, usłyszeli:

- Jesteśmy w jadalni, mamy gościa, córeczko, był to głos mamy - więc Julia swobodnie odpowiedziała, że nie będzie im przeszkadzać i pójdzie poczytać, ale ojciec wyraźnie zaprotestował - chodź się chociaż przywitać.

- Dobrze - odskrzyknęła Julia - Tylko umyję ręce.

Kiedy po kilku minutach weszła do pokoju ze słowami dzień dobry na ustach zza stołu podniósł się mężczyzna na widok którego na moment przestała widzieć, słyszeć, a kiedy się ocknęła z szoku ojciec kończył prezentację gościa słowami:

... poznaliśmy się w Afganistanie - a potem usłyszała - pan pozwoli - moja córka Julia.

Więc wyciągnęła rękę w geście powitania, i wyraźnie speszona spojrzała w twarz podającego jej rękę mężczyzny. Ale mina jaką zobaczyła, wskazywała na to, że i on zbaraniał ze zdumienia. Dobrze ci tak - cieszyła się Julia. Myślałaś sobie o mnie, że jestem głupią

podrywaczką, a tu masz, okazuje się, że jestem najprawdziwszą córką generała. I tu Julia z przyjemnością oblekła się w splendor ojcowskiego blasku, z którego wyrwały ją dopiero słowa matki:

- Julio, wyobraź sobie, że nasz gość był jednym z tych pasażerów, którzy przeżyli lądowanie na Hudson River.

- O! To naprawdę coś nadzwyczajnego – powiedziała Julia, zajmując miejsce za stołem - To chyba pierwszy w historii lotnictwa cywilnego taki przypadek, aby tak duży samolot wodował bez uszkodzenia konstrukcji kadłuba i bez strat w ludziach?

- To prawda - potwierdził Maks - ale to niezaprzeczalna zasługa jednego człowieka, o takich w Ameryce mówi się *born to fly*. Więc jak już mówiłem państwu, siedziałem po lewej stronie, przy oknie, i na wysokości skrzydła, więc i wmontowanego pod nim silnika. Nagle poczułem jakby uderzenie, wyjrzałem przez okno i zobaczyłem wybuchające z silnika płomienie i dym. Przecież dopiero wystartowaliśmy, wysuwałem jakieś dziwne pretensje, ale byliśmy już na znacznej wysokości, daleko od lotniska, no to już koniec, pomyślałem. Jesteśmy nad Bronxem, no i tu skończymy życie, w ogniu, w dymie. Zbiorniki pełne paliwa, więc może zginiemy przy wybuchu, który musi nastąpić po zderzeniu z ziemią czy z budynkami, może będziemy mieć szczęście nie przeżyć wybuchu, wtedy przynajmniej nie będziemy umierać powoli w cierpieniach. Dobrze, że wszystko działo się tak prędko i nie zdążyliśmy ulec panice. Gdy poczułem, że kapitan bierze skręt w lewo w kierunku Manhattanu, wstąpiła we mnie nadzieja, bo pomyślałem sobie, że może będzie próbował lądować na rzece Hudson. I wtedy usłyszeliśmy głos kapitana:

- Proszę się przygotować na awaryjne lądowanie i wstrząs, pochylić się i objąć głowę rękami. Ktoś zaczął się głośno modlić, inni do tej modlitwy się przyłączyli chwytając się za ręce dodawali sobie wzajemnie otuchy. I wtedy odczułem, proszę mi wierzyć mimo całego zagrożenia, a może właśnie dlatego jedność z tym obcym i obojętnym mi gronem ludzi... przecież już wtedy wszyscy zrozumieliśmy, że to nasz koniec. Nawet nie poczułem tego momentu uderzenia o wodę, a potem sunęliśmy po rzece jak po lodzie. Ale na szczęście podwieszona pod skrzydłami silniki zaczęły wyhamowywać energię. Stale jeszcze żyliśmy, aż wreszcie samolot się zatrzymał. Wtedy uwierzyłem, że Bóg podarował nam nowe życie.

Tę wielce wymowną ciszą, jaka zapanowała przy stole po słowach Maksa: *Bóg podarował nam nowe życie*, przerwała pani domu, proponując brendy, jako skuteczny środek na poprawę refleksyjnego nastroju.

- Ja podam Joasiu, siedź - powiedział ojciec Julii wstając, na co matka Julii oświadczyła, że ona przyniesie solone migdałki do brendy. Kiedy przy stole Maks został sam z Julią, zwrócił się do niej z wymówką:

- To powróciliśmy ponownie do zwrotu Panie Wolski, bo przecież swoim milczeniem wyparłaś się znajomości ze mną.

- A co miałam zrobić, rzucić ci się na szyję i powiedzieć, my się już znamy mamó, tato - odparowała Julia - Mogłam jeszcze wyjaśnić, że właśnie jemu musiałam wyznać, że jestem głupia, ale nie martw się mamusiu bo Bety wybrała mi najprzystojniejszego z tych jacy się trafiali. A do tatusia może miałam zakrzyknąć, tato nie miej takiej miny to była tylko taka zabawa w intrygę, i tu Julia wzdychając oznajmiła... jak ja się nauczyłam łgać przy tej Becie i przy panu, panie Wolski, to okropne. Moja mama bardzo by się zmartwiła, gdybym nie przestrzegała konwenansów, bo przez całe życie mówiła mi: damie to nie wypada, damie to nie przystoi. A mój tato generał dotąd żył w złudzeniu, że wychował córkę na medal, więc jak mogę im te złudzenia odbierać, wolałabym się raczej utopić.

- Tylko nie to! - zakrzyknął Maksym, i spojrział na nią z niepokojem, który zmieniał się w ciepły tkliwy uśmiech.

Nie mówił nic po prostu patrzył na nią i tonał w jej zielonych oczach.

Zauroczenie to przerwało wejście taty Julii, który przyniósł cztery kieliszki, stawiając butelkę na stole powiedział, wypijemy za pomyślność naszego gościa.

- Mnie proszę nie nalewać, poprosiła Julia, bo ja jeszcze muszę pojechać do drogerii po pastę do zębów i lakier do paznokci.

- A co, w domu nie ma pasty? - zdziwił się ojciec.

- Jest, ale nie taka jakiej ja używam.

Ja się chyba zakochałem, pomyślał Maks, bo dlaczego chcę tak bardzo jechać z nią po tę pastę, przecież nie cierpię chodzić po sklepach i sam nie wiedząc kiedy, ze słodyczą na ustach zaczął mówić, to może i ja zabiorę się z panią i przy okazji skseruję sobie te pana notatki.

- Dobry pomysł - powiedział ojciec Julii wręczając Maksowi plik papierów, najlepiej jedźcie do biblioteki, tej na Sienkiewicza, tam na poczekaniu załatwicie sprawę.

- No i gitara - powiedziała Julia.

- Coś ty powiedziała, córuś? - zapytała ojciec.

- No i gitara, tak się teraz mówi, zamiast na przykład finito czy OK. Ale ja się jeszcze muszę przebrać, będzie pan musiał chwilę poczekać - zwróciła się Julia do Maksa.

- Choćby do jutra i bez narzekania - odpowiedział Maks.

- To ja może tymczasem podam panom kawkę, powiedziała mama włączając ekspres, zaś pan domu zaczął wyjmować z kredensu filiżanki, podstawki i zaczął ustawiać na stole a kiedy postawił cukierniczkę na środku powiedział - no i gitara, wprowadzając Maksa w osłupienie.

Ta córusia to oczko w głowie generała, już ją nawet naśladuje, pomyślał Maks.

Julia długo grzebała w szafie, aż wreszcie wybrała zieloną, górą dopasowaną a dołem mocno rozkloszowaną sukienkę, zrobiła to z premedytacją bowiem zieleń podkreślała głębię jej oczu. Na nogi nałożyła białe sandały z paseczków na wysokich obcasach, w których jej mała stopa prezentowała się znakomicie. Przed drzwiami jadalni zwilżyła nieco wysuszone wargi wzięła głęboki oddech i kręcąc zalotnie biodrami weszła. Ale zalotnica! I zniewolony jej uśmiechem, niemal zapomniał o obecności innych osób, żar, który go przeniknął na wylot, nie pochodził od słońca, przecież tu słońce nie dochodziło, więc był skutkiem myśli, które przesuwają mu się przez głowę.

I gdy o tym pomyślał trochę się zawstydził. To niewiarygodne, jak nawet najbardziej skrywane myśli mogą być zdradliwe. Cholera, na czym polega ich zdradliwość? Na tym, że po raz pierwszy w życiu, musiał uświadomić sobie, że pragnie tej dziewczyny bez reszty i na zawsze. Chyba będę musiał się ożenić - pomyślał. Co tam chyba, muszę się z nią ożenić. Więc czy mam teraz zaraz powiedzieć - panie generale, mam zaszczyt prosić pana o rękę pańskiej córki. A może lepiej najpierw paść do nóg Julii i powiedzieć, dziewczyno chcę się z tobą ożenić. A jak mnie wyśmiej? Lepiej powiem jej to, gdy będziemy sami. Przecież nadarza się teraz wyjątkowa okazja. Powiem jej to tak zwyczajnie... Julio proszę zostań moją żoną, albo Julio chciałbym się z tobą ożenić. Jasny gwint, a może piszą o tym w Internecie i wystarczy przeczytać jakąś radę, np. jak się oświadczać, żeby zrobić wrażenie na dziewczynie. Sam już nie wiem, gubił się w domysłach Maks.

Wreszcie doszedł do wniosku, że jeśli go przecucie nie myli, to najpierw powinien zapytać Julię, czy nie ma nikogo, z kim wiązałyby swoje plany na przyszłość, jeżeli nie ma, to dopiero wtedy mógłbym myśleć o wyznaniu miłości, więc zacznę od tego pytania - postanowił.

Kiedy już razem siedzieli w samochodzie, jadąc do drogerii Maks nagle powiedział - Julio, chciałbym abyś mi odpowiedziała na jedno pytanie.

- Pytaj!

- Ale to pytanie jest z serii pytań osobistych.

- Mów.

Więc Maks wydusił wreszcie z siebie czy ma kogoś, z kim wiązałyby swoje plany na resztę życia.

- Nie - odparła.

Nic więcej, żadnych wyjaśnień typu ta sfera życia mnie nie interesuje, albo postanowiłam wyjść za mąż dopiero po trzydziestce. Ale „nie” wypowiedziane takim zdecydowanym głosem, to już coś, pomyślał Maks. Jeszcze gdybym wiedział, czy jest zwolenniczką małżeństwa to już by było dużo. Nagle sytuacja się odwróciła, teraz Julia się zapytała:

- Co ty knujesz? Bo twoje zachowanie dziwnie przypomina mi podchody tatusia, gdy próbuje mnie podstępnie w coś wkręcić. Radzę zaniechaj wszelkich knowań, bo to cię może drogo kosztować.

Przebiegła zalotnica pomyślał Maks. Po czym po chwili jeszcze dodał jedno słowo: czarująca przebiegła zalotnica.

Kiedy po udanych zakupach wrócili do domu, mama powiedziała Julii, że był do niej telefon ze *spa*. Pewnie Beta, oznajmiła Julia, a ojciec zapytał co to takiego *spa*.

- Znam kurort w Belgii o tej nazwie, ale tu chyba nie o to chodzi.

Więc mama Julii wyjaśniła, że to są takie ośrodki odnowy biologicznej, nazwane *spa* od łacińskiej maksymy *sanus per aqua*, zdrowie przez wodę.

- Słyszał pan o czymś takim? - zapytał ojciec Julii.

- Nie, nie słyszałem, podobnie jak pan, panie generale, pierwszy raz słyszę, czy pisze się to tak jak się wymawia? - obłudnie zapytał Maks, a do Julii szepnął: jak ja nauczyłem się łączyć przy tej Julii, to wprost niesamowite.

Julia ledwo mogła przelknąć sens tych słów, i widać było, że siłą wstrzymuje się, żeby nie wyskoczyć z repliką, ale przecież rodzice nie byli stroną w tym zajściu, tylko ten wiecznie z siebie zadowolony, och, jak to było? silny, duży, sympatyczny. Ale co on mnie obchodzi zresztą, to gość taty niech on się martwi o niego i ostentacyjnie wyszła zabierając telefon z sobą. No to teraz godzina mało na plotkowanie dwóch przyjaciółek, pomyślał Maks i poczuł jakby słońce zaszło za chmurkę.

Tymczasem Julia cała była oddana plotkowaniu, bo jakże mogło być inaczej, skoro Beta opowiadała jej właśnie, jak to po jej wyjeździe Maks szukał jej po różnych zakątkach ośrodka, a kiedy się z nią spotkał, to ona mu zaproponowała spacer, na który zresztą on się chętnie zgodził. Więc poszli brzegiem morza i wtedy właśnie tak między wierszami zapytał:

- Cóż to czyżby Julia znowu musiała się uwijać, wypełniając jakieś polecenia wynikłe z przegranego zakładu?

Więc ja odpowiedziałam mu czując przy tym pełną satysfakcję:

- Jesteś w całkowitym błędzie, Julia wyjechała.

- Był zaskoczony, ale nie wariował z rozczarowania, nie myśl. I wiesz co? Chyba się w nim zakochałam, jest taki troskliwy.

- Wiem już co dalej powiesz, duży silny, sympatyczny - dopowiedziała Julia.

- Ale nie wiesz, że chciałabym przeżyć romans z nim z roli głównej. Pragnę, aby to on rzucał niewymowne spojrzenia, aby to on wsłuchiwał się w moje słowa, wpatrywał w moje oczy, pragnął moich ust. Wyznając to Beta aż westchnęła, a cisza z drugiej strony zastanowiła ją. Więc zapytała:

- Co, przesadzam? Mam zweryfikować moje moralne zasady, czyżbym w moich pragnieniach była gorsza od cynicznych męskich podrywaczy? Ale przecież to oni twierdzą, że dla odzyskiwania sił potrzebują towarzystwa urodzinych kobiet, więc może i ja potrzebuję jakiej takiej odmiany. I dlatego widok przystojnego mężczyzny budzi we mnie erotyczne oczekiwania. Zresztą zdecydowałam już podjąć takie wyzwanie. Przecież jestem dorosłą wyzwoloną kobietą, i mam te same prawa i przywileje jak mężczyźni. Jednak myślę, że w przypadku tego przystojniaka, będę musiała dać mu wyraźnie do zrozumienia, czego oczekuję,

a może powinnam wprost zapytać czy mnie pragnie, a jeśli tak to że cała jestem jego i w ten sposób do soboty mogę zostać jego kochanką. Co ty na to?

Po czym dodała.

- Ale to nie będzie takie proste. Ale z drugiej strony coś z trudem zdobyte bardziej się ceni. Słuchasz mnie, Julio?

- Słucham, słucham - odpowiedziała Julia - Tylko, że ten którego pragniesz uwieść, znajduje się tutaj.

- Jak to tutaj, u ciebie? - krzyknęła Beta - Dałaś mu swój adres?

- Nic podobnego, przecież byłaś cały czas ze mną, a potem się już z nim nie spotkałam.

- To skąd wiedział, gdzie mieszkasz?

- Nie wiedział to zwykły przypadek, jak się okazało Maks jest dobrym znajomym mojego ojca, znają się już pięć lat i to ojciec go do nas zaprosił.

- To dlaczego ci nie wierzę? - powiedziała Beta.

- Bo jesteś wściekła. Ale powiedziałam ci prawdę.

- Więc masz znowu powód do satysfakcji, ślicznotko, idź, napawaj się sukcesem.

Julia próbowała coś tam jeszcze powiedzieć, ale połączenie zostało przerwane, życie jednak toczy się dalej, więc Julia mimo złego nastroju, musiała się zmierzyć z rzeczywistością i poczynić drobne uzupełnienie makijażu, a na ustach zainstalować uśmiech, tyle była winna rodzicom. A jutro spróbuje zatelefonować do Bety. Kiedy po zmyciu naczyń i uprzątnięciu kuchni, zjawiała się w ogrodzie, zobaczyła Maksa bawiącego się z psem. Zarówno Teison jak i mężczyzna byli całkowicie pochłonięci sobą. I tylko od czasu do czasu dawał się słyszeć szczek, mlaśnięcie i słowa Maksa:

- Ależ ty masz mokry ten jęzor, nie musisz mnie tak dokładnie lizać.

Julii chciało się śmiać, bo dobrze знаła świadczone przez psa karesy, i podziwiała Maksa za jego stałość uczuć, gdyż musiał się bardzo starać, by nie dotknąć psa swoją oziębłością. Nagle Teison wyczuł obecność Julii, przerwał zabawę i ogłosił to szczekaniem. Maks rozglądnął się dookoła i widząc Julię podszedł do niej i zaproponował by usiedli obok krzaków migdałowca. Julia mając na względzie to porzekadło *gość w dom Bóg w dom* usiadła na ławce i zapatrzyła się na zachodzące słońce. Nie miała ochoty na rozmowę, bo gadanie Bety wprowadziło dziwny chaos w jej głowie, Maks też nic nie mówił, jakby ważył słowa, które chciałby wypowiedzieć, a może w tej przedwieczornej ciszy przeżywał jeszcze raz to awaryjne lądowanie. Przecież takie traumatyczne przeżycie musi w nim tkwić głęboko. Julia ze współczuciem, odwróciła głowę w stronę Maksa, spojrzała mu w oczy i na chwilę, ich spojrzenia spotkały się, i zaraz Maks powiedział, w tym świetle twoje oczy są aksamitnozielone. Po chwili jeszcze dodał, mam nadzieję, że nie zabrzmiało to banalnie, jesteś niezwykle atrakcyjna.

- Ale zabrzmiało jak wyuczony tekst - powiedziała Julia chłodno - Czy zawsze skutkuje? Maks pochylił się i nakrył dłonią jej dłoń:

- Zupełnie mi nie ufasz, a ja niczego nie gram, jeżeli mówię, że jesteś pociągająca to właśnie to mam na myśli, może jeszcze i to, że dobrze mi w twoim towarzystwie. Jestem tak uczciwy, jak tylko potrafię.

Julia przez chwilę zastanawiała się nad słowami Maksa, a potem powiedziała:

- Nie mam żadnych uniwersalnych zasad, które mogłabym stosować wobec ludzi nowopoznanych, ale wiem, że z natury jestem zbyt ufna, zbyt łatwowerna, dlatego wycofuję się, kiedy ktoś okazuje mi zainteresowanie, czy głębsze uczucie.

- A co będzie, jeżeli staniesz twarzą w twarz z prawdziwym uczuciem, odrzucisz go tylko dlatego, że nie dowierzałaś cudzym słowom? - chciał wiedzieć Maks.

- Nie wiem, może uwierzę. Ale dlaczego właśnie ja, powiedz mi, Maks.

- Ponieważ żadnej kobiecie dotąd nie chciałem składać żadnych obietnic, a tobie jestem w stanie obiecać wszystko, ponieważ jesteś czarująca i niewiarygodnie piękna, ponieważ zabierasz z sobą słońce, kiedy ode mnie odchodzisz i ponieważ cię Kocham.

- Więc ofiarowujesz mi prawdę, miłość i podziw? - zapytała Julia.

- Tak - powiedział Maks - i proszę o wzajemność i wierność.

- Niby o niewiele prosisz, a jednak jest to prośba o wszystko.

- Ale sam daję też wszystko.

Tymczasem w pokoju hotelowym dla pracowników ośrodka *spa* Beta siedząc w fotelu, wściekała się wymyślając:

-...uszuom swoim nie mogę uwierzyć, coś podobnego! To on tam pojechał? A ja szukałam go tutaj. Ale niedoczekanie twoje, ślicznotko, on jest mój. A i tak się dowiem, kiedy mu dałaś swój adres. Nie wierzę ci, że to był przypadek, dlaczego mnie nigdy nie spotykają takie przypadki? Dlaczego to ja miałam smutne dzieciństwo, dlaczego to mnie zostawił Robert, dlaczego to ja od lat uganiam się, żeby zostać modelką, a nadal jestem jakąś tam wizażystką, dlaczego to ja na każdą rzecz muszę ciężko pracować, a ty dostajesz od życia wszystko pełnymi garściami? Nie zabiegałaś o to, a znowu ci zaproponowali udział w wystawie malarstwa młodych twórców w Londynie. Nic tylko ty, tylko o tobie, tylko dla ciebie - wykrzykiwała Beta - ja mam tego naprawdę dosyć, mogłaś mi przecież przerwać ten nieszczęsny monolog szczerości, moich wynurzeń miłosnych, ale nie przerwałaś, zaoszczędziłaś mi wstydu i upokorzenia, jako tej z góry przegranej. Ale nie, zawsze wszystko w życiu bywa do pary Julio, teraz jest o jedną osobę za dużo, ślicznotko, czy tak jednak musi być? Wystarczy przecież, że zaaranżuję spotkanie we troje, kupię wykwinne francuskie wino, przygotuję trzy lampki i do jednej z nich doleję dwie krople kurary, takiej trującej alkaloidowej mieszanki z korzeni i pędów południowo amerykańskich lian o piorunującym działaniu. Potem już tylko wystarczy, że z zamkniętymi oczami poprzestawiam lampki, tak aby uczciwie dać wszystkim równe szanse. Niech o reszcie decyduje ślepy los jak w rosyjskiej ruletce.

- Ale to zbrodnia, upomniało sumienie.

- Ale przecież swoje życie też stawiam na szali.

Ty nie jesteś Nemezis, zakpiło sumienie, jesteś tylko kobietą z syndromem zawiści.

Podczas kiedy Beta knuła kryminalną intrygę, Maks stojąc na tarasie domu Julii, rozmyślał o wczorajszych wzajemnych wyznaniach. Znał w swoim życiu wiele atrakcyjnych kobiet, ale nie było dotąd wśród nich żadnej, której by tak pragnął. Nawet teraz ogarnęło go przyjemne uczucie radości, kiedy zobaczył, że Julia idzie w jego stronę. Jak zawsze wyglądała znakomicie, w granatowej, lnianej sięgającej jej do kolan sukience. Całość stroju uzupełniały żółte sandały oraz tego samego koloru klipsy i szeroka okrągła bransoletka. Kiedy Julii pozostał do zrobienia już tylko jeden krok, Maks podszedł do niej, przygarnął ją do siebie i zamknął w objęciach. Po czym nachylając się szepnął jej do ucha:

- Kocham cię, dzisiaj jeszcze bardziej jak wczoraj, Julio. Najdalej za godzinę muszę wyjechać, ale wrócę i to najszybciej jak się tylko da. Czekałem tu na ciebie, aby ci powiedzieć o moim wyjeździe, a teraz chodźmy, bo chcę twoich rodziców o tym poinformować. Poszli trzymając się za ręce. Gdy weszli do domu, natychmiast zostali zaproszeni do jadalni, na jak się wyraziła Pani domu, małe co nieco. Stół był już zastawiony, ale nie miał nic wspólnego z małym co nieco, bo był nadziewany kurczak, skrzydełka w miodowej marynacie, pieczona szynka, sałatki, biszkopt ze śmietaną i malinami. Rozmowa przy stole toczyła się wokół kulinarnych przysmaków, oraz na komplementowaniu pani domu, za smak i wykwinność zaserwowanych potraw.

Dopiero przy herbacie rozmowa zeszała na sprawy bardziej aktualne, bowiem Maks dziękując za serdeczną gościnność poinformował, że za chwilę musi wyjechać. Ale ma

nadzieję jutro wrócić, aby się pożegnać przed wyjazdem do Afganistanu. Zarówno Julia jak i jej matka były wyraźnie zaskoczone tą wiadomością. Tylko generał nie okazał zdziwienia, bowiem on musiał wiele wiedzieć na ten temat. Julia nie potrafiła na długo powstrzymać swojej ciekawości, więc zaraz zapytała:

- Teraz do Afganistanu, ale po co?

Maks spojrział na nią z wyraźną troską i odpowiedział:

- Taki zwykły służbowy wyjazd korespondenta wojennego.

Ale u Julii słowa służbowy, wojenny wzbudziły niepokojące skojarzenia:

- Wszystko co brzmi służbowo i ma podtekst wojenny budzi we mnie obawy, ale ja nie jestem żołnierzem, ale pan, panie generale, co pan na to, zapytała Julia ojca.

- Ja na to, że rozkaz to rozkaz, a polecenie służbowe, to polecenie służbowe i należy je wykonać. Zresztą Afganistan to takie samo miejsce, jak każde inne gdzie toczą się walki. Należy jednak pamiętać o tym, by podporządkować się afganikańskim zwyczajom, unikać wszelkich subiektywnych ocen oraz jawnej prowokacji. Sami Afgańczycy są nieufni i z wyraźnym dystansem do obcych, ale to przecież kraj muzułmański.

- Czy pan wie, panie generale - odezwał się Maks - że coś się jednak i tam zmienia? Młoda generacja w Kabulu uczy się pilnie angielskiego. I tak, gdy spotykani na ulicy starsi Afgańczycy nawet boją się spojrzeć obcokrajowcowi w oczy, to młodzi chętnie zagadują do nich po angielsku...

Po tej wypowiedzi zapanowała przy stole chwila ciszy, którą przerwał Maks, podnosząc się zza stołu i wygłaszając okolicznościową formułkę, że jeszcze raz dziękuje, że wszystko było nad wyraz smaczne. Wreszcie podszedł do żony generała i żegnając się podziękował za miłe chwile spędzone w ich domu. Potem przyszła kolej na Julię, która nerwowo podała mu rękę, ale on tą rękę zatrzymał chwilę dłużej, wyraźnie celebrując to pierwsze pożegnanie i patrząc Julii w oczy z wielką tęsknotą. Pozostało mu jeszcze tylko pożegnać się z gospodarzem domu, ale tu wystarczyło serdeczne uściśnięcie dłoni i krótkie życzenie:

- No to szerokiej drogi, chłopie.

Wreszcie przyszła kolej na Teisona, a to pożegnanie musiało potrwać trochę dłużej, jak bowiem można inaczej wyrazić psu swoją sympatię jak nie przez głaskanie i drapanie za uchem. Julii przez ten cały czas udało się zachować przyklepiony uśmiech na ustach, ale tak naprawdę czuła się okropnie. Zakochana, ale i zawiedziona, już sama nie wiedziała gdzie zaczyna się prawda, a gdzie sen. Muszę zostać sama, postanowiła. Muszę nabrać dystansu do wydarzeń. I jeszcze raz to wszystko przemyśleć. Więc tylko spacer, długi spacer da mi taką szansę. Jednak muszę się jeszcze dodzwonić do Bety, ale komórka nie odpowiadała, a numer służbowy Bety był stale zajęty.

Po kilkunastu próbach połączenia się, Julia w końcu zrezygnowała, pocieszając się, że skoro Maks musiał wstąpić do *spa* po swoje rzeczy, to na pewno spotka się tam z Betą i powie jej o swoim zamiarze wyjazdu do Afganistanu. Więc tak czy owak, Beta nie będzie miała już powodu do zazdrości i zawiści oraz bezpodstawnych oskarżeń. Wobec czego przyjaciółka zateęskni do dawnych przyjaznych relacji.

Kiedy Julia obudziła się następnego ranka, przez chwilę nie wiedziała gdzie się znajduje, dopiero kolejne liźnięcie jęzorem przywróciło jej pamięć.

- Daj spokój, Teison - próbowała się jakoś bronić od psich umizgów.

Ale wiedziała, że nie wygra, więc odwlekała moment wstania gadaniem. Niech pies da spokój, niech pies poczeka, powoli gramoląc się z łóżka, kiedy jednak poczuła zapachy kuchenne przenikające do jej pokoju, od razu nabrała przyspieszenia, przecież obiecałam mamie pomoc przy drelowaniu wiśni i marynowaniu ogórków. Więc najpierw praca, mitygowała psa a potem długi zasłużony spacer, moje ty wieczne utrapienie. Po czym

maksymalnie szybko zabrała się za sprzątanie pokoju i ubieranie się. Po chwili już stała w kuchni, meldując służbowo swoje przybycie.

Dochodziła czternasta, kiedy wreszcie zajęcia kuchenne dobiegły końca. Teraz szybki prysznic, zmiana ciuchów na niepachnące octowo - korzenną marynatą i spacer. Nagle jak na zawołanie, pomyślała o Maksie, ciekawa jestem gdzie on teraz jest. Dlaczego nie mogę o nim przestać myśleć. Więc okazuje się, że słusznie bałam się wszelkiego zamętu jaki mógłby się wkraść w moje uporządkowane życie, i stało się. Kwadrans później z Teisonem przy nodze, spacerowym krokiem szła w stronę jeziora. W miejsce, które szczególnie lubiła. Kiedy przechodziła asfaltową szosę kierując się w stronę polnej drogi zobaczyła samochód, który wydał jej się znajomy. Ale natychmiast zaczęła perswadować sobie, że czekając z utęsknieniem na ukochanego, wszystkie mercedesy muszą wydawać się jej znajome. Więc weź się w garść dziewczyno, bo jeszcze popadniesz w jakąś melancholię. A jednak nie myliła się, gwałtowne hamowanie i hałas zatraskiwanych drzwiczek zwrócił jej uwagę. Zatrzymała się i zobaczyła idącego w jej stronę przyspieszonym krokiem Maks. Zaraz wyrosły jej skrzydła u ramion i już ku ogromnej radości Teisona biegła w stronę ukochanego. On porwał ją i tuląc w ramionach, całował przy głośnym wtórze psiego szczekania. Dzień był upalny i powietrze drżało od gorąca. Więc postanowili kontynuować spacer, ale na moment musiał Maks wypuścić Julię z objęć i przywitać się z psem. Więc kiedy stanął plecami do słońca, otoczyła go jasna poświata, która sprawiła, że wyglądał na jeszcze potężniejszego niż zwykle. O takim mężczyźnie marzyłam, pomyślała Julia i czując na sobie badawcze spojrzenie błękitnych oczu, odwzajemniła się ciepłym uśmiechem. Szczęśliwi wolnym krokiem poszli przed siebie. Przystanęli dopiero na zielonym zboczu opadającym stromo w stronę jeziora. Maks stanął za Julią, objął ją, wtulił twarz w jej puszyste włosy i wyznał:

- Kocham cię, najbardziej na świecie.

-A mówiłeś, że nie jesteś romantykiem.

- Zmieniłem się widocznie, a to wszystko przez to, że kocham cię do szaleństwa.

Zobacz, co mam dla ciebie.

Podał jej pudełeczko, obciążone niebieskim aksamitem.

- Otwórz - cicho poprosił.

Drżącymi dłońmi uniosła wieczko, spojrzała na pierścionek i zobaczyła mieniący się w słońcu brylant na szerokim złotym kółeczku.

- Wyjdiesz za mnie? - łagodny ton jego głosu sprawił, że Julia była bardzo wzruszona i dopiero po chwili odpowiedziała – tak - wsuwając pierścionek na palec. Pasował idealnie. Potem pocałowała go namiętnie, wyrażając w ten sposób ogrom swoich uczuć.

- Julio, jeszcze dziś chcę się oświadczyć twoim rodzicom.

- Nie możesz, znamy się zaledwie tydzień i ukryliśmy przed rodzicami naszą wcześniejszą znajomość.

-To ty, moje słoneczko, nie ja. Tak się składa, że ja nic nie miałem do ukrycia, chwalił się Maks.

- Ale w końcu zostałeś współnikiem kłamstwa, a to też jest karalne.

I już Julia ze śmiechem mówiła dalej:

- Mój ojciec jest starej daty i zaprotestuje. Już teraz mogę ci powiedzieć co usłyszysz...

Pan daruje i bez urazy, ale Julia to coś najdroższego czym obdarzyło mnie życie i jej los jest dla mnie najważniejszy. Nie mam nic przeciwko panu, ale nalegam, poznajcie się lepiej, poczekajcie z małżeństwem, nacieszcie się sobą i życiem.

Tym krótkim monologiem Julii Maks został przekonany i zgodził się poczekać z oświadczeniami do powrotu z Afganistanu. Więc ich ciche zaręczyny pozostały na razie tylko ich tajemnicą. Kiedy podjechali razem pod dom Julii zastali rodziców w ogrodzie przed domem i na pytanie skąd przyjechali razem, wytłumaczyli, że spotkali się przypadkowo, kiedy Julia wracała z psem ze spaceru. Kłamali bardzo przekonująco, ale mimo pośpiechu

Maks i tak zdążył powiedzieć Julii - jak myśmy się nauczyli łąć, Julio. To sformułowanie „my” bardzo ubawiło Julię, więc z uwielbieniem spojrzała na wpatrzone w nią z miłością błękitne jak niebo oczy ukochanego.

Samo pożegnanie przebiegło zwyczajnie, jak pożegnanie przyjaciół, Julia i Maks nie chcąc wprowadzać rodziców w konsternację, nie okazywali sobie jawnie uczuć i dopiero kiedy Maks wsiadał już do samochodu, udało mu się jeszcze szepnąć:

- Kochaj mnie i czekaj na mnie.

Kiedy samochód znikł za zakrętem, Julia zrozumiała co Maks miał na myśli mówiąc, że gaśnie słońce, kiedy ona odchodzi. Ona też chciała krzyknąć za nim, nie zabieraj mi słońca z sobą. Ale przecież dzień trwał nadal, jej kilkudniowy pobyt u rodziców też dobiegał końca, więc nie pora myśleć i smucić się, że czasami nie wraca się z takich niebezpiecznych wypraw jak ta, w którą wybrał się Maks.

Pora zabrać się za malowanie, skoro poważnie miałyby potraktować swój udział w proponowanej jej wystawie. Musi o tym porozmawiać z rodzicami, najlepiej zaraz. Oczywiście jak słusznie przewidywała, plany jej spotkały się z pełną akceptacją, ba wydało się jej nawet, że rodzice są dumni z jej osiągnięć, ale przecież zawsze ta sfera jej życia była idealna.

Wiele godzin później, kiedy przechodziła do kuchni, podслуchała dziwną rozmowę, jak mama mówiła do ojca:

- To miły człowiek i bardzo przystojny, mówiłeś, że to świetny dziennikarz - i już Julia wiedziała o kim mowa.

Po chwili usłyszała:

- A widziałeś, jak patrzył na Julię, nie spuszczał z niej wzroku, myślę, że mu się musiała spodobać. Zresztą to, że wrócił dzisiaj, aby się pożegnać, nakładając tyle kilometrów jazdy to tylko z powodu Julii.

- Czekasz na mój komentarz? Więc on brzmi tak - niech się zaraz zamienię w wielbłąda, jeżeli on naszej jedynaczce pozostał obojętny. Co więcej, ona jest nim oczarowana, mało tego, podejrzewam, że nawet zakochana, o czym świadczą jej rozmarzone oczy.

Julia aż drgnęła na ojcowską przenikliwość, ale nie byłaby sobą, gdyby po swojemu nie skomentowała faktu:

- A mój komentarz do komentarza brzmi: no i gitara.

Kalina Gruca

*Płynę po morzu nieba, gubię pióra
Jeśli znajdziesz je, zabierz ze sobą*

Ciało – broń doskonała (fragmenty)

Bóg nie pozostawił nas bezbronnymi na tym świecie, co prawda nie dał pierwszym ludziom ani bomby atomowej, ani armatek okrętowych, to jednak zostawił nam wielofunkcyjne ciało z różnymi automatycznymi bajerami i takimi, które musimy sami dopracować...

Według słownika PWN broń to narzędzie walki, przedmiot służący do obrony własnej lub do atakowania nieprzyjaciela. Ciało spełni te warunki gdyż nie tylko potrafi obronić się, ale i zabić...

Ciało – broń, ale jaka: pancerna, palna...?

Ile razy uzbrajaliśmy się w cierpliwość?

Ile razy znaleźliśmy się na celowniku?

Ile razy zostaliśmy zbombardowani pociskami słownymi?

Ile kobiet ma w sobie dynamit?

To dowód na to, że ciało jest bronią palną, ale nie tylko, również i chemiczną – nie jeden człowiek jest toksyczny. Zbroją jest skóra to potwierdza jej naturę jako broni pancernej i został nam jeszcze jeden rodzaj broni, broń biała tu na pierwszy rzut pomyślałam o kobiecych szponach nie jeden samochód zarysowały.

Przykładem wykorzystania ciała jako broni są sztuki walki dla niewtajemniczonych jest to istna czarna magia, co prawda karatecy nie używają zaklęć, ani nie sporządzają śmiertelnych mikstur to jednak ich różdżką jest ciało, a cała iluzja jest oparta na znajomości nauki i anatomii człowieka.

Ale co sprawia, że karate to broń tak grubego kalibru?

Na sklepowej wystawie stoi smutny manekin, a właściwie jego żeńska forma, ubrana w różową suknie.....jednak czegoś brakuje...dodatków

Również w sztukach walki prócz technik i siły są również „dodatki” można je porównać do dopełniaczy w zdaniu nie są konieczne, a jednak sprawiają, że zdanie staje się treściwsze, wartościowsze, lepsze.

Tymi dodatkami w karate jest ODDECH, OKRZYK, zabójczy WZROK...

Są różne sposoby werbalnego przekazywania uczuć żaby kumkają, konie parskają, koty miauczą, papugi mówią, a człowiek potrafi to wszystko...

Mamy niezły wykształcony aparat mowy czemu go nie wykorzystać? I to on przydaje się w karate do kiai czyli OKRZYK bojowego towarzyszącego uderzeniu to on wytrąca przeciwnika z równowagi, burząc jego harmonie.

Kolejnym „dopełniaczem” jest ODDECH prowadzący uderzenie, zatrzymującym go i dźgającym nim. Jest dyrygentem każdego ciosu.

Została nam jeszcze JEDNOŚĆ. Zwykły człowiek podzielony jest na segmenty: lewa ręka, prawa, kończyna dolna, górna, głowa i tak dalej. Jak wspominałam siła idzie przez ziemię, a więc potrzebuje dobrego przewodnika, który połączy źródło z odbiorcą (przeciwnikiem).

Ciało broń idealna z jednym mankamentem. Męczy się, od czasu do czasu trzeba ją podładować kaloriami, pomedytować, zaprowadzić pokój pomiędzy myślami a duchem.

W sumie medytacja to super sprawa, można zapomnieć o oknach wysmaganych smugami brudu, o zalesionym ogródku, o dywanach czekających na biczowanie i skupić się na pustce...

Ciało to potężna broń, rzadko kto umie się nią w pełni posługiwać, ale warto wiedzieć, że jesteśmy po zęby uzbrojeni...

...co nie znaczy, że mamy tej broni użyć.

P.S. Przyda się podczas
nalotu Marsjan

Poezja jest krucha,
naznaczona stygmatami uczuć,
narażona na niezrozumienie.
Poezja biegnie, szuka, zachwyca,
ale nigdy się nie zatrzymuje
choćby wiatr,
choćby nic przed nią nie było,
choćby się życie skończyło...

Do Itaki

Lecę ulotność skrzydeł
niesie mnie ponad górami
naprzeciw wiatrom
Lecę na czasowością i nazywalnością
słowa zamknięte w monologu westchnień
Lecę do Itaki!
w oczach buzuje tęsknota
rude włosy słońca ocierają mi twarz
nadal lecę
zarzucam sieć spojrzeń
widzę Itakę
 łąki, góry, zamek
otumaniona błękitem nadal lecę
łapie puch chmur w kieszenie
zamyślona szczęśliwością
przelatuje,
spadam,
 ginę...

Itaka jest taka pusta,
kwiaty już nie pachną tak jak wtedy,
strumienie pozmiały bieg,
myśli wciąż wertują dawną
księgę pozytywnych wspomnień.
Pamiętam jak odpływałeś.
Nikt tak na mnie nie patrzył,
nikt nie uśmiechał się tak,
brakowało mi ciebie.
Co dzień zbierałam liście nadziei,
gdy już przesypała się klepsydra
mojej cierpliwości,

gdy zaczęłam je puszczać na wodzie niczym statki,
gdy już daleko odpłynęły, ty przychodzisz.
Jak przyzwyczaić się do ciebie?
zawsze lubiłeś strugać koniki z drewna,
teraz stoisz beczynnie na tronie zaczytany we własne myśli.
Troja pozbawiła cię szarmanckiego spojrzenia,
usta twoje wyschły,
Odpłyn.
Ty i tak odpłyniesz przepowiednie rządzą twym losem
Odpłyn proszę nim znów się zakocham...

Niebiańska zabawa w chowanego

Chowam się
ale mnie nie znajdziesz
moja kryjówka jest daleko, w innym świecie

nie musisz mnie szukać
możesz liczyć do nieskończoności
a tam za tą barierą
znajdziesz mnie

i wtedy ja będę szukać...

Penelopa tęskni

Gdzie jesteś mój ukochany?
Gdzie porwał cię wiatr losu?
Stawiam marne pytańniki na rozdrożu myśli
Posyłam do ciebie motyle
na ich skrzydłach zapisana moja miłość
Odpisz, proszę
Miałeś oczy w kolorze anyżu, usta różane, dłonie delikatne
włosy sadzą malowane,
milczenie było naszym językiem,
Gwiazdy dla mnie zrywałeś, czas załamywałeś
A teraz cię nie ma...
Płynę po morzu nieba, gubię pióra
Jeśli znajdziesz je, zabierz ze sobą
Jeśli znajdziesz brylanty, zostaw

Przeżywam chwile
jedną po drugiej
automatycznie

a potem i tak gubię je jak parasolki
na trawie
w restauracji
w poczekalni u dentysty
wyciągam
indiańskie pióra
wplecione jak zakładki
pomiędzy myśli
rzucam cienie
na miłość
na szczęście

Usypuję kopiec ze smutków
Na pamiątkę
zawieszam łązy na choince
dojrzewają jak motyle – niepozornie
ozłacane, oślepiane promykami słońca
szturchane przez wiatr przeżywają
spadają jak czerwone jabłka
z napisem dla naj...

Wiara czyni cuda

Bujam się na
huśtawce

zawieszanej
na białej nitce do drzewa
nie urwie się

bo w nią wierzę...

Krzysztof Kokot

*Inaczej patrzy na życie,
Kto stanął kiedyś na górze*

Daj mi talent

Wiosnę pochwycić, choć szybko umyka,
Dostrzec skowronka na nieba bezkresie,
Spieć się przy źródle muzyką strumyka,
Umieć wyśpiewać, co głos serca niesie.

Słońcem zalane namalować lato,
Górskie dziedziny zabarwić pastelą,
Hale okrywać jaskrów żółtą szatą,
Patrzeć, jak dymy po wioskach się ścielą.

Wyrzeźbić jesień, dłuta ostrym słowem,
Odgłosy dzwonów zachować w pamięci,
Od drzew pożółkłych brać barwy miodowe,
Chłonać pejzaże, aż łza się zakręci.

Dotknąć śnieżynki misternej na twarzy,
Złotym janczarem zagrać mroźne tony,
A przy kominku posłuchać się marzy,
Śnieżnej zawiei tan wichru szalony.

Chciałbym mieć talent, by dokonać tego,
Odnaleźć niebo tutaj, blisko domu,
Poznać urodę, świata tak cudnego,
Dajże mi talent, nie powiem nikomu.

Leprosus*

Dobytek życia w kurzu drogi,
Za bramy miasta jestem wygnany,
Strupy na ciele, rany na duszy,
Chmury nad losem, głód i łachmany.

Zaraza kruche ciało kaleczy,
Jestem stracony, martwy dla świata,
Moi kompani, trupy chodzące,
Wioska upiorów, nie znajdziesz brata.

Klekot kołatki, ktoś ochłap rzuci,
Spod wiejskiej chaty psy cię przepędzą,
Tam za murami ma białogłowa,
Żyję wspomnieniem, smutkiem i nędzą.

Wejść między ludzi zakaz mam srogi,
Wody ze studni wypić nie mogę,
Wstęp zabroniony, nawet przed Boga,
Człek mnie unika, mija mą drogę.

Pod wiatr wołanie, bez odpowiedzi,
Sił już nie staje, śmierć cicho czyha,
Kiedy zapuka, po mnie zostanie,
Gdzieś na pustkowiu mogiła licha.

*Leprosus (łac.) – trędowaty

Kto stanął na górze

Przysięgam, wejdę najwyżej,
Percią po piargach zawiałą,
Spojrzę Ci prosto w oczy,
Utwierdzę się Twoją siłą.

Odważnie mijam otchłanie,
Życia rozterki, zawieje,
W cień góry zejść spokojny,
Choć wichur niepokój sieje.

Wieczorem na tafli stawu,
Szczyty i niebo się mienia,
Zadumam się pod siklawą,
Dam ponieść się wspomnieniom.

Świeczkę zapalę w schronisku,
Leniwie fajkę zakurzę,
Inaczej patrzy na życie,
Kto stanął kiedyś na górze.

Sielanka

Kiedy o świcie
Mgły po dolinach
Wciąż śpią pokotem

Tu ranne słońce
Domy maluje
Prawdziwym złotem

Gra kopytami
Radosne scherzo
Pegaz mleczarza

Koguty pieją
Dzwon się obudził
Sielankę stwarza

Na horyzoncie

Ostro ku niebu
Tatry wysokie

A ja po łące
Pełnej stokrotek
Leniwym krokiem

Płynę i słucham
Ptaków śpiewania
Dzień się zaczyna

To moje miejsce
To pępek świata
To Maruszyna

Mazowiecka nuta

Wyfrunęła w świat
Lotem mazowieckiej jaskółki
Wartką melodią
Potem rozeszła się w mgle poranka
Po łące rozespanej
Słuchała bolesnych szlochów
Utraconej Warszawy
Z Placu Vandome daleko
Telegraf uczuć
Przelany na taśmę pięciolinii
Do Matki, do Domu, do Polski
Chociaż sercem
Chociaż znakami
Na partyturze życia...
C'est la vie... Monsieur Chopin!

Nagietkowe pole

Kombajnista w starej pilotce zapalił podłego „Fajranta”, ale to nie był koniec pracy. Pozostało jeszcze do skoszenia pole nagietka lekarskiego. Beznamiętnym wzrokiem spoglądał na znikające pod maszyną kwiaty. Pomarańczowa wstęga kurczyła się. Estetyczne wrażenia były mu obce. Każą kosić, to kosi. Byle była zapłata.

Jeszcze nie był taki stary, ale twarz miał tępą, znudzoną. Wzrok utkwiony w pole, monotonia pracy i brak kontaktów z ludźmi czyniły go o wiele starszym. Mieszkał samotnie poza wsią na odludziu. Tylko pies, kilka samowystarczalnych kur, świnka i stara krowa czyniły go gospodarzem. Sam nie wiedział, po co to chowa. Zysku żadnego, tylko obowiązki i odrobina litości do starej Maliny, która pamiętała jeszcze zmarłą pod jesień matkę. Po ojcu została tylko pomięta fotografia. Innej rodziny nie miał.

Podjechał maszyną w obejście dawnego kółka rolniczego. Wyczyścił ostrym strumieniem wody, zaraz po pracy – tak jak żądał prezes. Podpisał jakiś świstek i kasa wypłaciła gotówkę. Nie trzeba było nawet pluć na palce, aby przeliczyć banknoty. Ociężale włączył na rower i odjechał w stronę domu.

Przywitało go radosne szczekanie stęsknionego psa. Przeleciał wzrokiem obejście, ściągnął buciory i z ganka wszedł do kuchni. Nie wierzył bankom. Zarobione pieniądze chował w puszcze po landrynkach. To pewniejsze i nie trzeba się prosić jak grosz potrzebny. Jeździć do banku, afiszować się. Tak było zawsze i było dobrze. Przeliczył jeszcze raz, odliczył na fundusz reprezentacyjny, czyli na papierosy i na tacę do kościoła oraz na kulturę, to znaczy cotygodniową wizytę w barze, ważniejszą niż dzienniki telewizyjne i radiowe do kupy wzięte.

A że przy okazji coś nie coś wypił? Przecież pił za swoje, inaczej straciłby zupełnie kontakt z lokalnymi aktywistami.

Włączył stary telewizor i odgrzewał jedzenie. Jak to u kawalera, gotował więcej, potem przez kilka dni jadł to samo. Obraz coś marny pomyślał, trzeba poruszać anteną. Wyszedł na zewnątrz budynku spojrzeć na ustawienie anteny. Trochę pogrzebał. Wracając już na progu poczuł swąd spalonego obiadu. Wybiegł na pole i całość wylał świni do koryta. Postanowił zjeść w barze.

Do wsi trzeba iść ponad kwadrans, ale czas się nie dłuży. Tu spojrzysz się na ludzi w polu, to znów spotka znajomego i już zaczyna się wieś. Na skrzyżowaniu z główną ulicą jest przystanek i bar. Okazało się, że wyjątkowo pusty, gdyż w telewizji o tej porze zaczęto powtarzać serial z Klossem. Siadł blisko okna i czekając na żurek z kiełbasą błędził wzrokiem po ulicy. Już się ściemniało, gdy kończył drugi kufelek. Pod barem zatrzymał się autokar z pijanymi kibicami, którzy szturmem rzucili się na blaszany szynkwas, żądając wódki i piwa.

Ryki, przekleństwa przemieszane z strzępami boiskowej pieśni zawładnęły ciasnym pomieszczeniem. Nie zwracali na niego uwagi wynosząc butelki do autokaru. Gdy ostatni byli na stopniach ruszającego pojazdu, usłyszał brzęk tłuczonej szyby i ostry ból z tyłu głowy.

- Budzimy się! – dochodziło z daleka.

Czuł dotyk na ramieniu, lekkie potrząśnięcie. Z trudem starał się otworzyć oczy. Jasność, wirujący obraz pergaminowej bieli i kropla za kroplą z plastikowego pojemnika. W głowie pustka, gdzie jestem? Fala obojętności, powieki opadają, świat się ponownie zapada.

- Proszę otworzyć oczy – usłyszał, jakby bliżej.

Z trudem wykonał polecenie. Najpierw niewyraźnie, potem coraz ostrzej widział twarz pielęgniarki. Czepek wpięty w krótkie włosy. Na twarzy malowało się oczekiwanie.

A jednak to szpital. Dochodził szybko do siebie, chociaż zdarzały się momenty amnezji, zawroty głowy i bóle w miejscu uderzenia. Nikt go nie odwiedzał. Pił szpitalną herbatę, bo nie miał grosza na mineralną ze szpitalnego sklepiku.

Pewnie to był drugi lub trzeci dzień po odzyskaniu przytomności. Wracając rzeczywistość, martwił się o dobytek i zwierzęta zostawione samopas. Zaraz po obchodzie lekarskim, zjawiała się pielęgniarka – ta sama, którą pamiętał po przebudzeniu – przynosząc drobiazgi: sok, wodę, jednorazową maszynkę do golenia, mydło i kaptur. Powiedziała, że rozliczą się później. Nie zdążył podziękować, już jej nie było.

Po południu pierwszy raz wstał z łóżka. W lustrze nad umywalką zobaczył bladą zarośniętą obcą twarz z białym opatrunkiem. Ogolił się i poczłapał przez korytarz do dyżurki. Został ją samą, wpatrzoną w monitor komputera. Musiał wyglądać nietępo. Uśmiechnęła się, strofując:

- Powinien pan leżeć! Jeszcze zbyt wcześnie na wstawanie – dodała łagodnie.

Wyczuł serdeczność w jej głosie. Nawet dość zgrabnie podziękował za zakupy i o dziwo zdobył się na prośbę. Ktoś musi nakarmić psa i świnkę, wypuścić krowę z obory. Nie wiedział, jak rozwiązać kłopot. O zwolnieniu z szpitala nie było mowy.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Jeśli nie ma pan obaw, że coś zginie to proszę mi dać klucze.

Klucze zostawiał w starym garnku na parapecie. Tak było z dawnymi, nic nie ginęło, a cóż miało zginąć - stary telewizor, radio „Szarotka” – wiekowe. Pudełka po landrynkach i tak nikt nie znajdzie.

Na drugi dzień miała wolne, mimo to zjawiała się w szpitalu.

- Gospodarstwo obyte – skwitowała krótko, radośnie.

Pacjent został wypisany w stanie ogólnym dobrym. Wskazana kontrola w poradni neurologicznej i zmiana opatrunków. Zwolnienie lekarskie i wreszcie do domu.

Poszedł z papierami do dyżurki, by jakoś umówić się na zwrot pieniędzy i wypadałoby podziękować za opiekę i fatygę, może jakaś kawa, bombonierka?

„Swojej” pielęgniarki nie zastał. Właśnie była po dyżurze i zmęczonym krokiem szła w kierunku czerwonego malucha. Wybiegł za nią przed szpital. Lekko zawirowało mu w głowie. Musiał przystanąć i chwycić się poręczy. Bystre oko pielęgniarki dostrzegło jego postać. Zostawiła torbę i podeszła.

- Proszę siadać, podwożę pana do domu, drogę znam, to niedaleko.

Pies skakał z radości na ich widok. Dobry pies, dobry. Spięty wszedł do domu. Wstydził się przed gościem za starokawalerski bałagan, który zostawił. Już zaczął się usprawiedliwiać, lecz...

Stół czysty, garnki zmyte, popielniczka pusta!

- Pozwoliłam sobie trochę ogarnąć, ale tak z grubsza. Chyba się pan nie obraził? - spytała.

Czuł do niej sympatię, uczucie od dawna mu obce. Wyrównali rachunki, już miała odejść, gdy niespodziewanie dla samego siebie zapytał:

- Może by pani mnie jeszcze kiedyś odwiedziła?

- Przyjadę jutro, zmienię panu opatrunek. Kupię co trzeba w aptece, a pan niech się z domu nie rusza. Proszę mi mówić Ewa. Tak będzie prościej.

Pokręcił się trochę po podwórzu. Wyciągnął kosę i pościął chwasty wyrosłe pod płotem. Przy furtce kwitły różowe floksy. Zbierało się na deszcz. Wszedł do domu i nie świecąc światła położył się na kanapie, w swoim wygniecionym dołku. Z rękami założonym pod głowę patrzył w sufit. Myśli powędrowały do młodości. Był jedynakiem. Matka - młoda wdowa – pracowała w szwalni. Zakładowy autobus zabierał ją o świcie, wracała późnym popołudniem. Cały dzień był sam. Po szkole, gdy koledzy mieli wolne, grali w piłkę lub gonili po polach, on samotny wracał do odległego domu. Tam już czekały obowiązki.

Pani z biblioteki wybierała mu książki. Pasąc krowy i czekając na późny obiad, czytał Verne'a i Szklarskiego. Pamięta do dziś przygodę kapitana Nemo i Tomka. Potem jeszcze zawodówka i dorosłe życie, aż do dziś. Tak – mruknął do siebie – jesteś stary samotny dziad.

Myśli pętlą wróciły do pożegnania z Ewą. Fajna dziewczyna. Pracowita, rozważał po chłopsku, a także taka spokojna, zrównoważona, bez nerwów. Po prostu sympatyczna.

Pewnie ma życie ułożone, boć przecież ma zdrowo po trzydziestce, a poza tym nic jej nie brakuje. Gdzieżby taka chciała na wieś, jeszcze na taki wydmuchów. Może i sam by się nie przyzwyczyił. Baby trzeba słuchać, gadać miłe słówka, robić co każe. Eee, chyba nawet te myśli są daremne.

Ewa przyjeżdżała codziennie. Zmieniała z wielką wprawą opatrunek na dobrze gojącej się ranie, robiła drobne zakupy, aby nie musiał budzić sensacji z zabandażowaną głową.

Wreszcie rana się zagoiła, pozostała niewielka blizna, prawie niewidoczna. Nie było już potrzeby, a Ewa wpadała do niego co pewien czas, dogadzając mu to kawałkiem dobrej wędliny, śledziem po japońsku, czy lepszym gatunkiem herbaty, której by zapewne nigdy nie kupił. Pewnego pogodnego popołudnia została dłużej. Rozmawiali o swoim życiu. Dowiedział się, że jest równie sama, jak on. Jedyne brat mieszkał w Kanadzie i to dzięki jego hojności mogła wyprowadzić się z hotelu pielęgniarek do kawalerki, którą jej kupił za dewizy. Urodziła się na wsi, potem przenieśli się do dużego miasta, gdzie skończyła szkołę.

Wiedzieli o sobie coraz więcej i znajdowali wspólne zainteresowania. Chodzili na grzyby, oglądali filmy na nowym telewizorze, jeździli do centrów handlowych, co było dla niego nowością. Podstępnie wymieniała mu wysłużoną garderobę.

Kiedyś po dłuższym filmie została na noc.

Był już początek października. Wyszli na południowy spacer, by nacieszyć się resztkami słońca. Szli skrajem lasu, potem polami. Dopiero przy niej zauważał czerwone owoce róży, rosę na pajęczynach i białe pnie brzoź. Doszli do nagietkowego pola, ostatniej jego roboty.

Chciał zacząć opowiadanie, ale nagle przyspieszył kroku. W rogu pola pozostał jeden nieskoszony kwiatek.

Zerwał go i z mocno bijącym sercem, szedł patrząc jej w oczy.

Anna Kram

Odszedł, gdy się zbliżyłam.

Motyl

Pracowałam, kiedy on umierał.

Między uruchomieniem mechanicznego urządzenia służącego do przycinania trawnika a jego użyciem wkradło się przelotne spojrzenie w stronę zbiornika wodnego. Woda w nim zielonkawa, upstrzona liśćmi i gałązkami nie prezentowała się zbyt zachęcająco, mimo to podeszłam bliżej.

Miał przepiękne skrzydła. Soczysta czerwień złamana jesiennym brązem, a na niej czarne esy floresy. Nie ruszał się. Nie mącił nawet najdelikatniejszym ruchem wodnego zwierciadła. Zastygł w milczeniu...

Tknięta niewyjaśnionym wzruszeniem czy też poczuciem misji, pochyliłam się nad lustrem i delikatnie otuliłam krople wokół motyla. Kiedy uniosłam dłonie z Uśpionym, woda powoli przelewała się przez moje palce, tym razem burząc wyraźnie szklaną taflę poniżej. Ułożyłam go na parapecie okna nieopodal, uważając by go nie skrzywdzić (jak gdyby miało to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie) i zaczęłam bacznie mu się przyglądać. Dmuchałam lekko na opadłe skrzydła, przesunęłam opuszką palca po jego grzbiecie a on... wsparł się na wiotkich kończynach i zadrżał.

Ulotne spojrzenie trwające wieczność.

Wróciłam do zajęć. A kiedy zbliżyłam się doń ponownie, niosąc w ręku dwa zielone liście (skradzione krzewom z myślą o nim), nie pozwolił mi podejść na wyciągnięcie ręki, poderwał się do lotu i zniknął. Gdzieś ponad moim ramieniem, poruszywszy wiatr, musnąwszy cieniem policzek, zagubiwszy się w powietrzu.

Odszedł, gdy się zbliżyłam.

Dom

Exitus letalis

- Puk puk.

- Kto tam?

Odpowiedział szelest sukni.

Szczupła, złęknioma twarz dwudziestodwuletniego chłopca wychyliła się spoza gęstych zasłon koloru bordo. Jej właściciel rzucił okiem na uchyloną furtkę do ogrodu, ślady stóp na wysypanej piaskiem ścieżce i wreszcie – na ganek. Dostrzegłszy tam przewiązany wstążką plik kartek, zniknął. Po chwili słyszeć dał się dźwięk otwieranych zasuvek, przekręcanych kluczy i zdejmowanych kłódek. Wszystkie te czynności trwały przynajmniej półtorej minuty, a po ich wykonaniu nastąpiła cisza. Zdażyłam policzyć nasiona jesionu powtykane między cegły starego budynku (prawdopodobnie ślad zabaw dziecięcych) nim M. zdobył się na odwagę uchylecia ciężkich drzwi swojego domu. Nie rozglądając się nawet, podniósł szybko zawiniątko i ukrył się z powrotem. Starannie pozamykał wszystkie zamki. Cały on. Udało mi się jeszcze usłyszeć jego kroki, szelest papieru i zdejmowanej wstążki. Potem już nic.

Sytuacja powtórzyła się kolejnego dnia. Tym razem jednak chłopiec dostrzegł na ganku pudełko. Nie większe od zaciśniętej pięści dorosłego mężczyzny. Koloru malin. Procedura wyjścia była echem wydarzeń poprzedniego wieczora. Tylko zamiast rozkładania papieru usłyszałam przyspieszone tik-tak, tik-tak.

Jego twarz i spojrzenie uspakajały się. Z każdym dniem był coraz mniej przestraszony, coraz pewniej wyglądał spoza kotar zasłaniających wnętrze pokoju gościnnego, coraz krócej trwało otwieranie zatrasków w drzwiach. Tylko wciąż tak samo śpiesznie zniknął za nimi, i tak samo śpiesznie zamykał dom, odchodził w jego głąb.

Przez kolejne dni M. stawał się właścicielem coraz to większej liczby przedmiotów. Czemu to miało służyć świadczy opisana wyżej zmiana zachowania, usposobienia, postawy. Te zaś zmieniały się tylko dla jednego powodu – jeszcze w tym miesiącu M. miał mnie poznać. Wyjść do mnie.

Wyjść ze mną.

Wyjść za mnie i przeze mnie.

W inny dom.

Małgorzata Kranc

*Dopóki nie zdobędziesz czegoś cennego –
nie odczujesz braku,
jak już to otrzymasz, a potem stracisz – zrozumiesz,
że czasem lepiej nie mieć.*

str. 56

Dziękuję

Dziękuję za uśmiech twój,
I za obecność twą,
Za każde nie – bo szczere,
Za każde tak – bo mało ich.
Dziękuję za widok twój,
Za każde słowo, za każdy gest,
Dziękuję bo lubię cię,
Dziękuję i więcej nic.

Chmury

Chmury na niebie, a z nich kapie zimny deszcz,
Chmury między nami, a z oczu leją się łzy.
Burza, ciągle grzmi, w drzewo uderza piorun,
W serce trafia strzała, a ty nie umiesz jej wyjąć.
Huragan i zawieja, pyłki wpadające w oczy,
Kujące, oślepiające, zamykające oczy na dobro,
Gniew pomiędzy nami, żal, niewyjaśniona sprawa.
To już minęło, to już nie tak, po burzy przyszło słońce,
To koniec żali, koniec łez i może być już dobrze,
Spróbujmy uśmiech w życie wnieść i oczy mieć otwarte.

Dlaczego?

Dlaczego nie?
A dlaczego miałyby być tak?
Dlaczego nic nie dzieje się bez przyczyny,
A co jest w ogóle przyczyną tego co się dzieje?
Dlaczego ty, a nie ja?
Dlaczego wy, a nie my?
Dlaczego śnieg pada w grudniu,
A słońce praży w sierpniu?
Dlaczego w cukierni kupuje się ciastka,
A w papierniczym zeszyty?
Dlaczego ty nie wybrałeś mnie,
Tylko ja ciebie?
Dlaczego?

Narodziny radości

Smutek topi się w łzach,
Spada coraz głębiej, głębiej i ginie.
Przez mgłę widać wynurzający się uśmiech,
Unosi się i zawisa tuż przede mną.

Rodzi się cel życia, niezbędnik szczęścia.

Resztki nadziei

Resztki nadziei odeszły,
Zostały zdeptane na drobny pył,
Tak drobniutki, że już nic z niego nie będzie.
Rozpłynęły się po całym świecie,
A może nawet dalej,
Resztki nadziei – nawet ich już nie mam.

Szum

Szum drzew, morza, wiatru,
Szum zaprasza nas na wyprawę, na podróż w nieznane.
Na spacer z sercem i po serce,
Z rozumem i po rozum,
Z duszą i po duszę.
Na spacer, który da więcej niż niejedno rozmyślanie,
Który zburzy mur pomiędzy nami.

Piątka z krainy wyobraźni

W parku spotkała się piątka znajomych, niby zwykłych ludzi, a jednak mieli w sobie coś wyjątkowego: swoje własne pasje, albo drugie oblicze – baśniowe, to którego nikt nie zna. Postanowili więc pokazać ludziom co w sobie kryją, o czym marzą i jacy naprawdę są. A ja to wszystko przelałam na papier i w ten sposób powstały niezwykle charakterystyki tych osób.

Przywędrowała z krainy baśni, w których dominuje przeznaczenie i zwycięża dobro. Przecież kopciuszek zawsze gubi pantofelek, śpiąca królewna budzi się, a królewna śnieżka wypłuka kawałek zatrutego jabłka. A co dzieje się dalej to wszyscy wiedzą. Z której bajki ona jest? jaki scenariusz przygotował dla niej los? A może ona jest z „Titanica”, jako jedyna uratowana. Może ona wzięła się z epoki romantyzmu. Pewnie tak, przecież to indywidualistka, żyjąca marzeniami, chodząca z głową w chmurach. Skądkolwiek jest to na pewno wierzy w to, że nic nie dzieje się przypadkowo. Wierzy w marzenia, w to, że zdoła naprawić świat, no i w księcia na białym koniu. W pewnym sensie jest jak bohater „Alchemika” Poszukuje celu i sensu życia, albo jak Werter nie rozumie świata, w którym żyje. A może to Karusia, która tak naprawdę pojmuje więcej niż wydaje się to innym. Jakakolwiek jest, to na pewno nie da sobą manipulować, nie toleruje kłamstwa i oszustw, za dobro potrafi się odwdziżyć. Chociaż zdaje sobie sprawę, że świat jest szary ma nadzieję na „lepsze jutro”, dlatego tak bardzo lubi kolor różowy. Najbardziej w świecie pogardza złem, dlatego czuje niechęć do Raskolnikowa, bo zbrodnia jest dla niej zawsze zbrodnią, nie potrafi zrozumieć i usprawiedliwić takiego człowieka, on zawsze pozostanie dla niej tylko mordercą. Czuje wstręt do córek Goriota, które swoim zachowaniem krzywdziły ojca. Pogardza Łęcką, która jest dla niej próżną lalką, no, ale Wokulskim to mogłaby być.

Gdyby mogła poprosić złotą rybkę o trzy życzenia poprosiłaby między innymi o szczęście, a definicje szczęścia niech każdy wytłumaczy sobie sam. Nie da się wprost odpowiedzieć na to, jaka ona jest. Na pewno jest oryginalna. Ciągłe „wędruje” i szuka właściwej drogi i chwili, która ją zadowoli, tak jak Faust, chociaż Fausta nie lubi. Teraz kolej na inną osobę, a ją trzeba wysłać na bezludną wyspę z książką pt. „Córka kapitana okrętu”.

Przybyła z krainy Muminków lub z innego baśniowego świata, w którym żyją dobre stworki. Tam czuła się najlepiej, wszystko wydawało jej się takie piękne i zaczarowane, dalekie od rzeczywistości. Smerfy, elfy, skrzaty, to jej ulubione osobki, z którymi z pewnością zaprzyjaźniłaby się. Może dlatego tak bardzo je lubi, bo posiadają wiele zalet: są uczciwe, lojalne, pomagają innym i można na nich liczyć, a na ludzi to nie zawsze. Jakby wróciła do nich byłaby najszczęśliwsza i roznosiłaby swój optymizm po całej okolicy. Chociaż życie bywa ponure, ona zawsze ma dobry humor i próbuje się nie przejmować. We wszystkim doszukuje się tego co najlepsze i nie myśli o problemach tylko o szczęściu.

Najchętniej odwiedziłaby Harrego Pottera, z chęcią również wpadłaby do „Króla Lwa” pogadać z Simbą, a jak by został jej czas to spotkałaby się ze Smerfetką. Oj te baśnie, każdy je lubi, a ona chyba najbardziej no i ma rację, tam jest lepiej i życie jest piękniejsze. No i co jeszcze można o niej powiedzieć? Hm... trudne pytanie, jest to trochę tajemnicza osoba, ale na pewno pozytywna. No, ale teraz zostawmy ją w spokoju, bo spieszy się na ważne spotkanie, jest umówiona z Muminkiem, a on nie lubi czekać.

Z Nibylandii przyfrunęła do nas dobra wróżka, która musiała wyrzec się bajkowego życia i zacząć prawdziwe. Nie wiem czy się jej to udało, ale myślę, że tak bo jest otwarta na nowości i umie znaleźć się w każdej sytuacji. Jest pewna siebie, wesoła i odważna, umie walczyć o swoje. Jak każda czarodziejka wierzy w dobro i moc marzeń, potępia zło, jakby mogła stanęłaby do walki ze wszystkimi przeciwnościami losu i na pewno wygrałaby bo jest

silna i pewna siebie. Na pierwszy rzut oka wydaje się twarda, uparta i zbuntowana, ale w głębi serca jest delikatna i wrażliwa na ból szczególnie zwierzęcy. Jej dobry charakter w połączeniu z bojowością sprawiają, że potrafi poradzić sobie w życiu i jest przez wszystkich lubiana. W nagrodę należy jej się prezent, będzie to bilet w jedną stronę do krainy, z której się wzięła – Nibylandii.

Z Rajskiej Doliny przyleciał do nas zielony smok o imieniu Tabaluga z celem niesienia pomocy innym. Z przykrością pozbył się zielonego pancerza i stał się człowiekiem, który musiał wybrać między życiem baśniowym a realnym. Długo stał przed tym dylematem, ale chyba zdecydował się na prawdziwe życie chociaż chciałby żeby było trochę lepsze. Uważa, że warto wierzyć w marzenia, bo się spełniają i jak każdy dąży do szczęścia. Nie cierpi nudy, lubi jak się coś dzieje i chce być na bieżąco ze wszystkimi wydarzeniami. Ceni u ludzi uczciwość i poczucie humoru, jest pewien, że te cechy nigdy nas nie zgubią. Po tych wszystkich zasługach również należy mu się odpoczynek, niech wpadnie na chwilę z wizytą do swojej Rajskiej Doliny.

Teraz czas na człowieka twarodo stąpającego po ziemi. Książki, to dla niego nuda i strata czasu, baśnie ostatecznie mogą być, ale tylko te w których dominuje prawda. Uważa, że przeznaczenie pochodzi od Boga, i, że to On pomaga nam w spełnieniu marzeń. Nie lubi fikcji, ani bohaterów romantycznych, stawia na godność człowieka. U ludzi ceni szczerłość, odwagę i pokorę, nie toleruje oszustwa i nienawiści. Teraz wypadałoby go gdzieś wysłać, ale nie wyślemy go przecież do świata fikcyjnego. Hm... to może do karetki pogotowia ratunkowego – tak, to jego cały świat.

No i tym sposobem skończyła się nasza zabawa. Zaczynając od księżniczki poprzez Muminka, czarodziejkę i smoka Tabalugę przeszliśmy aż do zwykłego człowieka. Jacy oni wszyscy są od siebie różni, i jakie inne mają poglądy na świat, ale mają też wspólne cechy: przede wszystkim są dobrzy i dążą do swoich celów i jedno jest pewne jak złączą swoje siły to na pewno osiągną sukces i zdobędą szczęście, na które tak bardzo zasługują.

Magdalena Mrugała

*Deszczowa pora mojej duszy
Tani, tandetny melodramat
Nierealna bajka dla dorosłych*

Dworzec główny

Przeterminowany rozkład jazdy
Zardzewiałe tory
Umarły semafor
Przenikliwa cisza w głośniku
Pociąg widmo spóźniony
parę lat
Mroczne wagony bez pasażerów
Konduktor rozmazany na szybie
przeznaczenia
Na betonie strzępy wczorajszej gazety
Wiatr
jedyne goście tego miejsca

Twoja twarz
przesłona mego świata
Twój uśmiech
wszystkie niewyrażone myśli
Twój głos
muzyka mojej duszy
Twój cień
tęsknota moich oczu

Niespełniona miłość...

Deszczowa pora mojej duszy
Tani, tandetny melodramat
Nierealna bajka dla dorosłych
Zawilgłe, zatęchłe wspomnienia

Kolorowe liście mego serca
Zbesztane ludzkimi nogami
W kałuży nienawiści i bólu
Przeznite, śmierdzące uczucia

Edgar

Jesień 1939 roku była inna niż wszystkie. Na ziemię nie spadały kolorowe liście tylko gruzy kamienic. Dzieci nie bawiły się w parku tylko pracowały w obozie, były germanizowane albo zabijane przez żołnierzy Wehrmachtu. Nie było Polski. **Była II Wojna Światowa**. Bombardowanie, holocaust, obozy koncentracyjne i zagłady. Jesień 1939 roku na zawsze pozostała w pamięci całego świata. I na zawsze go zmieniała.

Spotkali się zupełnie przypadkiem w centrum miasta. Marysia nie widziała przyjaciela od początku wojny. Bardzo się zmienił przez ten czas. Wychudł, zapuścił włosy, posmutniał. Gdyby jej nie zaczepił nie poznałaby go. Poszli do najbliższej restauracji i zamówili coś do picia. Nie minęło pół godziny i Staszek musiał ją opuścić. Poprosił jednak, aby na niego zaczekała, ponieważ szybko wróci. Ale nie wracał. Minęła godzina, dwie. Marysia zaczynała się niepokoić. Nie umknęło to uwadze młodego oficera Wehrmachtu, który siedział kilka stolików dalej i bacznie jej się przyglądał. Na oko dał dziewczynie dwadzieścia kilka lat. Miała zielone oczy, i burzę kasztanowych loków na głowie. W porównaniu z innymi kobietami w lokalu niczym się nie wyróżniała, ale miała w sobie to „coś”. Zawołał kelnera, szepnął mu słówko, i chwile później na stoliku dziewczyny pojawiła się lampka wina.

- Od tego pana – powiedział kelner wskazując na Niemca.

Odwróciła się w jego stronę. Skinął głową uśmiechając się. Oddała uśmiech trochę speszona. Po minucie mężczyzna usiadł przy niej.

- Proszę wybaczyć ciekawość, ale co taka piękna kobieta robi sama w takim miejscu? – zagaił.

- Czeka na przyjaciela.

- Ale przyjaciel długo nie przychodzi.

- Długo mnie pan obserwuje, kapitanie? - nerwy jej puściły.

- Wystarczająco długo.

Uśmiechnęła się żeby rozładować napięcie. Kapitan wziął to za dobrą kartę. Był bardzo sympatyczny i szarmancki. Nie przejmował się przyjaciółmi, których zostawił, oraz zdawał się nie zwracać uwagi na to, że kobieta, z którą prowadzi konwersacje jest Polką. Niewiele mówił o sobie. Nie musiał, bo jego mundur powiedział za niego wszystko. Kapitan Edgar Braun był oficerem niemieckich sił zbrojnych narodowo-socjalistycznej III Rzeszy. W Polsce był od niedawna, a stacjonował w centrum miasta w dawnym ratuszu. Miał spokojną pracę, nie angażował się w konflikty z miejscową ludnością. On sam wydawał się być niezwykle spokojnym i sympatycznym człowiekiem. Aż dziw, że nosił niemiecki mundur. Na początku zastanawiała się, dlaczego jest dla niej taki miły. W końcu Niemcy są dobrzy tylko dla dzieci, którym za chwilę mają odebrać życie. Jednak po chwili się zreflektowała. Nie była już dzieckiem, więc nieświadoma śmierć raczej jej nie groziła. Później znów pomyślała, że Niemiec chce ją zwyczajnie wykorzystać, ale w lokalu nie brakowało pięknych kobiet, które dawały mu do zrozumienia, że są nim zainteresowane, a przy których dziewczyna czuła się jak kopcuszek. W końcu przestała go słuchać tylko gorączkowo myślała o swoim wyglądzie.

- Nudzę panią, prawda?

- Nie, w żadnym wypadku - dyskretnie spojrzała na zegarek - Tylko jest już późno i powinnam wracać.

- Dlaczego?

To było głupie pytanie, ale Edgar chciał ją zatrzymać.

- Rodzice pewnie się martwią, że długo nie wracam, a zbliża się godzina policyjna.

- Rozumiem. Jeżeli pani się zgodzi, odprowadzę panią pod same drzwi domu. Kobieta nie powinna o tej porze chodzić sama.

- Gdyby był pan taki miły – powiedziała przez grzeczność, chociaż pomyślała „nie trzeba, dziękuję”.

Kiedy zrozumiała co zrobiła odkryła, że pierwszy raz w życiu coś takiego miało miejsce. Co innego mówić, a co innego myśleć.

Następny dzień zapowiadał się bardzo dobrze. Mama Marysi zrobiła śniadanie, a tata paląc fajkę czytał podziemną prasę, którą zdobył jeden z jego znajomych. Nigdy nie komentował przeczytanego tekstu. Kiedy się denerwował pykał głośniejszą fajką. W domu państwa Michalskich panowała ciepła, rodzinna atmosfera. Nikt nie mówił o wojnie bez potrzeby. Oczywiście pozory normalności czasem były gorsze od szarej rzeczywistości, ale pomagały przetrwać najgorsze. Każdy wiedział, że dom jest ostoją. Wszyscy czuli się w nim bezpiecznie. Pan Henryk od kilku lat był na rencie, a pani Anna zarabowała w domu. Marysia bardzo kochała swoich rodziców. Z mamą mogła całą noc robić na drutach, a z tatą cały dzień dyskutować o twórczości Mickiewicza. Pasją mamy była muzyka klasyczna. Uwielbiała Chopina. Kiedy tylko miała okazję włączała gramofon i słuchała swojej ulubionej Etiudy Listopadowej. Tata natomiast recytował „Pana Tadeusza”. I tak od ponad dwudziestu lat. Marysi udzieliła się pasją do sztuki, i będąc dzieckiem chciała zostać muzykiem. W wieku lat kilkunastu pragnęła zostać drugim Mickiewiczem. Natomiast w czasach szkolnych widziała siebie jako wielką aktorkę. Jednak po maturze zmieniła zdanie i poszła do zwykłej pracy. Wspomagała rodzinny budżet, oraz cieszyła się pewną samodzielnością. W pracy układało jej się dobrze. Współpracownicy ją lubili, a szef cenił.

Po południu do pracy jakaś kobieta przyniosła wiadomość o łapance w centrum miasta. Wszyscy byli niezwykle poruszeni. To pierwsza tego typu akcja w tym mieście. Mieszkańcy co prawda słyszeli o tych praktykach stosowanych w innych miastach, ale nigdy nie sądzili, że i oni padną ich ofiarą. Pierwsze plotki głosiły, że łapanka odbyła się z odgórnego polecenia Hansa Franka, a niejaki kapitan Edgar Braun był jej wykonawcą. Panna Michalska była tym bardzo zaskoczona. Znała kapitana z zupełnie innej strony i nie potrafiła sobie wyobrazić go jako okrutnego żołdaka. Była jednak zbyt młoda by zrozumieć, że Edgar jest tylko jednym z wielu pionków w grze Hitlera. Ona na całe szczęście o tej porze była w pracy, a tutaj Niemcy nie organizują łapanek. Kiedy wróciła do domu, rodziców nie było. Na stole w kuchni mama zostawiła kartkę z wiadomością, że poszli z ojcem do wujka Stanisława i powinni wrócić przed obiadem. Ale na wszelki wypadek pani Michalska zostawiła córce wczorajszy obiad na kuchni, żeby sobie odgrzała gdyby była w domu wcześniej od nich. Dziewczyna zrobiła jak jej poleciła mama, napiła się herbaty i czekała, aż rodzice wrócą. Ale nie wracali. Robiło się już późno. Zaczynała się niepokoić. Poczekala jeszcze pół godziny, a potem poszła do wujka. Była tak bardzo zajęta swoimi myślami, że nie zauważyła na ulicy swojej koleżanki.

- Marysiu, poczekaj!- wykrzyknęła drobna blondynka.

Dziewczyna zatrzymała się.

- Cześć Marysiu - kontynuowała blondynka.

- Cześć. Co słychać?- udała zainteresowaną, choć tak naprawdę chciała jak najszybciej iść dalej.

- U nas dobrze, ale mam złe wieści w sprawie Staszka.

- Coś mu się stało?

- Wczoraj złapało go gestapo i zakatowało na śmierć.

- Ale za co? Dlaczego?

- Miał kolegę w granatowej policji, któremu wszystko opowiadał. Mówił mu co robimy, kiedy, jak i gdzie działamy. Tamten z kolei przekazywał informacje gestapo. Podobno już od dawna go śledzili. Marek powiedział, że musimy zmienić naszą siedzibę. Proszę cię Marysiu uważaj na siebie.

Chodnikiem kilka metrów dalej przechadzał się spokojnie niemiecki patrol. Marysia od razu ich zauważyła.

- Przepraszam cię, ale muszę już iść- powiedziała Michalska.

- Marysiu, zaczekaj!

Niemcy zwrócili swoją uwagę na dziewczęta. Marysia szepnęła coś na ucho koleżance i rozstały się. Obie odeszły najspokojniej jak tylko potrafiły. Nikt ich nie śledził. Za rogiem Marysia jeszcze bardziej przyspieszyła kroku. Rozejrzała się wokół szukając kogoś podejrzanego, ale nikogo takiego nie zauważyła.

Wujek Andrzej był starszym bratem mamy Marysi. Od kilkunastu lat chorował na astmę, i prawie w ogóle nie wychodził z domu. Mimo to był niezwykle pogodnym człowiekiem. Jego pasją były szachy. Potrafił cały dzień grać sam ze sobą. Jednak gdy tylko ktoś go odwiedzał, od razu musiał rozegrać z nim partyjkę. Kiedy znudziło mu się przegrywanie z samym sobą układał pasjansa. Jego żona Katarzyna najwięcej czasu spędzała na plotkowaniu. Swoich nawyków nie zmieniła nawet podczas wojny. Z kilkoma sąsiadkami z kamienicy założyła coś w rodzaju klubu. Panie spotykały się dwa razy w tygodniu, za każdym razem w innym mieszkaniu, by dowiedzieć się co słychać na froncie, na drugim końcu miasta, u dalekich krewnych, i jeszcze dalszych znajomych. Katarzyna i Andrzej nie mieli dzieci, więc uwielbiali swoją siostrzenicę. Ciotka bardzo się ucieszyła na widok Marysi i od razu wzięła ją na towarzyskie pogaduszki. Kiedy jednak dowiedziała się, z jaką sprawą przychodzi, od razu wróciła na ziemię.

- Jak to zaginęli? - niedowierzała Katarzyna.

- Po prostu wyszli z domu i jeszcze nie wrócili. Zostawili kartkę, że idą do cici, ale tutaj ich nie ma.

- Nie ma i nie było. Jesteś pewna drogie dziecko, że poszli do nas? Może są u kogoś innego?

- Mama nigdy nie zmienia planów. Zresztą na kartce wyraźnie napisała, że wybiera się do cici.

Katarzyna zamyśliła się, ale po chwili wypogodniała.

- Nie martw się, Marysiu. Rodzice na pewno wrócą. Pewnie w ostatniej chwili zmienili plany. Ale gdyby coś złego się działo, przychodź zaraz. Pomogę ci.

- Dziękuję, ciciu.

Michalska chciała już wyjść.

- Nie przywitasz się z wujkiem? - zagadnęła ciotka.

- Nie dzisiaj. Na pewno jest tak zajęty, że nawet nie zauważył, że przyszedłam. Do widzenia ciciu.

- Do widzenia, Marysiu.

Rozmowa z ciotką nie uspokoiła dziewczyny, tym bardziej, że dni mijały, a rodzice nie wracali. Wszyscy pomagali jak umieli, pocieszali ją, ale sami obawiali się najgorszego. Po mieście krążyły przeróżne plotki. Ktoś twierdził, że widział jak Michalscy opuszczali miasto. Inna zaś osoba zarzekała się, że widziała ich dwa dni po zniknięciu w innej dzielnicy. Jednak to były tylko plotki. Pewnego dnia po pracy znalazła w drzwiach mieszkania list. Miała nadzieję, że to jakaś wiadomość w sprawie rodziców. Myliła się. Kapitan Edgar Braun pragnął ją znów zobaczyć. Poprosił o spotkanie następnego dnia w tej samej kawiarni, w której się poznali. Zaledwie zdążyła wypić herbatę, gdy przyszła ciotka Katarzyna. Pomijając formalności przeszła do rzeczy.

- W każdy wtorek o godzinie dwunastej Niemcy organizują łapanki. Wszystkich wywożą do Oświęcimia.

- Czy ciocia chce powiedzieć, że...

- Twoi rodzice trafili do Oświęcimia- przerwała bezceremonialnie kobieta. - Ale czy żyją... tego niestety nie wiem.

Marysi brakło słów. Nie wiedziała, co powiedzieć, co robić, co czuć. W ogóle jak to możliwe by jej rodzice znaleźli się w obozie koncentracyjnym? Przecież to niemożliwe. A jeśli to prawda, to dlaczego to właśnie oni tam trafili? Dlaczego nie sąsiedzi? Przecież w mieście jest tyle innych osób, tylu ludzi. Dlaczego to musieli być właśnie oni?

- Marysiu, nie martw się, oni wrócą.

- Oczywiście ciociu - szepnęła, ale jakoś nie mogła w to uwierzyć.

Bała się tego spotkania. Już tyle złych rzeczy o nim usłyszała. Wszyscy szeptali, że jest brutalny, arogancki, zawistny, i bezwzględny. Opowiadali jakie rzeczy wyprawia w lochach ratusza. Jak maltretuje ludzi, dręczy podwładnych i nie słucha przełożonych. Całą drogę o tym myślała. Toczyła ze sobą wewnętrzną walkę. Z jednej strony chciała trzymać się od niego z daleka, ale z drugiej, nie chciała popaść w niełaskę. Kiedy przyszła już na nią czekał. Oczywiście był przed czasem. Ach, ta niemiecka precyzja - pomyślała gdy pomagał zdjąć jej płaszcz. Potem zaprowadził do stolika, odsunął krzesło. Uważnie mu się przyjrzała. Edgar Braun wyglądał niczym młody bóg. Niemiecki bóg. Idealnie skrojony szary garnitur, wypolerowane buty, prosty niczym struna przedziałek z boku głowy, brylantyna na włosach, i najlepsza, jaką można było dostać w III Rzeszy, woda kolońska. Brakowało mu tylko małej gapy w kłapie marynarki.

- Cieszę się, że przyszedłeś, Marysiu.

Uśmiechnęła się i zaczęła zastanawiać, od kiedy zwracają się do siebie po imieniu.

- Jak się miewasz?

- Dobrze, dziękuję.

Nie umiała kłamać. Mężczyzna od razu pojął, że jego towarzyszka nie mówi prawdy.

- Czy coś się stało?

Nie wiedziała jak zacząć. Próbowwała wykręcić się od odpowiedzi, zmienić temat, ale on nie ustępował. W końcu dała za wygraną.

- Kilka dni temu zaginęli moi rodzice. Najprawdopodobniej trafili do Oświęcimia. Nie mam od nich żadnych wiadomości. Tak bardzo się martwię.

Zapadła niezręczna cisza. Gdyby nie kelnerka, która przyszła po zamówienie z pewnością cały wieczór nie odezwali by się do siebie słowem. Zamówili kawę i lody.

- Gdzie zaginęli twoi rodzice?- zapytał nagle.

- W centrum miasta.

- Kiedy?

- We wtorek.

- Postaram się czegoś o nich dowiedzieć.

- Dziękuję.

Edgar natychmiast się wypogodził. Był bardzo rozmowny. Opowiadał dużo o swoim dzieciństwie. Był jedynakiem, matka kochała go jak nikogo na świecie. Ojciec zginął na froncie podczas pierwszej wojny światowej. Wtedy Edgar postanowił wstąpić do armii. Mama oczywiście nie chciała się zgodzić. Bała się, że jej pierworodny podzieli los swego ojca. Mimo to chłopak postawił na swoim i zasilł wojskowe szeregi. Po dojściu Hitlera do władzy, młody, energiczny i zdyscyplinowany Braun zrobił karierę w Wehrmachcie. Nie

udzielał się na froncie, został przeznaczony do innych celów. Walkę znał tylko z obozów szkoleniowych.

W Polsce nie miał nikogo. Koledzy z armii byli porozrzucani po wielu krajach. Jedni już nie żyli, inni prawdopodobnie byli w niewoli. A on miał ciepłą posadę, której wcale nie chciał. To się nazywa sprawiedliwość. Uważał, że nie po to szedł do wojska, aby pracować za biurkiem. Chciał walczyć, nie ważne na jakim froncie, i nie ważne z kim. Ostatnimi czasy nie robienie doprowadzało go do szaleństwa.

Kiedy mu trochę ulżyło zabrał Marysię na spacer. W końcu szła wiosna, wieczory stawały się coraz cieplejsze, przyroda budziła się do życia. Dość długo milczeli wdychając wieczorne powietrze. W pewnej chwili gdy na ulicy nikogo nie było, Edgar chwycił dziewczynę za ramię, i przyciągnął ją gwałtownie do siebie.

- Marysiu... Zrobię dla ciebie wszystko. Absolutnie wszystko, rozumiesz?

Zdezorientowana i nieco wystraszona skinęła głową. Puścił ją i poszedł dalej. Dziewczyna czuła się tak jakby ktoś uderzył ją w głowę. Nie potrafiła się skupić, ani racjonalnie pomyśleć. Jakby dopiero się urodziła. Dopiero teraz w jej głowie rozszalała się burza. Brutalny, zawistny, arogancki... i czyni kobiecie takie wyznania? Niemożliwe, ktoś tu się pomylił. Albo ludzie w ogóle go nie znają, albo on zwariował. Jednak po chwili wahania ruszyła za nim. Wsunęła swoją dłoń w jego, ale nic nie powiedziała. Nie wiedziała też, dlaczego to zrobiła. Po prostu musiała.

Mijały kolejne dni niepewności. Marysia wciąż nie miała wiadomości w sprawie rodziców, a Edgar wszystko zachowywał w tajemnicy. Niczym spiskowiec. Spotykali się regularnie, chociaż po ich dziwnym spacerze, zastanawiała się czy nie jest wariatem. Mimo to bardzo się ze sobą zżyli. Braun lubił z nią rozmawiać, ponieważ była jedyną osobą, przy której czuł się swobodnie. Ona z kolei potrzebowała kogoś, przy kim nie myślałaby o rodzicach. Oboje więc spełniali swoje oczekiwania. Pewnego dnia podczas kolejnego wieczornego spaceru w blasku księżyca poprosił ją o rękę. Odmówiła. Nie żeby jej się nie podobał, po prostu za mało i za krótko go znała. Ale mimo wszystko bardzo lubiła. Może nawet więcej niż lubiła. Edgar nie za bardzo przejął się odmową, był szalenie wytrwały, i nie miał zamiaru ukrywać swoich uczuć. Dlatego też na każdym kolejnym spotkaniu mówił jak bardzo ją kocha.

Marysia wracała do domu. Była bardzo zmęczona. W pracy cały dzień był duży ruch, wszystkim się spieszyło. Na ulicy prawie nie było ludzi. Powodem była przedpołudniowa publiczna egzekucja. Pierwsza i jak na razie jedyna w całej historii tego miasta. Niemcy złapali kilku działaczy ruchu oporu i powiesili ich na rynku, dla przykładu. Chodziły pogłoski, że inicjatorem całej akcji znowu był kapitan Edgar Braun. Kiedy dziewczyna mimo woli myślała o dzisiejszych wydarzeniach, z sieni jednej z kamienic wyskoczyło dwóch młodych mężczyzn. Podbiegli do niej, pochwycili, zatkali usta i na powrót zaciągnęli do sieni, zanim zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować. W środku było ciemno i śmierdziało stęchlizną. Napastnicy szli na pamięć wlekąc ją za sobą. Schody nie miały końca i strasznie skrzypiały. Kiedy weszli do mieszkania dziewczynę oślepiło światło. W środku były dwie kobiety w jej wieku. Na środku pomieszczenia stało krzesło. Okna były zasłonięte jakąś grubą, ciemną kotarą, a pod jednym z nich, tym naprzeciwko drzwi stało biurko założone stertą gazet. To wszystko, co zdążyła zauważyć zanim posadzili ją na krzesło i związali. Była tak przerażona, że nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Oni też milczeli. Podawali sobie coś z rąk do rąk, chwilę potem poczuła, że obcinają jej włosy.

- Co wy robicie?- wyrwało jej się.

Nie dostała odpowiedzi. Zrozumiała, że niczego się od nich nie dowie. Przytępione nożyczki kontynuowały swoje niszczycielską misję. Widziała jak jej niegdyś piękne, puszyste, kasztanowe włosy spadają na brudną podłogę. Na ten widok rozplakała się. Nie chciała, ale łzy same napływały jej do oczu, a potem spływały po policzkach. Kończyły na podłodze wymieszane z włosami. Boże, gdyby był tu Edgar - pomyślała zupełnie załamana. Po nożyczkach przyszła kolej na golarkę. Następne minuty koszmaru, kolejne łzy. Kiedy skończyli rozwiązali ją i podnieśli z siedzenia. Jedna z kobiet podała jej lusterko, i wtedy Marysia przeraziła się. Miała łysą głowę.

- To powinno oduczyć cię zadawania się z Niemcami, dziwko - powiedziała druga.

- Odprowadźcie ją na dół - rozkazała ta z lusterkiem.

Chwilę potem dziewczyna znów stała na pustej ulicy. Dobrze, że było już ciemno, nie chciała, by ktoś widział ją w takim stanie.

Pukanie do drzwi wyrwało go z poobiedniej drzemki. Kiedy otworzył, zamarł.

- Marysia? Co się stało?

Nie odpowiedziała tylko weszła do środka. Był zaskoczony, ale zrozumiał co się stało. Już wielokrotnie słyszał o tych praktykach. Po pierwszym szoku wróciła jasność umysłu. Zaprowadził ją do kuchni, posadził przy stole, sam usiadł naprzeciwko.

- Kto ci to zrobił? - warknął.

- Nie wiem.

- Polacy?

Cisza była najlepszą odpowiedzią.

- Zabiję ich! - warknął.

- Nie - szepnęła cicho.

- Dlaczego, nie?! - uniósł się.

Nie odpowiedziała.

- No, na co czekasz? Podaj mi choć jeden powód dla którego miałbym to tak zostawić?

- Bo to są moi rodacy.

- Rodacy?

Zaprowadził ją do przedpokoju i ustawił przed lustrem.

- Popatrz co ci zrobili twoi rodacy!

Ubrał płaszcz i wyszedł bez słowa. Czekala na niego, ale długo nie wracał. Godziny zdawały się być całą wiecznością. Godzina policyjna już dawno się zaczęła. Bała się, że mógł zrobić coś jej oprawcom, albo co gorsza sobie. Jej zmęczony umysł zaczęły prześladować smutne myśli. Bardzo chciała się położyć i zasnąć, ale postanowiła poczekać na jego powrót. W końcu zrozumiała, że się zakochała. I nie stało się to dzisiaj. Trwało to od dłuższego czasu, prawdopodobnie już od ich pierwszego spaceru. Po prostu na początku nie chciała dopuścić do siebie tej myśli. Ale teraz już wiedziała, że kocha Edgara Brauna. Miała bardzo dużo czasu by pomyśleć nad ich związkiem. Zastanawiała się czy to w ogóle ma jakiś sens. On jest niemieckim żołnierzem, ona Polką. Co powiedzą ludzie, jeśli się dowiedzą? Co się stanie, jeśli kiedyś wyjdzie za niego za mąż? Czy dalej będzie tylko dziwką? W końcu jest wojna, a podczas wojny wszystko staje na głowie. A gdyby nie było wojny? Czy ich związek nadal nie miałby szans? Czy nie mogliby żyć sobie szczęśliwie obok Polaków? A może gdyby nie wojna, jej rodacy nie byłiby tak zdeterminowani? Nie byłiby tak wrogo nastawieni do Niemców? Może i w Polsce byłoby im dobrze, ale w Rzeszy... czystość rasy, nadludzie, przestrzeń życiowa, nazizm, nacjonalizm. Nagle dotarło do niej, że Polacy wcale nie różnią się od swoich wrogów. Też nienawidzą. Tylko czy to wojna do tego doprowadziła? A może Niemcy i Polacy są tacy sami, i dlatego się nie tolerują? Czy gdyby nie Hitler, Polacy za jakiś czas nie zrobiliby z Żydami tego samego, co on? Te przerażające myśli sprawiły, że w końcu usnęła.

Obudziła się w środku nocy. Poczekwała aż oczy przyzwyczają się do ciemności i rozejrzała się. Leżała na łóżku przykryta kocem. Obok leżał mężczyzna. Znajomy zapach i miarowy oddech upewnił ją, że wszystko w porządku. Odwróciła się na bok, położyła swoją głowę na jego torsie i ponownie usnęła.

Rano Marysia nie była w domu. W pracy wszystko było po staremu. Ludzie plotkowali o tym, co dzieje się w mieście, szeptali o poczynaniach żołnierzy na froncie. Widać, że nikt nie wiedział co stało się dziewczynie ostatniego wieczora. Mimo to jej nowe uczesanie i kolor włosów wszystkich zadziwił. Dobrze, że Edgar dał jej tę perukę. Niektóre koleżanki były odrobinę zazdrosne. Inne żartowały, że Marysia pewnie jest szpiegiem i niedługo oprócz koloru włosów zmieni także nazwisko. Zachodziło też podejrzenie, że jej obecne nazwisko nie jest prawdziwe. Wszystkie te komentarze dziewczyna zbywała uśmiechem. Dzień minął wyjątkowo szybko. Po pracy jak zawsze poszła kupić coś na obiad i ile sił w nogach pobiegła do domu. Po drodze natknęła się na zwłoki jakiegoś mężczyzny. Wyglądał strasznie. Leżał w kałuży krwi z twarzą wykrzywioną od bólu. Oczy miał szeroko otwarte. Obsiadły go już muchy, co jeszcze bardziej obrzydzało widok. Nikt z przechodniów nie zainteresował się ciałem. Wszyscy mijali je z daleka. W wielkim szoku dotarła do domu. Kiedy wkładała klucz do zamka na klatce pojawiła się sąsiadka z naprzeciwnka. Starsza (już po siedemdziesiątce), siwowłosa, trochę przygłucha, i bardzo wścibska kobieta. Ubrana była w swoją niezawodną podomkę, z początków lat dwudziestych.

- A co to ma znaczyć, panno Michalska? Od kiedy nie wraca się na noc do domu?- wyskoczyła starsza pani - Oj, rodzice nie byliby zachwyceni gdyby się dowiedzieli. To nie przystoi, młoda damo. Rodzice nie wiadomo gdzie, a ty zamiast ich szukać znikasz na całe dni z domu. A jak tam pan kapitan się miewa? Dalej jest taki szarmancki i kulturalny?

Dziewczyna straciła głos. Nie wiedziała co odpowiedzieć, i gorączkowo zastanawiała się, skąd sąsiadka jest tak dobrze poinformowana. Postanowiła jak najszybciej wejść do domu, ale pech chciał, że dawno nie oliwiony zamek trochę się zaciął. Szamotała się z kluczem jak tygrys w klatce, ale nic się nie zdarzyło.

- Nie słyszałam odpowiedzi, panienko - zachnęła się staruszka.

- Nie wiem, o czym pani mówi- odpowiedziała najspokojniej jak tylko potrafiła.

- Już ty dobrze wiesz, bezwstydnico! Myślisz, że nikt nie wie, że zadajesz się z Niemcem?! Nawet się przefarbowałaś dla niego! Germanizacji ci się zachciało, co?!

- Pani Zabłocka, proszę przestać.

- Co to, to nie! Nie pozwolę by pod tym dachem mieszkała taka bezwstydnica jak ty! Należy ci się stryczek! Zdrajczyńi narodu polskiego, mieszać krew z wrogiem, hańba!

Marysia w końcu poradziła sobie z zamkiem i weszła do mieszkania. Bez słowa. Z korytarza dochodziły ostatnie krzyki wścibskiej sąsiadki, potem rozległo się trzaśnięcie drzwi, i zapanowała cisza. Marysia obmyła się, zjadła chleb z kielbasą, zaparzyła herbatę. Niecałą godzinę po incydencie z Zabłocką rozległo się pukanie do drzwi. Przyszła żona gospodarza domu.

- Dzień dobry, pani Myjakowa - przywitała się grzecznie Michalska.

- Dzień dobry, dziecko. Musimy porozmawiać.

Marysia struchlała.

- Jeżeli chodzi o tę rozmowę z panią Zabłocką...

- O to też, ale przychodzę w innej sprawie. Mogę wejść?

Dziewczyna wpuściła ją do środka.

- Doszły mnie słuchy o twoim niepoprawnym zachowaniu. Wiesz, co mam na myśli?

Nie odpowiedziała, ale domyśliła się, że chodzi o dzisiejsze rewelacje.

- Znam cię od urodzenia. Całe życie tu mieszkałaś, nigdy nie było problemów, ale ostatnie wydarzenia zmusiły mnie do podjęcia pewniej decyzji.

- Jakiej decyzji?

- Muszę cię prosić byś opuściła mieszkanie.

Dziewczyna jęknęła.

- Przykro mi Marysiu, ale muszę liczyć się ze zdaniem innych mieszkańców. Masz czas do jutra rana. Oczywiście oddam ci należną kwotę za czynsz. Masz dokąd iść?

Michalska pomyślała, że to pytanie jest zupełnie nie na miejscu, po tym co chwilę wcześniej powiedziała żona gospodarza, ale nie zamierzała się kłócić. Kiwnęła tylko głową.

- Tak mi przykro, dziecko. Gdyby nie ta wojna...

- To niczego by nie zmieniło - zirytowała się młoda Michalska - Wiem, że nikt nigdy nie zaakceptuje mojego wyboru.

- To nie jest tak, Marysiu.

- Nie jestem już małą dziewczynką, pani Myjakowa. Mam oczy i widzę, co się dzieje. Wiem, że pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- To nieprawda, dziecko. Kiedyś wszystko się zmieni. Tylko teraz są trochę dziwne czasy.

- To nie są dziwne czasy, pani Myjakowa. To po prostu jest wojna.

- Wszystko się ułoży, zobaczysz.

Dziewczyna ponownie zachnęła się, a oburzenie na Myjakową wzrastało z każdą chwilą i każdym jej słowem. Miała ochotę nakrzyczeć na kobietę jak śmie po tym wszystkim pocieszać ją i umywać od całej sprawy ręce, ale nie mogła się przemóc. Rodzice przede wszystkim nauczyli ją szacunku do starszych.

Żona gospodarza zauważyła złość Marysi. Ona też nie chciała się kłócić. Tak naprawdę w ogóle nie chciała wyrzucać dziewczyny, ale sąsiedzi nie dawali jej spokoju. Miała swoje dzieci i rozumiała, że kiedyś przychodzi moment, w którym latorośle same podejmują decyzje. Widać Marysia też doczekała takiego momentu.

- Pójdę już. Jak będziesz gotowa przyjdź do mnie, rozliczymy się. Do widzenia, dziecko.

- Do widzenia.

Drzwi żałośnie skrzypnęły, żona gospodarza wyszła.

Marysia była smutna i zła na cały świat. Od wczorajszej rozmowy z Edgarem coś w niej pękło. Otworzyła oczy. Przestała patrzeć bezkrytycznie na Polaków. Dostrzegła ich złe strony i dwulicowość. Myjakowa była najlepszym przykładem. Całe życie ze wszystkimi problemami przychodziła do Michalskich. Pożyczała od nich sól i pieniądze. Wtedy jakoś Marysia nikomu nie przeszkadzała. Wystarczyło tylko by rodzice trafili do obozu, by wszyscy się od niej odwrócili.

Za chwilę miała zacząć się godzina policyjna. Edgar delectował się dobrym koniakiem, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Sama o tej porze? Marysiu! Co się stało?- zapytał widząc koło nogi dziewczyny walizkę.

- Musiałam się wyprowadzić. Mogę się tutaj zatrzymać na kilka dni?

- Oczywiście. Jak tylko długo zechcesz.

Weszła do środka, on wniósł walizkę. Pomógł jej ściągnąć płaszcz i zaprowadził do pokoju. Wszystko mu opowiedziała, a on po raz kolejny wpadł w furję. Na szczęście tym razem nigdzie nie wychodził. Zwymyślał tylko w duchu Polaków, poprosił ukochaną by o nic się nie martwiła, oddał jej do dyspozycji swoją sypialnię, i zrobił kolację.

Chociaż na samą myśl o nieludzkim traktowaniu jego najdroższej Marii dostawał białej gorączki, to z drugiej strony cieszył się, że zamieszkała u niego. Pragnął, by było już tak zawsze. On i ona razem. Obiecał sobie, że zrobi wszystko by tak się stało. Planował ponowne oświadczyzny. Miał nadzieję, że tym razem odniesie sukces. Kiedy nakrył do stołu poszedł po nią. Siedziała na łóżku, a obok niej leżała nie rozpakowana jeszcze walizka. Zapytał dlaczego jeszcze tego nie zrobiła.

- Nie chcę ci sprawiać kłopotu.
- Marna wymówka.
- Prawdziwa.

Usiadł obok niej i próbował pocieszyć. Użył wszelkich możliwych argumentów by przekonać ją do rozpakowania walizki. Kiedy wszystkie znane mu metody zawiodły, sięgnął po ostatnią deskę ratunku. Co prawda nie chciał jej użyć w tych okolicznościach, ale nie miał innego wyjścia.

- A jeśli poproszę cie o rękę, zamieszkas z mną?

Dziewczyna ożywiła się.

- Nie rozumiem.
- Doskonale rozumiesz. Chodź na kolację.

Była to niezwykła kolacja przy winie i świecach. Na co dzień Edgar nie pozwalał sobie na takie przyjemności. Po skończonym posiłku mężczyzna uśmiechnął się tajemniczo, wstał, podszedł do ukochanej i uklęknął na jedno kolano.

- Mario, zostaniesz moją żoną?

Dziewczyna była mile zaskoczona. Zgodziła się.

Następnego dnia, gdy Marysia była już w pracy Edgarowi złożono niezwykłą wizytę. Mężczyzna, który pojawił się w jego mieszkaniu dwadzieścia minut po dziewiątej, był oficerem Wehrmachtu. Bardzo znanym i bardzo niekulturalnym. Edgar nie znał go osobiście, ale dużo o nim słyszał. Jego okrucieństwo podczas przesłuchań, czy karanie za najmniejsze przewinienie to jego specjalność. Dla wszystkich był duchem. Czasem można było pomyśleć, że ktoś taki nie może istnieć. To tylko wymysł krnąbrnych i leniwych szeregowców, którzy zasilali więzienne cele i kompanie karne. Nawet Edgar tak myślał. Do dziś. Podpułkownik Schmidt był wysoki, gruby, i strasznie brzydki. Jego nalana twarz i małe świńskie oczka przyprawiały o ból brzucha. Wyglądał jak szympan, którego ubrano w za ciasny mundur. Wokół niego unosiła się woń tanich cygar.

- Musimy porozmawiać, Braun - zaczął od drzwi - Czy to prawda, że zadajesz się z polską dziwką?

Edgar nie odpowiedział.

- Zadałem pytanie, kapitanie.
- Czy widzi tu pan podpułkownik jakąś Polkę?

Schmidt obrzucił go spojrzeniem bazyliuszka.

- O tej porze powinna być w pracy - kontynuował podpułkownik - Wie pan, kapitanie, jaka kara grozi za łgarstwo?

- Wiem, panie podpułkowniku. Ale jak już powiedziałem nie ma tu żadnej polskiej kobiety.

- Rozejrzę się.

Schmidt obejrzał dokładnie wszystkie pokoje, kuchnie i łazienkę. Na szczęście Marysia nie zostawiła po sobie żadnego śladu. Dobrze, że nie rozpakowała walizki, bo podpułkownik zajrzał również do szafy.

- Kapitanie Braun, przypominam panu, że jest pan niemieckim oficerem. Służy pan ojczyźnie i Führerowi. Pański mundur do czegoś zobowiązuje. I żebyśmy się zrozumieli, nie jest pan anonimowy. Proszę o tym pamiętać.

Wyszedł. Po wszystkim Edgar musiał się napić. Usiadł w fotelu i nalał sobie prawie cały kieliszek koniaku. Próbował spokojnie pomyśleć, ale jakoś mu nie wychodziło. Musiał przyznać, że Schmidt umiał nastraszyć człowieka. Próbował rozszyfrować poszczególne zdania podpułkownika. Nie jest anonimowy. To znaczy, że ktoś go obserwuje i donosi. Pytanie tylko, kto? Mundur do czegoś zobowiązuje. Czy to znaczy, że nie ma prawa do własnych wyborów, do wolności, do miłości? Przecież nie jest psem. Jest oficerem. Oczywiście obowiązuje go kodeks, czy jakieś inne wojskowe zasady. Ale mimo wszystko jest też człowiekiem. Gdyby był na froncie, tak jak jego koledzy, mógłby wszystko. Marysia zauważyła jakieś zmiany w zachowaniu swoich koleżanek. Kobiety spoglądając na nią coś sobie szeptały, podśmiewały się lub krzywo na nią patrzyły. W toalecie spotkała jedną z młodszych pracownic.

- To prawda, że masz perukę?- zapytała bez żadnego skrępowania ruda.

- Skąd ten pomysł?

- Mówią, że spotykasz się z Niemcem, i że AK ogoliło ci głowę z tego powodu.

Marysia zrobiło się słabo, ale nie dała tego po sobie poznać. Ruda natomiast była bardzo dumna z siebie. Wydawało się, że to co powiedziała sprawiło jej radość. Podeszła nieco bliżej i już chciała dotknąć włosów Marysi, ale ta odsunęła się i szybko poszła do kabiny.

- To jak, Marysiu, masz tą perukę czy nie?- drażyła temat ruda.

- Nie martw się, nie mam peruki. To moje naturalne włosy.

- Aha - mruknął zawiedzony rudzielec i wyszedł.

Michalska była wstrząśnięta. Teraz wiedziała, dlaczego wszyscy są tak bardzo zainteresowani jej osobą. Nie wiedziała tylko, co z tym zrobić. Udawać, że sprawy nie ma, czy porzucić pracę? Odchodząc potwierdziłaby tylko plotki. Może też wziąć urlop. Tylko po co? Nie ma jeszcze lata, a rodzice wciąż nie wrócili. Nie wiedziała co zrobić.

Wieczorem Edgar z Marysią zastanawiali się, co dalej. Edgar oczywiście nie powiedział jej wszystkiego. Był tylko zły, że nic nie idzie tak jak powinno. Do tego doszła rozmowa o rodzicach Marysi. Ich pierwszy poważny konflikt, albo raczej jedna z wielu prób. Mężczyzna mówił, że robi wszystko co w jego mocy, ale ona mu nie wierzyła. Nie mogła pojąć jak można tyle czasu niczego się nie dowiedzieć. Przecież w obozie prowadzili jakąś ewidencję ludzi, na pewno wiedzieli, kogo mają u siebie. A on nic, tylko obiecywał. Miała już tego dość. On sam niewiele mógł zrobić w tej sprawie. Do obozu wciąż napływali ludzie, nikt nie miał czasu na zabawy z jednym małżeństwem, na dodatek nie wiadomo czy żywym. Żeby cokolwiek załatwić Edgar musiałby dużo zapłacić, a on nie miał pieniędzy. Poza tym bez dobrych znajomości w obozie nie można było nic zrobić. Wszyscy, którzy tam byli i go nadzorowali nie chcieli rozgłosu. W końcu KL to nie tylko miejsce pracy. To również, a może i przede wszystkim maszyna do uśmiercania ludzi. Tym bardziej, że Oświęcim wciąż się powiększa...

Las na obrzeżach miasta. Wiosenne przedpołudnie było cudowne. Bujna trawa, drzewa z młodymi listkami, i ptasia orkiestra zmusiła kompanie kapitana Brauna, dziś pod dowództwem podporucznika Wagnera do krótkiego odpoczynku. Rozsiedli się pod wysokimi, starymi drzewami i opowiadali sobie dowcipy. Ich śmiech zagłuszał ciche stąpanie jakiegoś człowieka, aż do momentu gdy nadepnął na suchą gałązkę. Mężczyzna w szarym płaszczu z chlebakiem na ramieniu zamarł. Żołnierze nie tylko go usłyszeli, ale także zobaczyli. Zerwali się na równe nogi i nim się obejrzał był otoczony.

- Dokumenty! - rozkazał Wagner.

Zatrzymany wyciągnął ostrożnie z wewnętrznej kieszeni płaszcza to, o co prosili. Podporucznik długo je oglądał, po czym rzucił porozumiewawcze spojrzenie jednemu ze swoich ludzi. Ten zabrał chlebak legitymowanego i przeszukał torbę.

- Dokąd to idziemy w środku dnia przez las? - kontynuował Wagner.

- Na grzyby.

- Na grzyby, mówisz. A czy wczoraj padał deszcz?

Cała grupa zaprzeczyła ruchem głowy.

- No proszę. I gdzie tych grzybów będziesz szukał, skoro od dwóch tygodni nie spadła ani jedna kropla deszczu?

Wiedział już, że jest zgubiony, ale mimo wszystko spróbował jeszcze zawalczyć.

- Idę pędzić bimber z kolegą.

- Bimber, mówisz? Ciekawe, ciekawe. Przeszukaj go.

Żołnierz przekazał chlebak podporucznikowi, i zrobił co mu rozkazano. Na nieszczęście zatrzymanego znalazł kilka paszportów i jakieś papiery. Podporucznik od razu je zabrał.

- Andrzej Modrzewski, Włodzimierz Chrzanowski, Józef Kamiński - recytował z poważną miną. - Proszę, proszę, ileż to mamy nazwisk. Tylko oni wszyscy jakoś do ciebie niepodobni... panowie, zabieramy go.

Oddział dostarczył go do ratusza. Edgar pił kawę, kiedy do gabinetu wszedł podporucznik, szepnął mu coś do ucha, i zostawił aresztowanego. Kapitan wstał, obszedł mężczyznę dookoła, przyjrzał mu się dokładnie, po czym wrócił na swoje miejsce.

- Co powiesz na temat papierów, które przy tobie znaleźliśmy? - zapytał.

Cisza.

- Nie dosłyszałem odpowiedzi, Mazur. Możesz powtórzyć?

Znow to samo.

- Straciłeś głos?! A może ogłuchłeś?! Po co ci były te papiery, Mazur?

Mazur nie odpowiedział. Patrzył tylko dumnie na kapitana, traktując go jak powietrze. Braun powoli tracił cierpliwość. Nie lubił takich sytuacji. Zawsze uważał, że od przesłuchiwania jest Gestapo. Nawet nie zdziwiłby się gdyby za chwilę do pokoju weszli jego niesympatyczni koledzy w czarnych płaszcach. Jak on ich nie lubił! Skóra mu cierpła na ich widok, a gdy przypomniał sobie jak torturują więźniów, zbierało mu się na mdłości. Niestety najgorsze było to jak tajna policja odnosiła się do nich - żołnierzy Wehrmachtu. Panowie w czarnych płaszcach pomiatali nimi, i wysługiwali się w najgorszej robocie. Oni sami zaś uważali się za nietykalnych, za elitę całego systemu bezpieczeństwa narodowego. Jego zdenerwowanie rosło już od kilku dni, ale dopiero dziś osiągnęło punkt kulminacyjny. Wyciągnął z kabury broń, odbezpieczył, stanął przed Mazurem, i wycelował w niego.

- Dość żartów. Zapytam ostatni raz. Do czego potrzebowałeś papierów, które przy tobie znaleźliśmy? - Edgar był zdecydowany użyć broni.

Zatrzymany popatrzył to na pistolet to na kapitana.

- Lepiej od razu mnie zabij - przemówił w końcu.

Kapitan opuścił broń. Nie dlatego, że bał się strzelić, po prostu jeszcze był przy zdrowych zmysłach. Otworzył drzwi i krzyknął w dal.

- Fischer, Neuman. Do mnie!

Dwóch żołnierzy wbiegło do środka.

- Nauczcie go jak rozmawia się z oficerem. Tylko tak, żeby mógł jeszcze mówić - rozkazał, po czym cała trójka zniknęła. Później próbował jeszcze rozmawiać z zatrzymanym, ale bez skutku.

Andrzej Mazur zajmował się podrabianiem dokumentów, załatwiał ludziom kenkarty, nowe tożsamości, a nawet organizował ucieczki za granicę. Nie wszystkich jednak było stać

na ten luksus, i nie wszyscy chcieli opuszczać kraj. Mimo to Mazur dobrze zarabiał i świetnie sobie radził. Aż do dzisiaj. Gdzieś tam ludzie czekali na niego, zapłacili mu za nowe życie, a on? On zwyczajnie się nie pojawił. To z kolei grozi utratą reputacji, a potem brakiem pracy i pieniędzy. W jego celi było ciemno, zimno i wyjątkowo spokojnie. Zastanawiał się czy w areszcie jest jeszcze ktoś oprócz niego. Na górze natomiast panowało istne szaleństwo. Między Gestapo a Wehrmachtem informacje przepływały lotem błyskawicy. Odpowiednie organy bardzo dokładnie rozpatrywały sprawę zatrzymanego Polaka, tym bardziej, że tajnej policji zależało na rozbiciu całej grupy. Następnego dnia Braun miał przekazać aresztowanego w ręce Gestapo. W praktyce oznaczało to, że wyrok już zapadł. Nie ważne czy mężczyzna zostanie rozstrzelany, czy umrze od tortur. Najważniejsze było wydobycie informacji.

Kiedy Edgar wrócił do domu, Marysia układała porzucane po mieszkaniu rzeczy.

- Co tu się stało? - zapytał.

- Ktoś splądrował mieszkanie, i zostawił to - podała mu szarą kopertę.

Otworzył. Treść listu brzmiała następująco:

MUNDUR ZOBOWIĄZUJE!

- Co to znaczy? - zapytała dziewczyna.

- To groźba. Oni już wiedzą.

- O nas?

- Tak. Musimy wyjechać, i to jak najszybciej.

- Dokąd?

- Nie wiem.

- Będą nas szukać?

- Tak, ale nie myśl teraz o tym. Spakuj nas, ale zabierz tylko niezbędne rzeczy.

Marysia zabrała się za pakowanie, a Edgar nalał sobie koniaku i zaczął gorączkowo myśleć. Próbował przypomnieć sobie starych znajomych. Gdzie teraz są, co robią, czy mogą pomóc. Niestety wszyscy co do joty byli na froncie. Podwładni nie wchodzili w grę, a osób postronnych nie chciał w to mieszać. Do tego dochodził Schmidt, który nie zamierzał dać za wygraną. I nagle dostał olśnienia. Znalazł ostatnią deskę ratunku i postanowił ją wykorzystać. Pożegnał się z narzeczoną i wyszedł.

Zgrzytnął zamek i do celi ktoś wszedł. Na pewno był to mężczyzna. Mazur nie mógł rozpoznać kto to, bo światło, które wpadało do środka oślepiało go. Gość natomiast stał w cieniu.

- Słuchaj uważnie, bo nie będę powtarzać. Gestapo chce rozbić całą twoją grupę. Zabiorą cię jutro na bardzo brutalne przesłuchanie. Oczywiście nie przeżyjesz go, ale nie o to chodzi. Możesz wyjść stąd żywy, jeśli mi pomożesz.

Mazur puszczał mimo uszu cały monolog, aż do tej chwili.

- Póki tu jesteś twoje życie zależy ode mnie - kontynuował tajemniczy mężczyzna - Jeżeli załatwisz mi nowe papiery i zorganizujesz wyjazd z kraju, nikt więcej nie będzie cię niepokoić. Jeżeli odmówisz, jutro będziesz martwy. Jeżeli zgodzisz się, ale mnie zdradzisz, osobiście cię zabiję. Choćbym miał szukać cię na końcu świata.

- Rozumiem, że nie mam wyboru.

- Masz wybór. Zastanów się tylko dobrze, co najbardziej ci odpowiada. Wrócę za godzinę, wtedy powiesz mi jaką podjąłeś decyzję.

Była szósta trzydzieści, gdy kapitan Braun kazał przygotować więźnia do przekazania Gestapo.

- Dlaczego tak wcześniej? - zapytał podporucznik.
- Chcę go jeszcze przesłuchać.
- Ale to wbrew regulaminowi.
- Dopóki jest u nas, obowiązuje go nasz regulamin, czyżbyś o tym zapomniał?
- Nie.
- To weź się do roboty.

Wagner wysłał do piwnicy Fischera i Neumana. Kiedy żołnierze przybyli na miejsce, zamarli. Kłódka od drzwi do celi Mazura była otwarta, a same drzwi lekko uchylone. Kiedy zajrzeli do środka, pobledli. Cella była pusta. Natychmiast ogłosili alarm i pobiegli do przełożonego.

- Co takiego? - Edgar wstał zza biurka - Co ty mówisz? Jak to uciekł, jakim sposobem?
- Tego nie wiem - tłumaczył się podporucznik. – Fischer i Neuman powiedzieli tylko, że cella jest pusta.
- Jak to pusta? Jakim cudem? Kto miał w nocy wartę?
- Baade i Schulz.
- Zawołaj ich.

Kiedy już rozprawił się z nocną wartą, kazał Fischerowi i Neumanowi jechać na patrol i znaleźć kogoś podobnego do uciekiniera. Plan był prosty. Żołnierze mieli udusić jakiegoś niepozornego obywatela, a potem przywieźć go do ratusza. Włożyć do pustej celi, zrobić z paska od spodni pętlę, założyć mu na szyję, drugi koniec przywiązać do krat okna, i upozorować samobójstwo. Gestapowcy nie widzieli mężczyzny a dokumenty były marnej jakości, nie powinni zauważyć różnicy. Zresztą co im z martwego człowieka? Wyznaczeni żołnierze spisali się na medal. Nie tylko byli szybcy, ale też skuteczni. Punktualnie o ósmej w ratuszu pojawiło się Gestapo ze wszystkimi niezbędnymi papierami. Edgar uraczył ich dobrym koniakiem, który trzymał na wyjątkowe okazje, a sam wypełniał dokumenty.

- Dobra robota, kapitanie - powiedział gestapowiec.
- Staram się jak mogę.
- Wspomnę o tym pańskim przełożonym.

Edgar o mało nie parsknął śmiechem. Pomyślał, że Mazur musi być wyjątkową osobą, skoro ten wstrętny typ, ta nędzna kreatura chce go chwalić przed przełożonymi. Był strasznie ciekaw co zrobi pan w czarnym płaszczu kiedy dowie się, że jego więzień nie żyje.

Do pokoju po raz kolejny dziś wszedł podporucznik. Szepnął coś na ucho kapitanowi i wyszedł. Braun poinformował gestapowca o bardzo niemiłym incydencie, jaki przytrafił się Andrzejowi Mazurowi. Wzburzony tajniak wyszedł z gabinetu. Dziewięć minut później ratusz przeżywał niezapomniane chwile w całej swojej historii. Żołnierze mieli specjalny apel, tajna policja zabrała się za spisywanie protokołu, i przeklinanie nieodpowiedzialnych wojaków. Kiedy Edgar pozbył się w końcu rozwścieczonych oficerów Gestapo, i dał nagany nocnym wartownikom, zrobił coś jeszcze. Skontaktował się ze znajomym, który niedawno wrócił z Oświęcimia. Kapitan liczył na jakiś przełom w sprawie, ale nic takiego się nie wydarzyło. Znajomy nie mógł, a może nie chciał pomóc. Mówił, że odkąd go odprawili nie kontaktuje się z nikim z obozu. Jedyne co mógł zrobić to dać Edgarowi namiar na innego oficera przebywającego w Auschwitz. Edgarowi bardzo zależało na załatwieniu tej sprawy jak należy. Jeżeli już mieli wyjechać z kraju, to Marysia musiała wiedzieć co dzieje się z jej rodzicami. Nie było mowy o sprowadzeniu ich tutaj, kolega uświadomił mu, że stamtąd nie ma ucieczki. Niemcy nie po to zamykają tam ludzi, by ich wypuszczać. KL to nie uzdrowisko. To więzienie o zaostrowym rygorze, z którego nikt nie wraca żywy. Zadzwoił w końcu do poleconego oficera, i powołał się na znajomego. Oficer nie był rozmowny, ale obiecał dać znać wieczorem, co z Michalskimi.

Niedługo przed godziną policyjną Edgar dostał telegram. Niestety wieści nie były dobre.

- Coś się stało? - zapytała dziewczyna widząc minę narzeczonego.

- Dostałem telegram w sprawie twoich rodziców...

- Co z nimi? - wpadła mu w słowo.

Nie mógł odpowiedzieć, nie wiedział jak. Marysia nie czekając dłużej wyrwała mu z ręki kartkę i przeczytała. Dwa razy. Za drugim nieco wolniej, prawie sylabizowała w myślach. Z każdym słowem jej serce napełniało się większym bólem. Kiedy zrozumiała co się stało wypuściła papier z rąk i pobiegła do sypialni. Narzeczonego ruszył za nią. Leżała na łóżku i płakała. Aż żal było patrzeć, ale z drugiej strony łzy były jej potrzebne. Usiadł obok niej, ale nic nie mówił. Nie mogła się z tym pogodzić. Zastanawiała się dlaczego akurat ich to spotkało? Tych dobrych, porządnych ludzi. Uczynnych, bezinteresownych, pełnych miłości do świata. Wciąż widziała jak mama robi śniadanie, a tata czyta gazetę i pyka fajkę. Słyszała etiudę listopadową, i spowiedź Jacka Soplidy.

- Marysiu - szepnął.

- Zostaw mnie.

- Porozmawiajmy.

- Nie ma o czym! To wszystko twoja wina! Obiecałeś, że ich stamtąd wydostaniesz. Mówiłeś, że wrócą cali i zdrowi. Kłamałeś!

- To nie tak...

- A jak?! Może powiesz mi że było im tam dobrze?! Że twoi znajomi z Wehrmachtu im pomagali?! To chcesz mi powiedzieć?! Dobrze wiem, co tam się dzieje. I wiesz co myślę?! Lepiej by było dla nas wszystkich, gdybyśmy się nigdy nie poznali.

Wybiegła z pokoju i zamknęła się w łazience. Edgar do głębi wstrząśnięty wyznaniem narzeczonej poszedł do salonu napić się. Nie śmiał zapytać dziewczyny czy wszystko dobrze. Pił i myślał, albo raczej udawał, że myśli. Tak naprawdę nie mógł się na niczym skupić. W końcu wyszła. Edgar usypiał z pustym kieliszkiem w dłoni. Wyglądał jak prawdziwy alkoholik. Zabrała mu kieliszek, uklękła przy fotelu i przytuliła się do jego ramienia.

- Przepraszam - powiedziała prawie nie poruszając wargami.

Mężczyzna nie odpowiedział tylko zabrał ją do sypialni. Położyli się, mocno przytulili i zasnęli.

Edgar już od pół godziny czekał na niego w lesie. Dzień był bardzo ciepły, a ptasia orkiestra dawała koncert. Na początku czekał w samochodzie, ale po kwadransie postanowił rozprostować kości. Całe szczęście nikogo nie było w pobliżu. Las na odludziu, przy ruinach fabryki, i bloku do niej należącego nie był dobrym miejscem dla ludzi. Szczególnie podczas wojny. Spacerował wokół auta i nawet nie zauważył, że na młodej trawie wydeptał ścieżkę.

- Nie powinien pan, kapitanie, zostawiać tylu śladów - powiedział ktoś za jego plecami.

Edgar odwrócił się gwałtownie, rękę położył na kaburze pistoletu. Na szczęście nie musiał go użyć. Przed nim stał Mazur w całej okazałości.

- Masz wszystko? - zapytał puszczać wcześniej uwagę mimo uszu.

- Tak. Macie być gotowi jutro o dziewiętnastej. Weź latarkę, będziemy się porozumiewać Morsem. Hasło to „wilk”. Wszystko zrozumiałeś?

- Tak.

- Nie spóźnij się, czekam tylko pół godziny.

Dał Edgarowi dokumenty i wszedł do lasu. Kapitan pojechał do ratusza.

Marysia wzięła sobie w pracy wolne i poszła do ciotki Katarzyny powiedzieć jej o śmierci rodziców.

- Tak mi przykro, Marysiu.

Siedziały w kuchni i milczały. Herbata prawie wystygła. W mieszkaniu była tak głucha cisza, że nawet wuj Stanisław przyszedł sprawdzić co się dzieje. Kobiety popatrzyły na siebie porozumiewawczo.

- Usiądź, Stasiu - poleciła ciotka.- Nie mówiłam ci wcześniej, bo nie chciałam cię martwić. Jakiś czas temu Annę i Henryka wywieźli do Oświęcimia, a wczoraj Marysia dowiedziała się o ich śmierci.

Mężczyzna nawet nie drgnął.

- Wujku... - zagaiła Marysia.

- Nic nie mów! - rozkazał i opuścił kuchnię.

Marysia chciała za nim iść, ale ciotka ją powstrzymała.

- Daj mu czas, Marysiu. Musi się z tym pogodzić.

- Ciociu...

- Tak?

Przez chwilę chciała jej o wszystkim powiedzieć. Pochwalić się tym, że ukochany poprosił ją o rękę. Opowiedzieć o problemach w pracy, o kłopotach Edgara. Chciała podzielić się z kimś swoimi smutkami i radościami. Potrzebowała rodzinnej rozmowy, ale coś ją powstrzymało. Chyba już zrozumiała, że nawet ciocia nie zaakceptowałaby jej wyboru. Tak samo jak inni. Nie powiedziała jej również o wyjeździe, i o tym, że nie zamierza wracać. Postanowiła podobnie jak jej narzeczony, że po prostu zniknął. Tak dla wszystkich będzie lepiej. Ludzi nie będzie boleć ich widok, a oni sami może wreszcie zaczną nowe życie. Wspólne życie.

- Muszę już iść.

- Oczywiście. Zajrzyj za kilka dni. Wujek na pewno się ucieszy.

- Dobrze, ciociu.

Pożegnały się bardzo serdecznie, i dziewczyna wróciła do mieszkania.

W tym samym czasie kapitan próbował załatwić wszystko tak, aby nikt nie domyślił się jego ucieczki. Na początek potrzebował denata. Nie chciał prosić podwładnych, aby znów kogoś zabili, tym bardziej, że oficjalnie do niczego nie był mu potrzebny. Musiał więc sam zająć się swoimi zwłokami. Nie chciał tego robić, ale cóż. Nie miał wyboru, w końcu była wojna. Gdyby był na froncie codziennie musiałby zabijać innych. Kiedy tylko się ściemniło wyszedł na miasto w poszukiwaniu ofiary. Zaczaił się za którymś z domów, na dość ruchliwej ulicy. Tutaj przynajmniej nie musiał długo czekać na odpowiedniego kandydata. Przeszło koło niego kilku ludzi, ale to jeszcze nie byli ci. Kolejni, i kolejni. Zaczynało mu się już nudzić. W końcu nieco chwiejnym krokiem szedł mężczyzna bardzo podobny do niego z sylwetki. Te same ruchy, ta sama budowa ciała, najprawdopodobniej ten sam wzrost. Był idealny. Edgar myślał gorączkowo jak go zabić. Jeśli go zastrzeli narobi hałasu, i będzie miał dużo sprzątanina. Jeśli go ogłuszy, to później może podać mu jakąś truciznę dożylnie. Szybka i bezbolesna śmierć. Zero śladów. Tak też zrobił. Kiedy mężczyzna go minął wyszedł z za rogu i uderzył go ręką pistoletu w kark. Ofiara natychmiast upadła. Kapitan zaciągnął go do swojego samochodu, położył na tylnym siedzeniu, i przykrył kocem. Pojechał do domu. Na miejscu zaciągnął go do swojej piwnicy, i zaaplikował silny środek usypiający, po którym ofiara powinna spać do rana.

Marysia była już spakowana. Na szczęście nie miała dużo rzeczy, Braun również niewiele chciał ze sobą zabrać. Mieszkanie było posprzątane, nic z niego nie zginęło. W szafie ubrania były tak poukładane, żeby nie było widać, że czegoś brakuje. Kiedy wrócił o nic go nie pytała, a on nic nie mówił. Nie dlatego, żeby coś przed nią ukryć, ale ze względu na

bezpieczeństwo. Jeżeli by ich złapali, on nic nie powie nawet po wszystkich znanych mu torturach, ale kobieta to co innego.

Na dworze dopiero świtało, gdy Braun schodził do piwnicy rozprawić się ze swoją ofiarą. Mężczyzna jeszcze spał, co bardzo go ucieszyło. Bez najmniejszych problemów podał mu zastrzyk z cyjanku potasu, który bardzo dobrze rozpuszcza się w wodzie. Po kilku chwilach ofiara już nie oddychała. Odczekał jeszcze kilka minut, sprawdził czy denat na pewno nie żyje, nakrył go kocem i pojechał do ratusza. Jednak zanim tam dotarł pojechał po zapas benzyny.

Marysia tego dnia miała nigdzie nie wychodzić i nikogo nie wpuszczać. Żadnych telefonów, listów. Miała się zachowywać tak jakby nie było jej w domu. To akurat nie było trudne. Kilka razy sprawdzała czy niczego im nie brakuje, potem czytała „Pana Tadeusza”, którego zabrała z domu.

O osiemnastej wrócił Edgar. Był niezwykle podekscytowany, kazał dziewczynie się ubrać i zamknąć mieszkanie. Sam w międzyczasie zniósł walizki do samochodu. Później wywlekł z piwnicy denata, i tak, jak ostatnim razem położył go na tylnym siedzeniu i przykrył kocem. Dziewczyna cały czas milczała. Modliła się tylko, żeby wszystko się udało. Na miejscu byli za dwadzieścia minut dziewiętnasta. Braun wyciągnął walizki, denata posadził za kierownicą samochodu, z bagażnika wyciągnął kanister z benzyną. Otworzył go i położył kilka metrów dalej. Do miejsca spotkania mieli około czterdzieści metrów. Bardzo powoli i cicho pokonali ten dystans. Na miejscu Marysia wyciągnęła latarkę i podała narzeczonemu. Wysłał sygnał. Światelko z naprzeciwka odpowiedziało.

- Hasło? - zamrugła latarka.
- Wilk.
- Sami?
- Tak.
- Czekaście.

Po chwili przyszedł po nich nieznanemu mężczyzna i zaprowadził do Mazura.

- Standardowa procedura – wytłumaczył - Ignac wyprowadzi was za miasto, gdzie przejmie was Tadek. Ten z kolei zaprowadzi was na dworzec kolejowy i da bilety na pociąg do Gdańska. W Gdańsku odbierze was kobieta i zabierze na statek. Angielka. To wszystko, co mogę dla was zrobić.

- Dziękuję. Mam jedną prośbę. Przed lasem zostawiłem samochód z ciałem w środku. Mężczyzna nie żyje. Obok stoi kanister z benzyną. Możecie oblać samochód i go podpalić?

- Da się zrobić. A wam życzę powodzenia w nowym życiu.
- Dziękuję.

Chwilę potem samochód kapitana Edgara Brauna stanął w płomieniach.

Andrzej Pietraszkiewicz

*...odnaleźć drzewo, strumień, chatę,
nowym widokiem się zachwycić
spotkać człowieka, który bratem w potrzebie będzie...*

Z sierpniem

z sierpniem pola brązowieją
płomień słońca już nie parzy,
dymy ścielą się nad ziemią,
jarzębiny czerwienieją,
po ściernisku pełźnie jesień

przewrócone pługiem czasu
skiby – życiodajne dłonie
tkwią w szeregach, zamyślane
krokiem wrony przemierzone
wypuszczają garść kamieni

pajęczyny sieć rozpięta
między latem a jesienią,
już nie błyszczy ranną rosą
i nie wstaje żniwną kosą,
pająk snuje nić ku ziemi

na kamieniu ciepło szarym
przystanąłem – zadziwiony
to jaszczurka salamandra
wróży jesień, jak Kasandra
zmienia lato w rudy wrzesień

Rabka, na polach....

słowa jak liście

słowa jak liście
rosną, dojrzewają, opadają, umierają
w ciepłe i słońcu dobrych myśli
wzrastają i są pogodne
pielęgnowane i karmione mądrością
pięknieją i stają się złote
zaszczute wrogością
uciekają w popłochu
zdmuchnięte krytyką
spadają na ziemię...
słowa jak liście,
liście jak słowa,
słowa szeleszczące w głowach ...

żeby tak

żeby tak usiąść przed tym domem,
zanurzyć siebie w dawnych latach
wyrwać kęs chleba, popić mlekiem,
wypatrzeć krążącego ptaka,
poczuć piwniczną wilgoć chłodu,
wiszące jabłka podotykać,
pióropusz dymu wziąć pod pachę
i pójść z tym wszystkim
w dalszą podróż ...
odnaleźć drzewo, strumień, chatę
nowym widokiem się zachwycić,
spotkać człowieka, który bratem
w potrzebie będzie i na co dzień,
wbić ziarno dobra i powiedzieć:
tutaj na nowo się narodzę
żeby tak...

Klan klonów

Tak się złożyło, w sposób całkowicie ode mnie niezależny, że jestem samotnym, to znaczy nie posiadającym rodzeństwa człowiekiem. O ile w dzieciństwie miało to niemal same dobre strony, bo wszystkie zabawki były tylko moje, to w dalszym, późniejszym okresie życia, już niekoniecznie. Zawsze to przecież lepiej mieć kogoś, kto doradzi, pocieszy, uspokoi, czy też wspomże finansowo.... To ostatnie wprawdzie ma niewiele wspólnego z więzami rodzinnymi, a czasem wręcz przeciwnie, ale ważne, że na rodzeństwo zawsze można liczyć. Tak mi się przynajmniej wydawało... Cóż. Potrzeba jest podobno matką wynalazków. Gdy zatem tylko nadarzyła się owa potrzeba, postanowiłem, że biorę sprawy w swoje ręce. Okazją była moja edukacja w ramach szeroko, a raczej wysoko pojętej inżynierii genetycznej. Nie jestem blondynką, więc nie będę się chwalił, ale szło mi tam naprawdę nieźle. Pamiętam, że już na pierwszych zajęciach sklonowałem własnego psa, co wprawiło w zdumienie nie tylko mojego uroczego kundelka o nomen omen proroczej nazwie Klonik, ale i mnie samego. Idąc dalej tym niekoniecznie psim tropem, doszedłem do wniosku, że warto byłoby spróbować klonować siebie samego i wyprodukować własnych braci, których nie tylko matka natura mi poskapiała. Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. O ile z psem sprawa była względnie łatwa, to z gatunkiem ludzkim znacznie trudniej. Jednak mój właściwie wykorzystany upór, tudzież skromnie mówiąc wrodzone zdolności doprowadziły do stworzenia kilku postaci, z których każda miała coś ze mnie, chociaż nie była w stu procentach mną. Ale dobre i to. Za to wszystkie miały jedną wspólną cechę: uwielbiały mi pomagać, doradzać, pocieszać, a przecież właśnie o to chodziło. Pojawiały się też bez uprzedzenia i zawsze w sytuacjach dla mnie kłopotliwych.

Gdy więc pewnego wiosennego popołudnia zastałem zamknięte drzwi dobrze mi znanej sali w porze, kiedy odbywają się moje ulubione zajęcia ogólnointelektualne i znalazłem się w trudnej sytuacji, natychmiast zobaczyłem, jak otaczają mnie zwartym kołem i rozpoczynają dyskusję.

Pierwszy odezwał się „ja sceptyczny,” on niestety, jeszcze nadal jest pierwszy....

- A nie mówiłem... wiedziałem, że tak będzie. Przypomnij sobie, jak wczoraj pan Mirek pytał cię niemal prosząco, czy zaraz po pracy wracasz do domu.

- Rzeczywiście – odparłem – tak było. Pan Mirek, to przemiły kolega i świetny pracownik, który oprócz dwójki dzieci ma jedną żonę i dwa domy; jeden w miejscu naszej wspólnej pracy, drugi w sąsiednim mieście. Ponieważ stara się być jak najczęściej i w jednym i w drugim domu, więc cierpi na nieustanny brak czasu. Stąd chętnie korzysta ze mnie i z mojego samochodu, bo dzięki temu szybciej się przemieszcza, a wtedy mniej cierpi. Niestety, musiałem mu odmówić... Co do jednej żony i dwóch domów, to przypomniałem sobie, że znam kilku panów, którzy wprawdzie mają tylko jeden dom, a może tylko jedno mieszkanie, ale za to dwie żony, lub żonę i kochankę, co matematycznie wychodzi na to samo. Tam rozkład cierpienia wygląda zgoła inaczej...

- A pamiętasz, jak jeszcze wczoraj twoja własna żona przypominała ci, że dzisiaj chciałaby iść z tobą na bankiet dla architektów promujących nowozelandzką blachę z posypką gontopodobną – przypomniał mi znowu „ja sceptyczny”.

- Tak, tak – przytaknąłem.

- A ty, zamiast powiedzieć „to cudownie, kochanie, będziesz tam prawdziwą gwiazdą, nawiążemy nowe znajomości i przedstawię cię kolegom” powiedziałeś oficjalnym tonem, że dzisiaj masz te dodatkowe zajęcia ogólnointelektualne i że masz nadzieję, że ona, to znaczy żona, a nie blacha z posypką gontopodobną, to zrozumie. Dodatkowe zajęcia ważniejsze od żony, dobre sobie – prychnął mi w twarz. Zrobiło mi się głupio....

- Nie sądziłem, że tak zostanie to odebrane - odparłem. - Oczywiście, żona jest dla mnie najważniejsza, ale przecież jest ze mną cały czas – a te zajęcia, to moja prawdopodobnie ostatnia szansa...

- Szansa na co? – zapytał „ja sceptyczny”.

- No, na zaistnienie... - odpowiedziałem niepewnie.

- Nie męcz go – przerwał „ja rozumny” – i tak już cierpi. Nie dość, że po raz pierwszy przyszedł na czas, to akurat nie ma nikogo. Nie ma Profesora, nie ma grupy....Trzeba się dobrze zastanowić, co robić dalej, żeby nikogo nie urazić a samemu się nie obrazić – zakończył.

- Każdy rodzaj aktywności ludzkiej w państwie prawa, ma swoje umocowanie formalno prawne – odezwał się „ja urzędniczy”.

Już na te pierwsze słowa, będące zaledwie wstępem do dalszego wykładu, wszystkie pozostałe „ja” wzniosły znacząco oczy ku niebu, a jeden zaczął nawet ostentacyjnie ziewać. Tymczasem „ja urzędniczy” niezrażony tą reakcją kontynuował:

- Zajęcia ogólnointelektualne odbywają się w publicznym ośrodku, który jest jednostką budżetową samorządu miejskiego. Burmistrz kieruje ośrodkiem przy pomocy powoływanego przez siebie Dyrektora, na mocy stosownego zarządzenia. Dyrektor tworzy zasady działania ośrodka, ustala jego regulamin, w którym sprecyzowane są zasady funkcjonowania wszystkich komórek, w tym tych, na które on czeka. To proste – zakończył i natychmiast dodał - Trzeba teraz tylko znaleźć regulamin funkcjonowania tych zajęć i tam wszystkiego się dowiemy...

- Czy ty, ciemna urzędnicza maso bez wyobraźni, nie widziałeś, że on oglądał już wszystkie ściany, gabloty, naciskał klamki, a nawet próbował zrywać wykładzinę podłogową, aby się czegoś dowiedzieć – zripostował „ja urzędniczego” „ja rozumny”.

Sytuacja zaczynała się komplikować...

- Hura, hura, już minęło pięć minut, jeszcze tylko dziesięć i będzie akademicki kwadrans, a wtedy spadamy i wiejemy na miasto – zakrzyknął ktoś radośnie młodzieńczym, pełnym optymizmu głosem. Spojrzałem w tym kierunku i dojrzałem młodą, uśmiechniętą twarz. Z trudem poznałem, że jest to „ja studencki”.

- A ty co tu robisz? – zapytałem – byłem pewien, że już dawno mnie opuściłeś. Przecież nie masz tu żadnej roboty....

- No co ty - odparł „ja studencki” - cały czas wierzę, że rozpoczniesz drugi fakultet, mówisz o tym swoim najbliższym od czasu do czasu. Przyrodoznawstwo czy coś w tym stylu... - próbował sobie przypomnieć - ach... leśnictwo. Tak, leśnictwo. Nawet twoja żona powiedziała, że się zgodzi, ale pod warunkiem, że będzie to na uniwersytecie trzeciego wieku. To już niedługo.... – próbował zażartować.

- Z tym kwadransiem akademickim, to nie jest całkiem zły pomysł – próbował rozwinąć temat „ja rozumny” – jest tylko problem, że on jest tu sam, nie ma grupy, lub chociażby kilku osób, albo ostatecznie nawet pojedynczej, to znaczy chociaż jednej osoby, która tak jak on przyszła i czeka na te zajęcia – zakończył.

- Na przykład piękna nieznajoma, która właśnie dzisiaj przychodzi tu po raz pierwszy – odezwał się nieśmiało „ja romantyczny” i kontynuował, - wyobraźmy to sobie; on czeka na pierwszym piętrze, a na parterze pojawia się młoda dziewczyna, która słysząc o zajęciach ogólnointelektualnych dla zdolnych i pełnoletnich, w tym blondynek, postanowiła się sprawdzić... Przyjeżdża zatem z odległego, niewielkiego miasteczka, ale na skutek nienajlepszych połączeń spóźniła się nieco... Wpada więc zdyszana, z rozwianymi włosami, na parterze nie ma nikogo, wchodzi więc po schodach na górę i widzi jego, czyli naszego... Ich spojrzenia krzyżują się... ona nieśmiało pyta, czy tu są może te zajęcia dla młodych zdolnych, w tym blondynek, on odpowiada, że owszem, tak, on również na te zajęcia, ale jeszcze nie ma Profesora, nie ma grupy i nie wiadomo czy będą, więc... jeśli pani pozwoli to

zapraszam, tu w pobliżu jest przyjemny lokal, kawiarnia, może porozmawiamy o sztuce... Dziewczyna wyraźnie zawiedziona, mówi, że interesuje ją tylko Profesor, bo przed nim i tylko przed nim chce się sprawdzić i oczywiście bardzo zależy jej na ocenie własnych dokonań. Jednak zmęczenie podróżą robi swoje, realny brak Profesora też i dziewczyna w końcu ulega...

- A potem sprawdzają się już razem... ha, ha, ha – odezwał się grubiańsko „ja samczy”.

- Ty idioto – krzyknął mu w twarz „ja rozumny” – już od dawna nie masz prawa tu być. On jest porządnym człowiekiem, przykładnym mężem i ojcem, powszechnie szanowanym mieszkańcem

- Skoro jest tak powszechnie szanowanym – wszedł w słowo „ja złośliwy” – to dlaczego do niczego w życiu nie doszedł? Nawet radnym nie został. No, dlaczego?

- To są bardzo złożone procesy – odezwał się „ja urzędniczy” – obowiązująca w ostatnich wyborach samorządowych ordynacja wyborcza, aczkolwiek korzystna dla ugrupowania, w którym się znalazł, spowodowała duże rozbitcie głosów, co w efekcie doprowadziło do...

- Błagam, przestań, to nie ma nic do rzeczy – przerwał „ja rozumny”.

- A wracając do relacji mężczyzna – kobieta – zwrócił się „ja romantyczny” do „ja samczego” to radzę ci przeczytać superblog Profesora pod tytułem „Dziewczyna z nikąd”, zobaczysz wtedy, jak mężczyzna powinien adorować młodą dziewczynę, jak ją wynosić na piedestał i ... obdarzać uczuciem....

- A jak chcesz się dowiedzieć, ile Profesor miał kochanek – wtrącił ironicznie „ja złośliwy” – to przeczytaj sobie jego antyblog o nazwie „Sądny sąd,” gdzie nawet sędzinę uwiódł na własnej sprawie rozwodowej...

- To wy nie wiecie – odezwał się nagle „ja studencki” - że wymienione przez was utwory Profesora są obecnie obowiązkowe w szkołach? - Bardzo słusznie postąpiło ministerstwo edukacji, że wreszcie postawiło na wybitnych, żyjących literatów, wśród których znalazł się także Profesor...

- Znając ironiczno sarkastyczne poczucie humoru Profesora, wcale bym się nie zdziwił, gdyby w tej sytuacji wysłał do młodzieży i nauczycieli wszystkich szkół okolicznościową depešę elektroniczną, z wyrazami szczerego współczucia z powodu obowiązku zapoznawania się z jego dziełami – podsumował „ja rozumny”.

Wszyscy się roześmieli i atmosfera – dotychczas napięta – uległa pewnemu rozluźnieniu.

- No, więc na co czekamy ? - zapytał „ja sceptyczny”.

- Informuję uprzejmie, że minęło już dziesięć minut – odezwał się „ja studencki” – czas powoli się zbierać....

- Nie, nie,...nie może, ot tak sobie odejść – rozpoczął „ja rozumny” – musi zostawić jakiś widoczny ślad, że był tutaj...

- No to niech wyskrobie na ścianie swoje imię, nazwisko, datę oraz godzinę i sprawa załatwiona – zachichotał „ja złośliwy”.

- Niszczenie mienia publicznego poprzez umieszczanie napisów, rysunków, symboli, a także tworzenie grafiki w miejscach do tego nie przeznaczonych skutkuje, w przypadku wykrycia sprawcy, skierowaniem sprawy do sądu grodzkiego, co w konsekwencji grozi karą grzywny – przedstawił w miarę krótko „ja urzędniczy”.

- A jeśli to ma służyć kulturze i sztuce? – próbował bronić swego „ja złośliwy”.

- Aby tego dowieść potrzebowałby bardzo dobrego, a co zatem idzie, bardzo drogiego adwokata – odpowiedział „ja rozumny” – aż tak rozrzutny to on nie jest....

- Prawdziwa kultura i sztuka są bezcenne – odparł filozoficznie „ja studencki”.

Zapadła chwila ciszy, którą przerwał „ja rozumny”.

- Dobra – zwrócił się do mnie – prochu nie wymyślimy, zrób to co najprostsze, wykręć numer komórki Profesora i powiedz mu, że tu jesteś.

Tak też zrobiłem, jednak zamiast spodziewanej rozmowy, automatyczna sekretarka męskim głosem zaproponowała mi zostawienie wiadomości, a gdy zacząłem coś nieskładnie improwizować o zamkniętych drzwiach, połączenie zostało przerwane.

- W porządku – skomentował „ja rozumny” - zrobiłeś, co do ciebie należało i teraz możesz iść do domu, a my też swoje zrobiliśmy...

Na te ostatnie słowa wszystkie „ja” zaczęły błyskawicznie maleć i oddalać, aż stały się niewidoczne.

Czas było wracać...

Schodząc powoli ze schodów, zasmucony i zawiedziony, usłyszałem nagle, czyjś nieśmiały, chociaż niezupełnie obcy głos.

- Przepraszam bardzo, która może być teraz godzina?

Młody człowiek, który zadał to pytanie powoli zbliżał się do mnie z cieniem niepewnego uśmiechu w kącikach ust. Wydał mi się znajomy. Zacząłem intensywnie sobie przypominać, skąd ja go znam.

No tak! Oczywiście! Jak mogłem zapomnieć! To był „ja czasowy”. Już dawno wyrzuciłem go z grona moich braci klonów, po tym, jak zawałił mi termin mojej pierwszej romantycznej randki... Wprawdzie wyszło mi to tylko na dobre i później wielokrotnie korzystałem z tej mało eleganckiej, ale za to skutecznej metody, jednak wtedy byłem na niego wściekły. Na swoje usprawiedliwienie miałem wówczas niepodważalne argumenty: byłem młody, naiwny i wierzyłem w ideały...

Jednak pytanie o godzinę zaniepokoiło mnie.

- O co ci chodzi? – odpowiedziałem pytaniem.

- O to, abyś sprawdził na swoim zegarku, która jest godzina – odpowiedział uprzejmie.

Dla świętego spokoju spojrzałem i powiedziałem:

- Jest dokładnie szesnaście po siedemnastej.

- No właśnie – odparł – tego się obawiałem.

- Czego? – zapytałem, czując lekkie drżenie swego głosu.

- Tego, że zapomniałeś o tym, że ostatniej nocy była zmiana czasu zimowego na letni i w tej chwili jest już szesnaście... to znaczy siedemnaście minut, ale po osiemnastej... przyszedłeś na zajęcia o godzinę za późno. Jak zwykle, spałeś do południa ze stoperami w uszach – zakończył z uśmiechem.

Poczułem się nieswojo, cóż, taka głupia wpadka... może rzeczywiście niepotrzebnie go odrzuciłem?

- Dzięki ci.. bracie klonie – odparłem pogodnie, pogodzony nie po raz pierwszy z własną niedoskonałością – i... wracaj do nas, widzę, że z wiekiem jesteś mi coraz bardziej potrzebny.

Dwupak dla dwojga

- Właściwie, to wcale nie wiem jak zacząć. Widzi pan, człowiek ma już swoje lata, jest jakoś postrzegany i odbierany, a tu nagle wychodzi coś takiego... I niech pan nie myśli, że to z mojej strony kokieteria, czy próba tłumaczenia się. Ja naprawdę jeszcze do niedawna nic o tych rzeczach nie wiedziałam... Ale do rzeczy, to znaczy do początku. Więc, jak już zamówiłam u pana ten projekt mojego, podkreślam mojego, a nie mojego i męża domu, to pomyślałam, że pan jako projektant powinien wiedzieć wszystko, dosłownie wszystko o moich potrzebach, upodobaniach, czy nawet zachciankach. No, bo co z tego, że robi pan ładny projekt, pięknie narysuje na komputerze, skoro potem okaże się, że w którymś

pomieszczeniu brakuje kilku centymetrów szerokości. Albo długości. Lub wysokości. I nie można tam wstawić wymarzonej szafki lub jakiegoś cennego mebla. Albo nie można słuchać muzyki, bo jest zła akustyka. A dlaczego? Bo pan nie wiedział wcześniej, że mam taki a nie inny gust, że to lub tamto muszę mieć, a bez czegoś tam mogę się obyć. Więc sam pan widzi, jak ważna jest dogłębna wiedza o kliencie. To znaczy o mnie. Widzę, że mnie pan rozumie. Zresztą, pan chyba wszystkich rozumie. To widać z pana oczu. Człowiek przy panu nabiera takiego zaufania, że aż chce się mówić. Ale, o czym to ja mówiłam? Acha, już wiem. I pan wie. A nie zapyta pan mnie o męża? I bardzo dobrze. Ja też pana nie pytam o żonę... Owszem. Kocham go nadal i wiem, że to nie jego wina. Znam go, więc wiem, co mówię. Powiem panu, że wszystkiemu są winni koledzy i jego rodzina. Tak! Gdyby nie oni..., ale co ja będę panu mówiła. A przecież mamy dzieci. Trzech chłopaków. I co ja im teraz powiem? Gdzie się podziemy, gdy mężowi odbije i zechce sprzedać mieszkanie? Bo mieszkanie jest na niego. To normalne, bo dostał je jako wojskowy. A wojskowi, jak wojskowi. Dziś tu, jutro tam. No, sam pan rozumie. A ja za nim, kochająca żona, raz tu, raz tam. I każdy chłopak rodził się gdzie indziej. I dopiero tutaj mieszkamy trochę dłużej, bo mąż wchodzi w wiek emerytalny i wreszcie go oszczędzają. Wie pan, jaki jest mój mąż. Ambitny, cholernie ambitny i uparty. Zresztą, takich w wojsku jest najwięcej. To dlatego tak znacząco awansował. Bo się nie poddawał. Nawet, jak go ktoś zranił, to i tak to po nim spłynęło. I szedł dalej. Jak czołg. Ale nie przewidział jednego. Że ja też jestem ambitna i uparta. Widzi pan i w ten sposób trafiła kosa na kamień.

- To było wtedy, gdy mąż wyjechał na ćwiczenia. Miałam trochę czasu i postanowiłam zrobić porządki na pawlaczu. Wie pan co to pawlacz; skład nie używanych rzeczy, które mogą się do czegoś przydać. I tak było z naszym pawlaczem. Ale to pudełko od razu wydało mi się podejrzane. Kobięca intuicja – podpowiada mi pan. Żeby pan wiedział, że tak. I jak tylko zobaczyłam co jest w środku, to mnie wzięła taka wściekłość, jak jeszcze nigdy w życiu. Wzięłam do ręki to paskudztwo i otworłam okno, żeby wyrzucić. Ale akurat było lato, na placu zabaw bawiły się dzieci, ścieżką spacerowali starsi... No i się zawahałam. No bo, niechby to wpadło na przykład do piaskownicy. Pan nawet nie wie, jaką dzieci mają wyobraźnię. Chłopcy to by zaraz zaczęli tym drążyć tunele... A dziewczynki Właśnie, nie pomyślałam, co by wymyśliły dziewczynki. Pewno by się zdziwiły. Albo nalały by tam wody i włożyły kwiatki. Tak więc wyrzucenie przez okno odpadło. Gdy nieco ochłonęłam, postanowiłam to wynieść do osiedlowego pojemnika na śmieci. Ale już po drodze zrezygnowałam, bo przecież mógł mnie ktoś zobaczyć i co by sobie pomyślał. Owszem, mogłam to zapakować, ale pan wie, jakie dziwne przypadki się zdarzają. Zna pan sprawę tego psychologa, który wyrzucił te okropne zdjęcia i zaraz go złapali. Tak, ten sam. Biedne dzieci. I wtedy przyszło mi do głowy, że trzeba mu, czyli mężowi wysłać to na adres jednostki. Widzi pan, jakie to proste. I sama na to wpadłam, chociaż jestem blondynką. Śmieję się z tych blondynek, ale niech pan sam powie, że wy mężczyźni wolicie blondynki. Niech pan nie zaprzecza, przecież widzę, jak pan na mnie patrzy. No i po co pan spuszcza wzrok. Niech się pan nie kępuje. Przecież jestem pana klientką i ma pan prawo wiedzieć o mnie wszystko. Nie tylko jak wyglądam. No..., już śmielej pan patrzy. Tak, jak lubię... Ale, na czym ja to skończyłam? Acha, już wiem. Właśnie. I niech pan sobie wyobrazi, że spakowałam to do pudła, okleiłam taśmą, wpisałam adres jednostki i poszłam nadać na pocztę. Ale pani w okienku, zresztą moja dobra znajoma uznała, że paczka nie odpowiada wymaganiom unijnym i trzeba ją przepakować. I nawet, żeby mi pomóc, zaczęła sama ją otwierać! Wyrwałam jej to pudło w ostatniej chwili tuż przed otwarciem i cała czerwona uciekłam. Wyobraża pan sobie? Jaka by to była kompromitacja! No właśnie. To mnie ostudziło i już więcej nigdzie nie poszłam, tylko grzecznie odstawiłam to na swoje miejsce, czyli na pawlacz. I chciałam o tym zapomnieć. Ale to nie takie proste...

- No tak, widzi pan... jest coś takiego, że dana rzecz staje się jakby czymś więcej niż rzeczą. Tak... i wtedy myśli się o niej coraz bardziej intensywnie. A jeśli jeszcze to służy w wiadomym, to znaczy w... konkretnym celu, to można na chwilę stracić głowę. I wtedy zaczęłam myśleć o tych, którzy z tego korzystają. Najpierw z oburzeniem, do czego się naginają i z wyższością, że jestem ponad to, ale potem, jakoś tak wyszło, że wzięłam to pudełko do ręki. Najpierw, żeby tylko popatrzeć, jak to wygląda..., potem zobaczyć jak działa... no..., a potem ... Ale, czy było coś potem, to opowiem panu innym razem, jak już zbuduję ten dom i zaproszę pana na wino przy kominku. Bo tu, u pana jakoś chłodno...

Teraz tylko proszę, aby projektując łazienkę, zostawił pan na ścianie po obu stronach lustro trochę więcej miejsca niż zazwyczaj... Dosłownie, o tyle więcej, żeby było tam miejsce dla chłopczyka z jednej strony i dla dziewczynki z drugiej..., bo tak ich nazwałam..., właśnie..., zapomniałam o tym powiedzieć wcześniej.... Widzę, że się pan dziwi, po co miejsce dla dziewczynki? Zaskoczę pana. Dziewczynka jest dla męża... bo ciągle wierzę, że jednak wróci... Więc niech widzi, że coś tu na niego czeka...

Ostra laska z trzeciorzędu

Wybór życiowej partnerki należy do jednych z najtrudniejszych, na jaki świadomy powagi sprawy mężczyzna się decyduje. Niestety, wszystkie dotychczasowe oficjalne, mniej oficjalne a nawet zakazane metody wyboru a poniekąd i doboru nie gwarantują sukcesu, o spodziewanym szczęściu nie mówiąc. Nawet tak popularne od prawieków i wciąż udoskonalane wabiki, jak „miłość od pierwszego wejrzenia”, „los tak chciał”, „poza tobą świata nie widzę” czy „bez ciebie nie mam po co żyć” zawierają zbyt duży margines niepewności, aby się im bezwarunkowo poddać.

W tej sytuacji, idąc z duchem postępu cywilizacyjnego, w którym odkrywa się coraz większe obszary niewiedzy, wskazanym jest – nie tylko dla żadnych przygód – zdecydowane spojrzenie wstecz, gdzie w prehistorycznym nurcie dawno już wyważonych bram, odnaleźć można niejedną prawdziwą perłę. I tylko od nas samych zależy, czy się po nią schylimy....

Tak na przykład mój kuzyn z Jelcza, praktykujący erotoman, dwukrotnie rozwiedziony i zwiedziony z tą samą panią (ma z nią absolutnie legalną różnopłciową czwórkę) i znudzony kolejnym tradycyjnym romansem, będąc w okolicach Bałtowa zaglądnął, zresztą zupełnie przypadkowo, do parku dinozaurów, gdzie w bocznej alejce natknął się na zupełnie inny, nigdzie wcześniej nie spotykany i nie opisywany obiekt, do złudzenia przypominający człowieka, a ściślej ujmując - tak zwaną - lepszą jego połowę. W dodatku, obiekt ten był ruchomy i przemówił do kuzyna dźwięcznym i melodyjnym głosem... Wprawdzie jego ruchy były bardzo powolne i niezdarne, a głos przypominał puszczoną na zwolnionych obrotach starą płytę, ale... było w nim coś, czego jadający już z niejednego pieca kuzyn nie znajdował w dotychczasowych związkach.

Przedstawił się więc uprzejmie i zaprosił do siebie, a po wstępnym sprawdzeniu przydatności we współczesnych realiach, począł triumfalnie obwozić po bliższej i dalszej rodzinie, aż wreszcie całą i zdrową dowiózł ostrożnie do naszego wiejskiego siedliska, gdzie z dala od wścibskich spojrzeń mógł bez żadnych obaw zaprezentować pełnię jej ponadczasowych możliwości...

Owszem, Ilonka Zaurus w dystansie prezentowała się świetnie (sylwetka jak pantera... przepraszam, jak Pamela), w półdystansie nieco gorzej, zaś konkretnie bliski widok podczas powitalnego zwarcia napawał autentycznym lękiem i przerażeniem (niebezpieczne rysy, zniekształcenia, wybrzuszenia, włącznie z prześwitami na wylot). Najgorzej było jednak podczas śniadaniowego *entre*, kiedy Ilonka idąc przez środek sieni źle oceniła czasoprzestrzeń i z impetem huknęła w nieznacznie uchylone drzwi łazienki, która, jak

wiadomo, w trzeciorzędzie nie była jeszcze tak powszechnie znana. Konieczna więc była przerwa techniczna, w czasie której ja doprowadzałem uszkodzone drzwi do stanu używalności, a kuzyn to samo czynił z Ilonką...

W tej sytuacji i ja i moja żona mieliśmy bardzo poważne obawy o wspólną noc tych dwojga, obawiając się, nie bez powodu, że widoczne tak zwanym gołym okiem w świetle dnia mankamenty, w łóżkowej scenerii, oświetlanej romantycznie księżycowym blaskiem nabiorą upiornie odrażających kształtów, które niczym halny wiatr natychmiast poniosą niefrasobliwego i żadnego eksperymentów kuzyna w krainę, gdzie pieprz rośnie.

Nic z tych rzeczy. Mój samczy kuzyn obwieścił następnego poranka, że z żadną, ale to naprawdę z żadną dotychczasową partnerką nie miał podczas czynności łóżkowych takiej więzi intelektualnej jak z Ilonką. No proszę! I co jest w takim razie najważniejsze w łóżku? Intelkt, proszę Pań ze wszystkich epok przed i polodowcowych. Oczywiście, kuzyn nie w ciemną bitę, zdawał sobie sprawę, że Ilonce trzeba zrobić lifting, podciągnąć skórę brzucha, usunąć coś z jednego miejsca i dla równowagi dodać w innym. I był na to przygotowany finansowo.

- Nie poznacie jej - mówił całkiem serio.

A kumple docinali:

- Nie wiedzieliśmy, że lubisz zabytki....

A jednak wkrótce potem, jak w kiepskim harlequinie zostawił ją, ponieważ go oszukała.

- A co takiego zrobiła – spytała moja żona.

- Odjęła sobie dwa lata...

- Skąd wiesz ?

- Bo sprawdziłem w jej dowodzie...

Dosyć łatwo uświadomiliśmy mu, że z tak błahaego powodu nie warto niszczyć tak wspaniale zapowiadającego się związku i że tak postępuje 10/10 losowo wybranych kobiet niezależnie od epoki.

Więc znów są razem. Do następnej epoki... albo, ... do następnego kłamstwa.

Maciej Pinkwart

*Grawitacja jest naszym niewiernym sojusznikiem,
bo mamy świadomość, że za chwilę to,
co nam pomagało przy znoszeniu,
będzie naszym wrogiem przy marszu w górę.*

Przewodnik

Podpowiadam ci świat
dalekich podróży
planowanych na mapie twojego ciała
egzotycznych odkryć w lasach twoich włosów
wędrowek w głąb gorących jaskiń
gdzie będziesz oddychać szybciej
unosząc się w nieskończoność

Pokazuję ci różowe poranki nadziei
okryte szarością przymkniętych oczu
z tysiącem słońc budzących się
pod powiekami
gdzie obłoki znikających snów
przepływają przez horyzonty
nieuświadomionych jeszcze planów

Układam cię na brzegach gorących mórz
niepewną, czy powierzyć się
kapitanom statków pod pełnymi żaglami,
czy leżąc na mokrym piasku
dać się kołysać słodkim falom marzeń
z którymi będziesz podróżować
przez tysiąc nocy cudownych
i jedną piękną jak śmierć

Prowadzę cię na stoki wysokich gór
niedosiężnych celów i niezdobytych satysfakcji
gdzie wspinać się będziesz bez końca
świadoma, że najwyższe szczyty
zdobędziesz pochylona nad oceanem
który kochając jak pies bez warunków i wymagań
przytuli załzawioną twarz do twoich nóg

Tłumaczę ci najważniejsze słowa
zapisane nieodczytanymi alfabetami
w nieznanym języku
przez zaginione plemiona
których jedynym przesłaniem
jest słońce twojego uśmiechu

Z ruin zburzonych świątyń
skąd uciekli przed śmiercią bogowie
odbudowuję dla ciebie wspomnienia
nigdy nieginących chwil
pierwszych, kolejnych, nieostatnich

dotknąć południowego wiatru
pieszczącego twój cień na fotografii

Pokazuję ci szlak nienamalowany
do miast z ogrodami rozkoszy
gdzie delikatnie śpiewają słowiki niedoszłych zdarzeń
gdzie ułożona w miękkim marmurze
pojawi się na świecie
pod dłutem Pigmaliona

Otworzę nad tobą parasol nocy
oświetlonej gwiazdami pocałunków
deszczu na gorącej skórze
szumiącej oddechem marzenia
wabiącej światłami dalekich portów
odległych rynków w kolorowych miastach
pełnych fontann, przelewających się przez twoje palce

Aż ułożę cię do snu
po długiej podróży
przez morza i lądy
milionów doświadczeń
by dać ci zasnąć zmęczoną nocą
z wiarą że zdobycie wszechświata
jest w zasięgu twojej uśpionej ręki.

Prekursor

O Zmartwychwstaniu dowiedział się, jak wszyscy, w niedzielę przed południem. Od rana pracował ciężko w sadzie, z trudem rozprostowywał grzbiet po każdym uderzeniu motyki, którą okopywał drzewa, aż wreszcie otarł pot z czoła i gdy stwierdził, że słońce stoi w zenicie, poczuł zmęczenie. Nie był już młody i czuł się staro, a ostatnia choroba nie minęła bez śladu. Rzucił motykę w rosnący na miedzy krzew tamaryszku i poszedł do domu. I po drodze to usłyszał. W domu usiadł pod ścianą i bez słowa popatrzył na pusty stół, wokół którego kręcił się wychudzony pies, bez nadziei na jakikolwiek kęs.

- Będzie obiad? - rzucił w przestrzeń domu.

Siostry siedziały na zydlach po drugiej stronie izby i patrzyły na niego, jak mu się wydawało, wrogo. Wyglądały jak napuszone na zimną noc ptaki, mimo upału południa owinięte szarymi chustami. Marta bez słowa pokręciła głową, a Maria wzięła się pod boki i swoim zwyczajem dodawała sobie ważności podnosząc głos.

- Obiad! Dobrze sobie. Kto by miał głowę do obiadu! Takie rzeczy się dzieją, a ten o obiedzie... To nie słyszałeś co się stało?

Wyglądało na to, że o obiedzie można zapomnieć, podobnie jak o spokoju w domu.

- Słyszałem, Joszko mi powiedział. I to, że miałyście powiedzieć Uczniom. Powiedziałyście?

Skinęły głowami, jak na komendę, każda dwa razy, w tym samym rytmie.

- No to co jeszcze macie takiego ważnego do roboty w tej sprawie, że nie możecie się zająć sprawami domu?

Maria już otworzyła usta do krzyku, ale spokojniejsza Marta położyła jej rękę na ramieniu.

- Nie, poczekaj, on zdaje się nie rozumie. Nauczyciel zmartwychwstał. Umarł, a potem zmartwychwstał!

Westchnął.

- Jakby nie umarł, to by nie zmartwychwstał, nie?

Maria nie wytrzymała.

- Ale to przecież cud! Największy na świecie, nie żył, a teraz znów żyje...

- Ciekawe, czy teraz nie jest głodny, i czy ma kogoś, kto mu zrobi obiad? Czy też będzie musiał i tu posłużyć się cudem?

- Nie, no to jest naprawdę niesłychane! - Maria zsunęła chustę z głowy i potrząsnęła długimi, rudymi włosami - Czy ty naprawdę nie wiesz, co znaczy to Zmartwychwstanie?

W Betanii, odległej o zaledwie trzy kilometry od Jerozolimy, było zwykle cicho i spokojnie. Niewielkie domki, otoczone polami, sadami i winnicami zamieszkiwali ludzie majątni, ale pracowici, unikający sensacji i nieskorzy do gwałtownych emocji. Pamiętał jednak dobrze tamten dzień, kiedy i tutaj był hałas, a ludzie pchali się jeden przez drugiego, żeby właśnie jego dotknąć, żeby dostać na pamiątkę choć skrawek jego bandaża czy całunu, żeby chociaż pociągnąć nosem, czy nadal śmierdzi trupem. Otrząsnął się. Sam uważał, że długo jeszcze cuchnął wonią śmierci. Na dobrą sprawę ten zapach nie opuścił go aż do dzisiaj.

Wstał, podszedł do okna. Doskonale widać było elegancki grób ogrodowy. Mieli takie prawie wszyscy mieszkańcy Betanii, która już dawno przestała być wsią i w coraz większym stopniu stawała się willową dzielnicą Jerozolimy.

Odwrócił się i popatrzył na siostry.

- No, ja akurat wiem, co to znaczy zmartwychwstanie. Ma wiele wspólnego ze wskrzeszeniem z martwych, prawda?

Marta wyciągnęła w jego stronę oskarżycielski palec.

- Powinieneś się wstydzić, po tym wszystkim co dla ciebie zrobił, powinieneś okazywać mu więcej szacunku. I wdzięczności. W końcu, nie co dzień się powstaje z

martwych!

Łazarz podszedł do siostry i położył jej ręce na ramionach.

- Ja dobrze wiem, co znaczy Zmartwychwstanie - powtórzył - wiem, co to znaczy umrzeć i nie być. Nie istnieć. Nie przechodzić do innej rzeczywistości, tylko leżeć w grobie na twardym kamieniu i go nie czuć. Nie siedzieć po niczyjej prawicy, bo tam nie ma prawicy ani lewicy, tam nie ma nic. Nie słuchać chórów anielskich, bo słuch umiera razem z tobą. Nie czuć nawet jak ciało cuchnie i kawałami odkleja się od próchniejących kości. Ja to wiem, siostrzyczko, ale tylko z doświadczeń wielu pokoleń. Sam tego jakby nie doświadczyłem, bo po prostu umarłem. A po czterech dniach przyszedł Rabbi i mnie wskrzesił. A teraz po trzech dniach ktoś wskrzesił jego. Jestem mu głęboko wdzięczny, tym bardziej, że świetnie go teraz rozumiem. Ale nie pojmuję, dlaczego mam mu tę wdzięczność okazywać na głodniaka?

Spoglądały to na siebie, to na niego nie wiedząc, czy uznać argumenty, czy się obrazić, w imieniu tego, który zmartwychwstał.

Popatrzył na Marię, która wyglądała, jak dziecko, któremu ktoś odebrał ulubioną zabawkę.

- Przecież to było jasne, że zmartwychwstanie. Sam to nieraz mówił, powtarzał aż do znudzenia, żebyśmy sobie dobrze zapamiętali. W końcu jak wskrzesił mnie, to by mu nie wypadło tak zwyczajnie umrzeć, nie? Jak go aresztowali, to przecież każdy rozsądnie myślący człowiek wiedział, że to wszystko tak się skończy. Wszyscy go doskonale znali, bo starał się bardzo o to, żeby być znanym. Kłócił się i dyskutował z faryzeuszami i saduceuszami, ale jak przyszło co do czego – to ktoś go musiał zdradzić i pokazać, że to on, choć to pewno nawet ci tępi żoldacy wiedzieli. Dał się zamknąć, choć nie musiał. Dał się torturować, choć mógłby ich wszystkich posłać do piekła jednym kiwnięciem palca. Dał się zabić, co nawet dla takiego kogoś jak on jest na pewno bardzo nieprzyjemne – dał się zabić, żeby umrzeć po to, by zmartwychwstać. I wszystko to po to, żeby udowodnić coś, co jest dość oczywiste: że jak się jest synem Bożym, to wszystko można. No, ale to już wszyscy wiedzieli po tym, jak ja wyszedłem z grobu. Tylko po co się tak męczył...

Poszedł do kuchni, ułamał spory kawał chleba, odwinął z wilgotnej szmaty garnek z zimną wodą i wrócił do sadu. Siadł pod drzewem oliwnym na przewróconym wiadrze i zjadał ze smakiem. To właśnie najlepiej zapamiętał ze swego wskrzeszenia - powrót apetytu. Chorował długo przed śmiercią, umierał wycieńczony, nie mogąc przełknąć ani kęsa. Gdy Nauczyciel go wskrzesił i będący z nim ludzie odwinęli go z całunu - cichym głosem poprosił o picie i jedzenie. Nikt go nie usłyszał. Wszyscy tak głośno śpiewali *hosanna* i wznosili okrzyki na cześć Wskrzesiciela, że o nim po prostu zapomniano. Gdy tylko odzyskał władzę w pozbawionych przez cztery dni krążenia nogach - poszedł do kuchni, by zjeść kromkę chleba. Nigdy w tamtym życiu nic mu tak nie smakowało.

Potem, rzecz jasna, była wielka uczta, pamiętał ją również, bo to właśnie wtedy Maria wyznała mu, że kocha Nauczyciela i budząc irytację Uczniów, namaściła go drogim olejkiem i wytarła mu nogi włosami. Jej włosy długo jeszcze pachniały tym nardem i nawet dziś, dziesięć dni później, delikatny zapach balsamu unosił się w pokojach. Ale Łazarz byłby gotów przysiąc, że i w nim czuje jakieś zapachowe echo cuchnącego grobu.

Z daleka widział, jak siostry wyszły z domu i nie patrząc na niego skierowały się na drogę prowadzącą do Galilei. Od syna sąsiadów wiedział, że trzy Marie, które rano poszły do Grobu otrzymały polecenie, żeby Uczniów skierować tam właśnie, daleko od Jerozolimy, na spotkanie z Nauczycielem. Rozumiał to dobrze. Dla Sanhedrynu, a w pewien sposób także dla Rzymian człowiek, który zmartwychwstał, był bardziej niebezpieczny, niż przywódca powstania. Był symbolem nieskuteczności czegoś, co wydawało się argumentem ostatecznym - prawa do zadawania śmierci. Jeśli ludzie nie będą się bać, nie będą posłuszni. A tego żadna władza tolerować nie będzie. Kwestie religijne wydawały się tu drugorzędne. W końcu, i prorok Elizeusz, i Eljasz zajmowali się wskrzeszaniem umarłych, więc tradycja już była i

raczej ich za to nie kamienowano. Ale we współczesnych czasach on, Łazarz, był pierwszy...

Mimo wiosennego słońca poczuł gęsią skórę. On był pierwszy, który pokonał śmierć... Nie zrobił tego sam, i był raczej obiektem niż bohaterem tego wydarzenia, ale i tak nie wróżyło to nic dobrego. Nigdy przedtem o tym nie myślał, ale w końcu to, co wobec niego zrobił Nauczyciel, było tylko odłożeniem sprawy w czasie. Śmierć i tak przyjdzie, i drugi raz odgonić się nie da. Przez zapach wiosennego, kwitnącego sadu przedarł się lekki cuszek grobu.

Motyka leżała nadal pod krzakiem tamaryszku, więc wiedziony poczuciem obowiązku sięgnął po nią i z trudem się pochyliwszy, zaczął okopywać dorodne sadzonki soczewicy.

Słońce miało się już ku zachodowi, kiedy zobaczył na drodze zbliżającego się człowieka. Widząc, jak się wyprostował i z motyką na ramieniu ruszył w stronę domu - nieznajomy zatrzymał się, najwyraźniej na niego czekając.

- Witaj, Łazarzu - pochylił się nisko tak, że zobaczył rzędnące włosy na czubku głowy. Musiał być dość stary, choć trzymał się krzepko. Nie znał go, ale się nie zdziwił - od czasu cudu wskrzeszenia stał się dość popularny. Niebezpiecznie popularny, jak myślał teraz.

I on skłonił głowę, czekając na wyjaśnienia. Nie kwapił się z zapraszaniem gościa do domu, tym bardziej, że u jego boku zauważył krótki miecz, a tunika zaopatrzona była w ochronne kółka z żelaza. Wyglądał na żołnierza, ale ani Rzymianie, ani żołdacy Heroda tak się nie ubierali. Gość rozejrzał się, ale w okolicy nie było nikogo. Łazarz mocniej chwycił motykę, ale tamtej podniósł rękę w uspokajającym geście.

- Nie lękaj się, jestem Koros, Grek z domu Nikodema. Mój pan serdecznie cię pozdrawia w imię Nauczyciela i przesyła ci przeze mnie wiadomość.

Podał Łazarzowi spory rulon pergaminu. Wziął, obejrzał nie rozwiązując i zwrócił przybyszowi.

- Nie umiem czytać. Powiedz, o co chodzi Nikodemowi.

Koros popatrzył na niego uważnie.

- W tym piśmie jest postanowienie Sanhedrynu o natychmiastowym aresztowaniu wszystkich Uczniów.

Łazarz pokręcił głową.

- Nie jestem Uczniem. Nigdy z nim nie chodziłem. Odwiedzał tu czasem moje siostry, ale to raczej sprawa osobista. Mnie raz kiedyś pomógł, kiedy umarłem, jak wiesz zapewne.

Grek machnął ręką.

- Wiem. Wszyscy wiedzą. I z tym też jest kłopot. Mój pan każe ci powiedzieć, że jest również tajne postanowienie Rady, która wydała na ciebie wyrok. Jesteś nieczysty, bo nikt, kogo Bóg powoła do siebie, nie śmie sprzeciwić się jego woli. Twoje wskrzeszenie stworzyło precedens, potwierdzony jeszcze przez zmartwychwstanie Nauczyciela. Masz umrzeć ponownie, tym razem na dobre. Zostaniesz ukamienowany jutro rano. Ale Nikodem daje ci łódź z przewoźnikiem, musisz tylko dotrzeć bezpiecznie nad brzeg morza. Przepraw się i uciekaj do Elamu. Tam możesz spotkać się z Nauczycielem, którego mają także stracić ponownie, i zapewniają, że tym razem już nie będzie żadnych cudów. Masz zatem z dziesięć godzin. Uciekaj.

- A moje siostry?

- One także muszą uciekać, bo widziały pusty grób. Ale na nie Sanhedryn na razie nie dał zlecenia. Gdy przyjedzie czas, pomoże im Józef z Arymatei.

Koros skłonił się jeszcze raz i odszedł. Łazarz usiadł na progu i poczuł, jak spływa na niego spokój. Najgorsza była dotychczasowa niepewność. W podświadomości cały czas od Wskrzeszenia czuł, że żyje na kredyt, że mu się to życie nie należy. Że celem jego dotychczasowej egzystencji była ta choroba i śmierć. A to, co działo się potem, odbierał tak, jakby piasek w klepsydrze się przesypał i teraz to dalsze życie odbywało się poza czasem i przestrzenią. Nareszcie się dowiedział, że ten darowany czas musi zostać zwrócony.

Rzucił motykę w ką, umył się i zabrawszy co było do jedzenia, przebrał się w podróżne szaty, zamknął dom na kolek i wyruszył w drogę.

Po dwóch dniach wędrówki zobaczył morze. Nigdy nie odszedł tak daleko od Betanii i nigdy nie był tak zmęczony, ale sił dodawała mu świadomość, że już ponad dobę żyje na drugi kredyt, że uciekł Sanhedrynowi. Morze było wzburzone, tył łodzi unosił się na falach, ale przewoźnik, szczelnie zawinięty w burnus, siedział na brzegu twarzą do nawałnicy, mocno przytrzymując linę.

- Wejdz, Łazarzu - powiedział, nie odwracając się do niego - długo czekałem na ciebie.

Poznał go po głosie i po słowach, niemal identycznych z tymi, którymi wywiódł go z grobu w Betanii. Miał takie same długie włosy i szarą kapotę jak przedtem, ale na odsłoniętych rękach, ściskających linę, widać było ledwo przyschnięte rany. Przysiadł koło niego na piasku i w pierwszym odruchu chciał go objąć, ale Nauczyciel odsunął się delikatnie.

- Nie dotykaj mnie...

- Boli cię?

- Ciało nie.

Zastanowił się przez moment, czy nie widzi po prostu ducha, czy całe to Zmartwychwstanie nie jest jakąś mistyfikacją. Potem uśmiechnął się sam do siebie: a może i jego wskrzeszenie jest mistyfikacją? Ale czuł przez okrywające go płótno wilgoć nadmorskiego piasku, bryza od morza miała słony smak, a od ciała Nauczyciela czuć było ciepło, mimo dzielących ich kilku centymetrów. Pochwycili nawzajem swój wzrok.

- Chcesz dotknąć moich ran? Sprawdzić czy są prawdziwe?

Łazarz wzruszył ramionami. Potem, nie chcąc by wypadło to niegrzecznie, udał, że poprawia burnus.

- Nie przyszedłem tu, żeby cię sprawdzać. Akurat ja dobrze znam twoją moc i twoją przyjaźń. I jeśli postanowiłeś tak rozegrać tę sprawę, to na pewno wiesz co robisz. Wierzę ci, choć cię nie rozumiem.

Nauczyciel nie odpowiedział i Łazarz zastanowił się, czy go nie uraził, czy nie sprawiło to wrażenia, że zlekceważył jego mękę. Ale w końcu, jeśli był Synem Bożym, to nie trzeba mu było za wiele tłumaczyć – zarówno czyny, jak i intencje były dla niego jasne.

Morze szumiało, fale nadpływały od strony Moabu, zachodzące słońce rzucało ich długie cienie na kamienie plaży. Milczeli. Za dużo ich teraz łączyło, żeby mieli zadawać sobie pytania o to co słyhać, o przyczyny i skutki ich postępowania.

Poznali się lata temu, kiedy powstawała konspiracja antyrzymska. Łazarz był zwolennikiem radykalnych poczynań i uważał, że raz rozpoczęte powstanie obudzi w plemionach Izraela dumę i chęć walki, ale wielu uważało, że rozkład moralny i stagnacja społeczna, utrwalana dodatkowo przez konserwatywną, odczłowieczoną religię zniweczą ich plany. Że najpierw trzeba zmienić świadomość samych Żydów, żeby móc walczyć z Rzymem. I wtedy pojawił się on – Galilejczyk, jak go nazywano, choć urodził się gdzie indziej. Jedną sobie ludzi życzliwością i skutecznością, przeciwstawiał się spetryfikowanym elitom, kolaborującym z Rzymianami, podobało się wszystkim to, że zachwalał naturalny tryb życia, walczył z gromadzeniem dóbr materialnych, a więc popierali go biedni, a także ci z bogatych, których pociągały nowinki filozoficzne i etyczne. I tacy jak Łazarz, którzy szukali skutecznych metod na obudzenie świadomości narodowej Izraelitów.

Ale Łazarz nie porzucił domu w Betanii, nie rozdał majątku i nie poszedł za Nauczycielem. Robił swoje, powstrzymywał siostry przez zbyt dużym zaangażowaniem się w nową naukę, zresztą i tak ich nie lubili inni Uczniowie. A potem przyszła choroba, i to wszystko co doprowadziło go tutaj, nad brzeg Morza Martwego, z niezbyt pociągającą perspektywą banicji.

Poczuł na sobie wzrok Nauczyciela, ale ten nadal nic nie mówił. Łazarz pomyślał sobie, że taka wszechwiedza musi być męcząca i w sumie skazuje człowieka na samotność: Rabbi przecież nie będzie go o nic pytał, bo przecież wszystko wie. Nawet tak naturalne w ich

sytuacji pytanie o Marię wydałoby się głupie w jego ustach. Nauczyciel był skazany na bycie słuchanym – sam nie musiał słuchać nikogo.

Zastanawiał się, czy jego milczący towarzysz ma do niego żal o to, że nie poszedł za nim na Golgotę, że nie uczestniczył w tym spektaklu, który miał za zadanie dać po nosie jego oprawcom, ale kosztem strasznych poniżeń i męczarni. Łazarz był zdania, że spektakularna masakra prześladowców dodałaby narodowi ducha w znacznie większym stopniu niż okrutna śmierć jednego z przywódców opozycji, choćby i zakończona Zmartwychwstaniem. Co więcej – uważał, że Zmartwychwstanie odbiera śmierci Nauczyciela patos, a jemu samemu wiarygodność. Skoro wiedział wszystko, to wiedział także, że jego śmierć – choć bolesna i okrutna – jest śmiercią na niby, że minie czas i minie śmierć. Więc to był teatr dla ludu, nieskuteczny i niepotrzebny.

- Uważasz, że to było niepotrzebne? – odezwał się Nauczyciel, nie patrząc na niego.

- Wiesz przecież. Myślisz, że to nam doda zwolenników? Że przez to odejdzie z Palestyny choć jeden Rzymianin?

- Myślę, że tak – Nauczyciel odwrócił się do niego i wyciągnął rękę, jakby chciał przemawiać, ale w końcu schował dłonie pod płaszcz – więcej, myślę, że to my wejdziemy do Rzymu. Nie od razu, ale całkiem niedługo.

- Dzięki temu, że dałeś się zabić i potem dałeś się wskrzesić z martwych?

Popatrzył na niego i po raz pierwszy zobaczył na jego twarzy uśmiech. Odnosił przykre wrażenie, że Rabbi śmieje się z niego.

- Nie, Łazarzu. To ty zostałeś wskrzeszony. Ja zmartwychwstałem.

Co za różnica – pomyślał – zabawa słowami. Podkreśla swoją ważność i tyle. Pokazuje mi, że ja byłem skazany na jego łaskawość, podczas gdy on to sobie zrobił sam. Albo zrobił to jego Ojciec, co podobno na jedno wychodzi.

- Nie tak jest, jak myślisz – Nauczyciel energicznie pokręcił głową – tobie przedłużono życie, na jakiś czas. Zachorowałeś na śmierć i lekarz cię uzdrowił ze śmierci. A ja zmartwychwstałem i śmierć już do mnie nie przyjdzie. Ty wróciłeś do życia, ja przeszedłem dalej. I w to ludzie muszą wierzyć, żeby zrozumieć sens.

Zmierzchało. Słońce już dawno schowało się za Hebronem i zaczynało być coraz chłodniej. Wyciągnął spod płaszcza wyschnięty placek, przełamał, podał Nauczycielowi. Wziął, odrywał palcami małe kawałki i przetykał, jakby z trudem. Szarpnął za linę, łódź szorując dnem po piasku osiadła na brzegu. Wstał, sięgnął za burtę, wydobył z bagażu niewielką amforę i wrócił do Łazarza, niosąc w ręku kielich z winem. Upił trochę, pokiwał głową, podał Łazarzowi. Ten pomyślał chwilę i powiedział:

- Wiesz, ludzie teraz to wszystko uproszczą. Po prostu dla nich nas dwóch udowodniło, że śmierć jest odwracalna. Ja pierwszy, ty drugi. Że można umrzeć i ożyć. Więc nie trzeba się śmierci bać. Nasze zdrowie w naszym nowym życiu! Nas dwóch!

Wypił spory łyk i oddał kielich Nauczycielowi. Wino miało cierpki smak, najwyraźniej było ubiegłoroczne, ale i tak zakręciło mu się w głowie. Od wczoraj nic porządnego nie jadł, a alkoholu nie miał w ustach od wielu dni. Chyba od tej uczyty z nardowym olejkim.

- No tak... - Nauczyciel pokiwał głową – faktycznie, jest z tym pewien problem. Dwóch to mniej niż jeden. Ale czas to uporządkuje. Ty umrzesz naprawdę i zostaniesz zapomniany, ja będę symbolem wiecznego życia.

Dopił wino, schował kielich pod plandekę łodzi. Łazarz pokiwał głową.

- A więc znów muszę umrzeć, żeby o mnie zapomniano... Teraz?

Nauczyciel milczał. Wsiedli do łodzi, wiatr napełnił niewielki żagiel. Ciężka krypa wolno przesuwała się na południe. Góry nad brzegiem ciemniały, tylko w dalekiej perspektywie niewielkie światełka pełgały na murach twierdzy Masada. Fale chlupotały za burtą. Nauczyciel zrefował żagiel, skręcił w stronę brzegu.

- To czy teraz, czy potem, zależy od ciebie. Od twojej wiary. Będzie wojna. Zginie dużo ludzi. Ale co dzień ktoś ginie – na wojnie, na ulicy, w czasie kamienowania, na morzu...

- Łądujemy?

Rabbi pokręcił głową.

- Żegnaj, Łazarzu. To czy dotrzesz do Masady, zależy od twojej wiary. Pamiętasz opowieść o chodzeniu po wodzie?

Łódź z Nauczycielem znikła we mgle. Przyszła wysoka fala i Łazarz poczuł, jak bardzo cięży mu płaszcz. Przetarł oczy i popatrzył na strome mury Masady. Były ogromnie daleko.

Zakopane – Nowy Targ, 28 maja 2008

Przeprowadzka

Siedemnasta paczka była szczególnie niewygodna do niesienia: pudło nie miało uchwytów, jego szerokość nie pozwalała na objęcie go obiema rękami, w dodatku położony na wierzchu egzemplarz „Baudolino” Umberto Eco, w czarnej, śliskiej obwolucie ześlizgiwał się co chwilę i trzeba było balansować kartonem, żeby go zatrzymać w ostatniej chwili. Na trzecim piętrze przystanął. Położył paczkę na schodach i otarło czoło. Do końca transportu miał takich paczek jeszcze ponad siedemdziesiąt. A czas, wyznaczony przez nabywcę nowego mieszkania biegł coraz szybciej.

- Dam radę – pomyślał – starożytni Egipcjanie gołymi rękami budowali piramidy i dali radę, a ile to było lat temu. Umierali w wieku 25 lat jako staruszkowie, a ja, proszę, jak się trzymam.

Pokręcił głową. Ta argumentacja nie całkiem go przekonywała. Egipcjan przy budowie było kilka tysięcy, mieli na to ze 30 lat i przenoszenie kamieni było dla nich zupełnie dobrą alternatywą do codziennego chodzenia za sochą ciągniętą przez woła w upalnym słońcu, w dodatku z perspektywą oddania ponad połowy ewentualnego zbioru na rzecz nomarchy. A on był sam, miał jeszcze 10 dni i żadnej alternatywy, nawet wołu, sochy czy nomarchy. No i trzymał się dość marnie. W tej chwili akurat trzymał się poręczy dość stromych schodów.

Wyrównał oddech, wzruszył ramionami, podniósł paczkę i spokojnie zaniósł na czwarte piętro. Podobnie jak w piramidach, w bloku, w którym wynajął mieszkanie, nie było windy. W samochodzie zostały jeszcze trzy paczki, ale już lżejsze i wygodniejsze do niesienia. Nie było się co rozczulać. Zastanowił się, czemu w tych nowoczesnych bądź co bądź blokach, usytuowanych na snobistycznych peryferiach miasta nie budowano choćby wind towarowych: przecież wszyscy się wprowadzali i wyprowadzali, robili niekiedy remonty, starsze osoby miały kłopoty z wnoszeniem na piętra zakupów... Koszt czynszu wzrósłby niewiele, a wygoda – sporo.

Ale faktem też było, że mimo zmęczenia czuł się coraz lepiej, co dowodziło tylko tego, że większość jego dolegliwości miała charakter psychiczny. Jednak zdecydowanie nie wszystkie, niestety: wiek i zużycie materiału też dawały o sobie znać. Otworzył drzwi z klucza i zaczął wnosić ustawione przedtem na podeście kartony. Ustawiał pod ścianą prawie pustego pokoju, starając się nie zagrazać ciągu komunikacyjnego. Najgorsze było schylanie się i dźwiganie pudeł z ziemi, a potem stawianie równo jeden za drugim. Samo przenoszenie wydawało się drobnostką – książki trzeba pakować w niewielkie pudła, żeby zbytnio nie obciążać kręgosłupa, który i tak przy tym wszystkim dostaje, nomen omen, w kość.

– Książki trzeba pakować w niewielkie pudła, żeby zbytnio nie obciążać kręgosłupa, który i tak przy tym wszystkim dostaje, nomen omen, w kość – pomyślał, przeciągając się w fotelu. Cieszyły go wszystkie nowe rzeczy, które pojawiały się w mieszkaniu i z każdą chwilą utwierdzał się w przekonaniu, że to jedna z najlepszych rzeczy, jakie mu się ostatnio przytrafiły. Zwykle porządki nie są w stanie zlikwidować wszystkich śmieci i niepotrzebnych rzeczy, jakie człowiek w ciągu lat gromadzi w swoim życiu – w czasie przeprowadzki instynkt samozachowawczy każe ci wyrzucać rzeczy zbędne, które bezproduktywnie obciążają kręgosłup.

Sterta książek pod ścianą rosła. Spoglądał na leżące w paczkach, jeszcze nie rozpakowane regały, które miały stworzyć już niebawem pierwszą w jego długim życiu bibliotekę – czyli coś, o czym zawsze marzył, a co zawsze w poprzednich układach musiało ustępować innym priorytetom. Biurko do pracy, telewizor, łóżko dla dziecka, łożo małżeńskie, szafy, szafki, garnki... Na książki miejsce znajdowało się na końcu, między jednym meblem a drugim, między jedną miesięczną wypłatą a drugą. To znaczy, kupował, kładł byle gdzie i czekał na możliwość przeczytania. Nie dlatego, żeby zrecenzować i nie dlatego, żeby się czegoś dowiedzieć – dla czystej przyjemności rozkoszowania się kunsztem wiązanych słów i

tej przyjemnej igielki zazdrości, która pojawiała się zawsze, gdy czytał dzieło kogoś, kto osiągnął większy sukces dzięki większym umiejętnościom.

Teraz to wszystko będzie możliwe. Jeszcze tylko kilka, kilkanaście dni ciężkiej pracy, a wszystko znajdzie się na nowym miejscu i można będzie, tak jak teraz, wyciągnąć się w starym fotelu, który, oświetlony intymnym światłem stylowej lampy posłuży do miłego, intelektualnego *dolce far niente*. No, oczywiście nie bez tego, że czasem posłuży i do czego innego... Trzeba tylko wyprostować przygarbione przez czas i wysiłek plecy i przekonać samego siebie, że można i trzeba jeszcze raz pokonać pewną drogę, której początek widać, ale ciąg dalszy mimo wszystko niknie za zakrętem.

- Trzeba tylko wyprostować przygarbione przez czas i wysiłek plecy i przekonać samego siebie, że można i trzeba jeszcze raz pokonać pewną drogę, której początek widać, ale ciąg dalszy mimo wszystko niknie za zakrętem. Na razie ciąg dalszy oznacza kolejne schody i kolejne paczki.

Wstał. Przytrzymał się fotela i ruszył po następną paczkę. Na podeście drugiego piętra przystanął, żeby wyrównać oddech. Był stary i choć na ogół starał się o tym nie myśleć, bywały momenty, kiedy metryka wyraźnie dawała o sobie znać. Kilka dni temu znajoma studentka opowiadała mu o swoim profesorze, młodszym - jak podkreślała - od niego, który przez znaczną część wykładu epatował dziewczęta opisami dręczącej go dny moczanowej.

- Co za dupek - powiedział wtedy, ale w głębi ducha przyznawał profesorowi rację: studentki powinny wiedzieć o dolegliwościach pedagoga... Może wtedy okażą mu trochę współczucia, no a wiadomo w jaki sposób kobieta może wyrazić współczucie... Ale żeby wzruszać dną? To dno - stwierdził głośno, a po cichu pomyślał, że jego kłopoty z sercem, kręgosłupem i nerkami są znacznie bardziej romantyczne. O prostacie lepiej nie wspominać na pierwszej randce... On by na pewno potrafił zainteresować sobą studentki lepiej niż facet z dną. Jego nadszczenie wymagało większego skupienia i empatii. Pamiętał, jakim uczuciem XIX-wieczne panienki obdarzały umierających na suchoty artystów. Pewno w znacznej mierze dzięki ich talentom, ale i gruźlica jako afrodyzjak też miała w tym swój udział. A może to lekki dreszcz obcowania z kimś odchodzącym, adrenalina balansowania między życiem a śmiercią? No, ale żeby dna moczanowa...

Pokręcił głową, zszedł do auta, wyciągnął następny karton z książkami. Odliczał schody, które składały się na kolejne etapy wspinaczki: parter, półpiętro, pierwsze piętro, półtora piętra... Drzwi na podeście drugiego piętra otworzyły się i zobaczył faceta w swoim wieku z paczką w rękach. Miał identyczną kurtkę i podobny szalik, tylko figurą znacznie różnił się od niego.

Drzwi na podeście drugiego piętra otworzyły się i zobaczył faceta w swoim wieku z paczką w rękach. Miał identyczną kurtkę i podobny szalik, tylko figurą znacznie różnił się od niego. Był zmęczony, przygarbiony i wyraźnie niższy, tak jakby ugiął się pod ciężarem trzymanej paczki, która przecież na oko wyglądała podobnie jak te, które właśnie wynosił. Najwyraźniej się wprowadzał, bo ciężko dyszał, jakby starał się wyrównać oddech.

- Magda, podaj mi jeszcze jedną paczkę - zawołał w głąb mieszkania.

Dziewczyna, która wyszła na klatkę schodową, miała niestaranie spięte włosy, rozsypujące się na twarzy, była boso i w kusym szlafrocuku, jakby wywołał ją z łazienki. Sięgnęła po ustawiony w korytarzu pakunek, z trudem podniosła, a on z niemniejszym trudem wcisnął go pod pachę.

- No to idę - powiedział, uśmiechnął się porozumiewawczo do faceta z paczką, który właśnie zaczął pokonywać kolejny odcinek schodów w górę i zaczął schodzić do samochodu.

Schodzenie z pakunkami jest oczywiście łatwiejsze, ale ma w sobie pewien cień, taki jak mijający ciepły i długi letni dzień, który każdą godziną przypomina o tym, że ta następna będzie już o 60 minut bliżej mroźnej i ciemnej zimy. Grawitacja jest naszym niewiernym sojusznikiem, bo mamy świadomość, że za chwilę to, co nam pomagało przy znoszeniu,

będzie naszym wrogiem przy marszu w górę. Czując na sobie spojrzenie mijanego sąsiada, przyspieszył kroku.

Grawitacja jest naszym niewiernym sojusznikiem, bo mamy świadomość, że za chwilę to, co nam pomagało przy znoszeniu, będzie naszym wrogiem przy marszu w górę. Czując na sobie spojrzenie mijanego sąsiada, przyspieszył kroku. Postawił paczkę pod drzwiami i nie zatrzymując się dla odpoczynku, ruszył po następną. Dziewczyna otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale uprzedził ją o sekundę.

- Jedni wchodzą, inni wychodzą... państwo się wyprowadzają? Szkoda, bo miałbym już jednych znajomych sąsiadów. Bo ja się właśnie wprowadzam...

Jak automat pokręciła głową, bez słowa chowając się do mieszkania. Kątem oka zauważył, że korytarz jest niemal cały zastawiony paczkami, torbami i walizkami, ale meble w środku nie wyglądają na przygotowane do wywózki.

Rzeczywiście, żałował, że ludzie na oko sympatyczni wyprowadzali się w tym samym czasie, kiedy on miał tu lada dzień zamieszkać. Nie znał tu żywcem nikogo, a kilkudniowe przenosiny wykonywał rzecz jasna na raty, i to w godzinach, w których mieszkańcy albo byli w pracy, albo spali, bo jak dotąd nikogo nie spotkał. Do towarzystwa w przesadnych ilościach nie był przyzwyczajony, ale miło by było mieć do kogo wstąpić w kapiach na wieczorne winko. No, ale najwyraźniej tym kimś nie mieliby być ludzie z drugiego piętra – Magda i dobrze trzymający się facet w jego wieku.

Pstryknął alarmem i otworzył drzwi samochodu. Miejsc na parkingu przy jego klatce schodowej jak zwykle nie było i trzeba było dygować pudła dobrych kilkadziesiąt metrów, co w końcu nie było bez znaczenia.

Pstryknął alarmem i otworzył drzwi samochodu. Miejsc na parkingu przy jego klatce schodowej jak zwykle nie było i trzeba było dygować pudła dobrych kilkadziesiąt metrów, co w końcu nie było bez znaczenia. Bagażnik był już pełen i kolejnych kilka kartonów musiało się zmieścić na tylnym siedzeniu. Żałował, że nie zdołał zorganizować sprawy tak, żeby wyprowadzić się za jednym zamachem – uszykować pudła z książkami i techniką, meble, worki z ubraniami, zamówić ekipę, dać jej klucze i nowy adres, a samemu spędzić dwie godziny na dobrym obiedzie w dobrej restauracji, i oczywiście w odpowiednio miłym towarzystwie. A potem z tym towarzystwem pójść pod nowy adres i kochać się w nowym miejscu w nowym łóżku, w jakiś nowy sposób...

A potem przypomniał sobie, że kiedyś właśnie z takim nowym towarzystwem wprowadził się pod ten właśnie adres, z którego właśnie teraz wynosił kolejną paczkę książek. I miało być coś nowego i coś wspaniałego, a wyszło jak zawsze. Niemniej jednak wspominał te minione lata bardzo mile, a o ostatnich miesiącach starał się zapomnieć. Jak zwykle patrzył w przyszłość z optymizmem, jak zwykle egoistycznie nie myślał o tych, których przyszło mu zostawić. „Widziały gały co brały” – powiedział kiedyś w czasie kolejnej awantury i wierzył w to głęboko, że nigdy nikogo nie oszukiwał, bo niczego specjalnego nie obiecywał.

Zamknął auto. Pewno nikt by się nie połazczył na jego książki i spokojnie można byłoby zostawić drzwiczki otwarte, ale konieczność pokonania sporego dystansu z parkingu do jego klatki nieco nadwątlą jego wiarę w dobroć i uczciwość sąsiadów. Zresztą, prawdę powiedziawszy, mało osób tu poznał, a z nikim nie utrzymywał bliższej znajomości. Facet w brązowej kurtce powoli wchodził przed nim po schodach, a w jego ruchach było coś znajomego. Pomyślał, że peregrynacje schodowe z bambetlami na rękach powinny zbliżać ludzi, nawet, jeśli dzieli ich przeznaczenie owych podróży. Postanowił, że na następnym półpiętrze zatrzyma się i zagada do niedoszłego sąsiada. W końcu, niezbyt często dwóch ludzi w tym samym wieku jest w tak podobnej, a zarazem tak odmiennej sytuacji.

Facet w brązowej kurtce powoli wchodził przed nim po schodach, a w jego ruchach było coś znajomego. Pomyślał, że peregrynacje schodowe z bambetlami na rękach powinny zbliżać ludzi, nawet, jeśli dzieli ich przeznaczenie owych podróży. Postanowił, że na

następnym półpiętrze zatrzyma się i zagada do niedoszłego sąsiada. W końcu, niezbyt często dwóch ludzi w tym samym wieku jest w tak podobnej, a zarazem tak odmiennej sytuacji. Półtora piętra to dobre miejsce, żeby postawić karton po bananach, tym razem z książkami na literę „P” i trochę odpocząć. Wytarł spocone ręce o spodnie i odwrócił się. Sąsiad z drugiego miał wysportowaną sylwetkę narciarza albo bywalca siłowni, ciemniejszą od niego cerę, nie był siwy i nie nosił okularów. I to były w zasadzie wszystkie różnice między nimi. Poczul się tak, jakby nagle odnalazł zaginionego brata, albo przynajmniej kuzyna. Tę twarz oglądał już od kilkudziesięciu lat codziennie przy goleniu. Nie wiedział, co powiedzieć. Tamten też się zatrzymał, ale jemu na śmiałości nie zbywało.

- Śmieszna historia, co? Jedni wchodzą, drudzy wychodzą... Szkoda, że dopiero teraz, bo miałbym już jednego znajomego sąsiada. I to, zdaje się, dobrze znajomego, co? To może ja się przedstawię. Krzysiek jestem.

- Nie, to ja jestem Krzysiek.

Roześmieli się obaj.

No oczywiście, jak w końcu mógłbyś mieć na imię, mój sobowtórze? Jesteś moim odbiciem w lepszym lustrze, takim, które pokazuje to co, chcielibyśmy zobaczyć. Jesteś w moim wieku, ale młodszy, w tym samym ubraniu, ale lepiej wyglądasz, w tym samym domu, ale w lepiej położonym mieszkaniu. Jesteś w moim wieku, ale starszy, bardziej doświadczony, sceptyczny i mniej ufny, a więc lepiej się urządzisz w całym tym życiu, które nam jeszcze zostało. Nasza rodzina jest długowieczna, osiemdziesiątka to wiek, który osiągnęli kuzyni w zupełnie dobrej formie. Nie, nasza rodzina jest mało odporna na stresy i historię – sześćdziesiąt i niewielkim hakiem i kops w kalendarz, więc nie ma co robić dłuższych planów. O tyle się z tobą zgadzam, że to prawda z tymi planami. Żyjmy póki się da, ale ponieważ nie wiadomo jak długo się da, trzeba żyć tak, jakbyśmy mieli jeszcze dwa życia przed sobą. Tak, twoje i moje...

- To może zrobimy sobie przerwę na kawę? Ja zapraszam, bo u pana pewno jeszcze nie urządzone, co? Pańskich poprzedników w ogóle nie znałem, ale z tego co się tu mówiło, od lat już tam nikt nie mieszkał, bo podobnie jak większość lokali w tym bloku, to był pustostan.

- Chętnie skorzystam, bo prawdę powiedziawszy, trochę już wykończony jestem. Zresztą to ostatnia paczka na dzisiaj. Poniosę na górę i zaraz schodzę, jeśli tylko pani Magda...

- E, co pan... Córka lubi towarzystwo, a od czasu, kiedy zostaliśmy sami, niewiele ma okazji do tego, żeby ją ktoś odwiedzał... To za dziesięć minut, dobrze?

Skinął głową i poszedł do swojego mieszkania. Cisza na schodach wskazywała, że sąsiedzi jeszcze nie wrócili z pracy, albo nie chce się im wychodzić w kiepską jesienną pogodę. Krzysiek, też coś... Na szczęście, jednak coś ich dzieli: Magda, tatusina córeczka, nie opuszczająca ojca w trudnej sytuacji.

Skinął głową i poszedł do swojego mieszkania. Cisza na schodach wskazywała, że sąsiedzi jeszcze nie wrócili z pracy, albo nie chce się im wychodzić w kiepską jesienną pogodę. Krzysiek, też coś... Na szczęście, jednak coś ich dzieli: Magda, tatusina córeczka, nie opuszczająca ojca w trudnej sytuacji. Przełknął ślinę, odwrócił wzrok. Tego zazdrościł – on między innymi wyprowadził się do nowego mieszkania po to, by uniknąć agresji ze strony młodszego pokolenia w swojej rodzinie, w której miłość była słowem, zarezerwowanym dla popołudniowych seriali, namiętnie oglądanych przez żeńską część rodziny i żywo komentowanych potem w trakcie wielogodzinnych rozmów telefonicznych, wykonywanych na jego koszt. Stare sprawy, stare życie, na szczęście już daleko za nim. Teraz czekała go kawa u Krzyśka, interesujące spotkanie z jego córką i powrót pod stary adres, z którego miał się niebawem wyprowadzić. Umył ręce w pełnej pajęczyn łazience i wytarł w chusteczkę do nosa: nie pomyślał wcześniej, że jednak przed książkami trzeba było przenieść trochę rzeczy

niewiele bardziej praktycznych.

Spojrzał w lustro: nie było tak źle. Po tylu rundach wnoszenia pakunków na czwarte piętro, przedtem znoszenia ich z drugiego, a jeszcze wcześniej pakowania w kartony – wyglądał nie najgorzej i czuł się zupełnie dobrze. Niemniej jednak na dziś miał dość i z chęcią spędzi kilkanaście minut w towarzystwie tego dziwnego brata-bliźniaka, rozmawiając o jego nie znanym mu życiu, rodzinie i problemach, które zmusiły go do zmiany mieszkania.

Niemniej jednak na dziś miał dość i z chęcią spędzi kilkanaście minut w towarzystwie tego dziwnego brata-bliźniaka, rozmawiając o jego nie znanym mu życiu, rodzinie i problemach, które zmusiły go do zmiany mieszkania. Magda oczywiście podsłuchiwała pod półotwartymi drzwiami, więc gdy wszedł do mieszkania i chciał umyć ręce w łazience, zastał drzwi zamknięte, a na jego dobijanie się córka powiedziała, że skoro bez konsultacji z nią zaprosił gościa, to musi teraz poczekać aż ona zrobi się podobna do ludzi, bo chyba przecież goła i nieumalowana do jego brata nie wyjdzie, co nie?

To „co nie” zawsze irytowało jego poczucie poprawności językowej, ale oduczył się już zwracania uwagi w sprawach mniej istotnych, bo wywoływały awanturę taką samą, jak protesty w kwestiach pierwszej wagi. Poza tym zawsze fascynowało go to, jak Magda potrafi starannie dbać o siebie, kiedy jej naprawdę zależy, a w innych sytuacjach zachowuje się jak kompletna abnegatka. Powiesił kurtkę w korytarzu, odsunął nogą kilka stojących w przejściu pakunków i rzucił krytycznym okiem na duży pokój – było na czym usiąść i na czym postawić piwo czy kawę. On kawę, a on piwo – pomyślał. Magda wyszła z łazienki, ubrana dość skromnie, co nieco go zdziwiło, bo odbiegało od jej ostatnich zwyczajów, kiedy to minispódniczka i mocno wydekoltowana bluzka towarzyszyły jej od rana, nawet do zbożowej kawy z sucharkami, co zwykle stanowiło jej śniadanie, bo podobno musiała dbać o linię.

Na jego oko – nie musiała. No, ale nie on w tych sprawach decydował. Ostatnie miesiące nauczyły go, że mimo dość autokratycznego charakteru musiał dopiero wywalczyć sobie prawo do samostanowienia, a i to tylko w najbardziej osobistych i zarazem mało istotnych sprawach. O większości decydowała rodzina, znajomi, środowisko, koledzy w pracy, obyczaje. Spojrzał na zegarek. Dziesięć minut minęło. Za chwilę przyjrzy się dokładnie nowemu sąsiadowi, który już niebawem przestanie być sąsiadem i wypyta go o jego rodzinę. Te wszystkie podobieństwa mogą oczywiście być przypadkowe, ale mogą nie być.

Spojrzał na zegarek. Dziesięć minut minęło. Za chwilę przyjrzy się dokładnie nowemu sąsiadowi, który już od jutra przestanie być sąsiadem i wypyta go o jego rodzinę. Te wszystkie podobieństwa mogą oczywiście być przypadkowe, ale mogą nie być. Wyszedł z łazienki, obciągnął sweter, po namyśle zabrał do ręki kurtkę i starannie zamknąwszy drzwi, zszedł na drugie piętro. Uczył się w praktyce ergonomii: nie ma potrzeby wracać potem na górę, od sąsiada pojedzie prosto do domu.

Do domu? Teraz dom miał tu, tam miał jeszcze tylko przez kilka dni mieszkanie.

Drzwi otworzyły się jeszcze zanim zadzwonił. Magda uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

- Czekamy na ciebie, wejdz.

Trochę zdziwiła go ta bezpośredniość w formie powitania, ale nic nie powiedział. Był dość rygorystyczny w relacjach międzyludzkich i takie „tykanie” ze strony na oko 20-letniej dziewczyny było dla niego czymś niespotykanym, ale z drugiej strony miało jakiś urok bliskości, której mu ostatnio raczej brakowało. Cofnęła się pod ścianę, przepuszczając go w głąb korytarza. Położył kurtkę na stercie kartonów, kiwnął jej głową przecisnął się do dużego pokoju. Gospodarz gestem wskazał mu fotel, usiadł.

- Mebli państwo nie zabieracie? – spytał, widząc, że w salonie nic nie jest przygotowane do wywózki.

- Nie, w sumie nie będą mi potrzebne, tam, gdzie jadę mam wszystko umeblowane. Zresztą Magda będzie czuła się najlepiej w otoczeniu, które zna i które jest dla niej

bezpieczne. Kawa, piwo?

- Za piwo dzisiaj dziękuję, jestem samochodem, muszę zaraz wracać na stare mieszkanie, a kawa o tej porze w moim wieku raczej też odpada. Herbaty, jeśli można.

Ledwo dostrzegalnie wzruszył ramionami, a w jego głosie dało się wyczuć lekką ironię.

- W moim wieku kawa nie przeszkadza, a pewno nie jestem młodszy. A herbata ma jeszcze gorsze podobno właściwości... Ale ja i tak piwo...

Magda przysłuchiwała się rozmowie, oparta o futrynę. Była wysoka i szczupła, a zgrabną figurę podkreślała długa zielona spódnica do ziemi. Na jasnej bluzce miała zielone bolerko, włosy próbowała uczesać, ale kilka kosmyków nadal opadało jej na twarz. Chciał zapytać, czy siądzie z nimi, ale w końcu to nie on był gospodarzem.

Chciał zapytać, czy siądzie z nimi, ale to w końcu był jego gość, a ona mogła robić co chciała.

- Masz bardzo podobny głos do ojca, łatwo się pomylić – powiedziała i uśmiechnęła się. Ale w tym uśmiechu było coś dziwnego, wydało mu się, że okrutnego. Wrażenie to sprawiał fakt, że uśmiechały się tylko jej usta – oczy pozostawały zimne, nieruchome jak zimne bryłki lodu. Patrzyła zresztą nie na niego, tylko w kąt pokoju, gdzie stała nowoczesna zielona szafa. – Zaraz przyniosę.

Wyszła do kuchni, skąd dobiegł go dźwięk napełnianego czajnika, pstryknięcie gazu i syk otwieranej puszki piwa. Milczeli, wpatrzeni w drzwi kuchni. Dziewczyna wróciła z piwem i szklanką w jednej ręce i paczką słonych paluszków w drugiej. Ojciec odebrał od niej rzeczy, postawił na niskim stoliku i obrócił się do niej:

- Może siądziesz z nami? Sąsiad na pewno opowie nam coś ciekawego o sobie.

- Zaraz będzie herbata – odpowiedziała nie na temat.

Zauważył, że między nimi panuje jakieś nieuchwytne napięcie, którego wyznacznikiem było to, że w ogóle nie patrzyli na siebie. „Musiałem wpaść w środek awantury” – pomyślał.

Po chwili Magda wniosła czajniczek i pustą filiżankę. Ojciec znów odebrał od niej naczynia, nalał herbaty do filiżanki, zapytał o cukier.

- U nas nikt nie słodzi, więc na stole nie stoi. Przynieść?

Pokręcił głową.

- U nas też nie. To znaczy, przepraszam, nie ma żadnego „u nas”. Dziękuję, nie słodzę.

- Pójdę do siebie, posłucham muzyki. Jakby było za głośno, to ściszę – Magda odwróciła się ostrożnie i powoli znikła w drugim pokoju, skąd po chwili zaczęły dobiegać dźwięki jednego z modnych ostatnio musicali. Patrzył za nią chwilę, wreszcie zrozumiał. Podniósł szklankę do ust, było gorące, odstawił.

- Czy ona...

- Tak. Od urodzenia. To chyba kwestia genetyczna, a w dodatku jej matka w czasie ciąży miała kilkakrotnie nawroty nadciśnienia, bo za radą lekarzy odstawiła leki. No i tak się stało, jak się stało. Magda radzi sobie całkiem dobrze, ale naturalnie pewnych rzeczy nie da rady zrobić. Do sklepu za rogiem pójdzie i zrobi zakupy, ale do samoobsługowego marketu już nie pojedzie. W mieszkaniu czuje się swobodnie, potrafi się obsłużyć, ubrać, zrobić jeść i sprzątnąć, w pewnym zakresie oczywiście. Dlatego ona tu zostaje i nie przenosi się ze mną na nowe miejsce, gdzie jej byłoby niewygodnie, a mnie niezręcznie. W końcu – nie będę tam sam.

Argumentacja wydała mi się dość okrutna, ale był jak najdalszy od oceniania obcego człowieka. Trudności mieszkania z osobą niewidomą znał dobrze z tradycji rodzinnej – jego babka nie widziała od urodzenia, przeżyła wojnę i radziła sobie całkiem nieźle do momentu, kiedy zostawiła w łazience ich krakowskiego mieszkania niedokręcony piecyk gazowy. Przechowywał w pamięci – oczywiście tylko na podstawie opowiadań ojca – fakt, że matka,

wówczas w ósmym miesiącu ciąży, miała jej pomóc ufarbować włosy, bo starsza pani do końca dbała o wygląd i jak mogła tak ukrywała zarówno swój wiek, jak i kalectwo. Matka, mimo zaawansowanej ciąży, sporo paliła, no i właśnie weszła do łazienki z papierosem. Przeżyła, tylko poród odbył się ciężko, przed czasem i on jako dziecko miał poważne problemy neurologiczne. Starsza pani, niestety, była bliżej piecyka.

Przechowywał w pamięci – oczywiście tylko na podstawie opowiadań ojca – fakt, że matka, wówczas w ósmym miesiącu ciąży, miała jej pomóc ufarbować włosy, bo starsza pani do końca dbała o wygląd i jak mogła tak ukrywała zarówno swój wiek, jak i kalectwo. Matka, mimo zaawansowanej ciąży, sporo paliła, no i właśnie weszła do łazienki z papierosem. Przeżyła, tylko poród odbył się ciężko, przed czasem i on jako dziecko miał poważne problemy neurologiczne. Starsza pani, niestety, była bliżej piecyka.

- Niestety, ślepotą w naszej rodzinie jest prawdopodobnie genetyczna, bo cierpiała na to także moja babka, która zresztą zginęła tragicznie wskutek wybuchu piecyka gazowego, po którym, jak zresztą i po babce nie pozostał żaden ślad. Moją matkę, wówczas w zaawansowanej ciąży, wydobyto spod gruzów...

Cofnął się wraz z fotelem od stołu. Tego było już za wiele.

- Na jakiej mieszkaliście ulicy?

Popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Na Browarnej koło młyna, prawie w samym środku Poznania. 60 lat temu.

Odetchnął z ulgą.

- No bo to zadziwiające, ale identyczny wypadek był w mojej rodzinie. Tyle, że w Krakowie, na Pivnej koło Krakusa. Z kamienicy został tylko parter, a my mieszkaliśmy na drugim. Ale matka ze mną w środku ocalała...

Gospodarz potrząsnął puszką, wylewając do szklanki ostatnie krople piwa.

- Niesłychane... Ale to oczywiście jeszcze nie wszystko. Pan ma... Ty masz córkę?

Zastanowił się. Na ile mógłby mu zaufać? W końcu, nie wiedział o nim nic, nawet tego jak się nazywa. Ujawnianie mu tego, że córka po tamtej ostatniej historii ukrywa się za granicą, na pewno nie było wskazane, a samego wydarzenia, po którym została mu spora blizna na głowie, też nie chciał opisywać. W końcu to żelazko samo nie weszło na pawlacz i nie stanęło na krawędzi idealnie w ten sposób, żeby spaść mu na głowę akurat w momencie, gdy będzie pod nim wieszal płaszcz? Policja doszła do tego samego wniosku i kiedy już oprzytomniał w szpitalu, zapytała kto jeszcze oprócz niego miał klucze. No i okazało się, że po wyprowadzeniu się żony – tylko oni dwoje.

- Tak, mam. Ale nie utrzymujemy kontaktu, podobnie jak z żoną. Stąd też przeprowadzka, jako że tamto mieszkanie trzeba było sprzedać, żeby się jakoś podzielić po rozwodzie.

Pokiwał głową, wstał.

- Tutaj podobnie, tylko nie sprzedałem, bo zostawiam Magdzie, a sam wyprowadzam się do znajomych. Jeszcze herbaty? Bo ja jeszcze piwa – uśmiechnął się. Podobnie jak Magda, uśmiechały się tylko jego usta. Oczywiście były pełne życia, choć smutne.

- Tak, chętnie, jeśli nie przeszkadza, nie bardzo mam się dokąd spieszyć. A twoja żona?

Z pokoju Magdy dobiegały dźwięki Metaliki. Ojciec popatrzył w tamtą stronę, potem pokręcił głową.

- To chodź do kuchni.

Otworzył drzwi i przepuścił gościa przodem. Ściany niewielkiego pomieszczenia były całe okopcone, jakby niedawno był tu pożar. Nie było mebli, tylko kuchenka gazowa, lodówka i zlewozmywak, wszystko całkiem nowe.

- Mieliśmy starą kuchenkę, jeszcze taką bez zabezpieczeń. Ktoś nie dokręcił gazu, akurat jak byłem za granicą przez kilka dni. Żona chciała zrobić sobie śniadanie, była

niedziela, zawsze w niedzielę jadała jajka na miękko i to tak raczej rytualnie, przy zapalanej świecy. Magda akurat wyszła do kościoła, zaraz po śniadaniu, które jadła bardzo rano. No i żona zapaliła tę świecę. Wybuch był niewielki, pożar szybko ugaszono, ale ścian nie dałem remontować, bo jakoś tak głupio było po tym, jak ją z kilku płaszczyzn zebrano do jednej trumny...

Rozejrzał się, jakby szukał, że na tych ścianach coś jeszcze nie pozostało. Był tylko brud i kopeć. Śmierdziało trochę i, jak mu się wydawało, czuć było gazem. Gospodarz wyjął piwo z lodówki.

- Potrzymaj, wstawię wodę. Dochodzenie zaraz umorzono, uznając sprawę za nieszczęśliwy wypadek. Policja uznała, że to zapewne Magda nie dokręciła gazu i nie widząc, nie spostrzegła tego faktu. Z powodu jej kalectwa, skończyło się na spisaniu protokołu. Ale...

Popatrzył na niego. Chciał już jak najszybciej wyjść z tej kuchni, z tego mieszkania i w ogóle z tego domu.

- Ale ja właśnie kilka dni wcześniej powiedziałem Magdzie o tych lekarstwach, co jej matka w czasie ciąży odstawiła i o możliwej przyczynie niedorozwoju nerwu wzrokowego... To było wszystko niecały rok temu, no i teraz już nie mogę dalej. Dlatego się wyprowadzam. A inni lokatorzy zrobili to wcześniej. Pewno bez kłopotów znalazłeś tu mieszkanie i nawet niedrogo, co?

No fakt, niedrogo. Cofnął się poza próg, ale kątem oka zobaczył Magdę, która stała za nim w płaszczyku i butach.

- Tato, ja pójdę teraz się przejść, może wstąpię do Kaśki na chwilę. A wy sobie pogadajcie o starych sprawach rodzinnych, potem mi opowiesz.

Skinął głową, ale zorientował się, że dziewczyna tego nie widzi, więc powiedział tylko, żeby nie wracała za późno. Magda zapięła płaszcz i odwracając się, powiedziała do gościa:

- Nie we wszystko trzeba wierzyć, co tata opowiada, zwłaszcza po piwie czy dwóch... Nawet w te jego podróże zagraniczne, które ostatnimi czasy kończyły się tylko na Saskiej Kępie, u jednej mojej znajomej... A moja wada wzroku to kwestia genetyczna, po prababci, niewątpliwie znasz już tę sprawę? I w niedzielę nigdy nie jadam śniadań, za to mam dobry słuch i wiem, że tamtego ranka ktoś otwierał, a potem zamykał drzwi z klucza... To do zobaczenia!

Pomyślał, że w jej ustach to banalne stwierdzenie brzmi szczególnie groteskowo. Trzasnęły drzwi.

- Nie słuchaj jej, po tym wypadku zrobiła się jeszcze bardziej dziwna. No i broni się, jak może. Już włączam wodę na herbatę.

Pstryknęła zapalarka, ale kuchenka nie chciała zadziałać. Sięgnął po zapalaki, potykając się o leżący luźno wąż, prowadzący do odkręconej butli gazowej.

Renata Piżanowska-Zarytkiewicz

*...jeśli mówię o sobie „poetka”
mam na myśli duszę
a nie twórczość...*

Ucieczka

nieobecna wszechczasy w wieczności słów
i nieśmiertelności porządku wyrazów
zasłuchana w decybele monologów
zawsze rano podkręcam swoje myśli
ze złością łamię zasady jakich nauczyłam samą siebie
i szczotkuję poźółkłe
zaciśnięte
zawzięte
paznokcie
na innych ustach
układam cię w pomysłach
i z braku miejsca wypływam wczorajszy wieczór
opary herbaty pieczęcią moją twarz
nigdy nie umiałeś tak dobrze całować
zapomniałam,
że kalka służy tylko do kopiowania...
w koszu konają ślady twoich stóp z wycieraczki
wczoraj zmiotłam je na szufelkę
papieros już dawno się wypalił
stoję sama ze sobą pod rękę
a cień twój szczeka na mnie z kąta pokoju
niczym pies
rozwścieczony głodem
wcześnie zapalam światło
rozbieram się do naga
i przechodzę w niewinność

Autoportret

spadała po zimnej szybie
czasem prosto zakrzywiając szczęście
ale cały czas w dół
liściem pod nogi przechodnia
szeleszcząc szeptem przydeptywanym zawiścią
i czerwienią wstydów, o których już nie miała pisać
oddechem parowała życie na szklanej tafli
gdzie piruety kręcił jej los
a w szklanej kuli dalej śnieg padał
i nie topniał od ciepła rąk
spłaszczony nos zbliżał się szybko do oczu
zapłakało gradem spojrzenie
i tylko dłonie dalej krwawiły od paznokci
gdy zaufanie ukrzyżowało jej miłość

Cienie

pogrzebane w jeszcze żywej pamięci
spreparowane wątki niekończących się zdań
na łasce nieba noc zebrze potulnie
zimną rękę wyciąga przed siebie
jakże czujne – martwe oczy kreta
suche osty mgłę ciągną za włosy
w moim domu teraz cisza mieszka
w moim łóżku teraz śpią tylko cienie...

Czerwone wino

jeszcze drzę w moich palcach
wspomnieniem ust wieczornego pocałunku
smutno zwiesiłam głowę echem rozpachy

wstydem oblałam dłonie
kiedy narysowałeś w nich swoją miłość
- tak bardzo chciałeś mnie kochać -

kobiecą troską objęłam twoją twarz
mówiłeś
a ja zbierałam do kieliszka z winem
czerwone, wytrawne...

jeszcze drzę w moich palcach
szkło na podłodze
wylane próżno słowa
całowałeś tylko swoje marzenia
kochałeś tylko czerwone wino

Liść kasztanu

świat to liść kasztanu
dłoń z kanapką dla głodnego
szklana kula z płatkami śniegu
uśmiech manekina ze sklepowej witryny...

umiera jesienią
na kolorowo tańczy w kroplach deszczu
gra wiatrem w konarach drzew
wreszcie zasypia na zimnej trawie...

miałeś mi wczoraj wymasować plecy
dzisiaj wiatr zdmuchnął resztkę sił
jęczę przygnieciona martwymi liśćmi,

czekam kiedy przestanę cierpieć...

Może dzisiaj

może to tylko dzisiaj
myśli wyprężone łąszące się o ściany pokoju
mruczą z zadowolenia kiedy je dotykasz...
i pustostany słów bezbólowe
histerycznie śmiejące się rozmiarem dużego lustra
gdzie Wielki Brat schowany przed Bogiem
liże rany po jego drugiej stronie...
weneckie wyrazy zamazane w słowniku
gondolą milczenia popłynęły przed siebie
rzeka zmieniła swój bieg
i siebie też
między tym wszystkim

Nasza miłość

milczymy,
gdy miłość czesze nasze uczucia
i na agrafkę zapina poranny szlafrok
a potem odsuwa zasłony by zabić promieniem słońca,
ściszamy
zbyt głośne pocałunki skradzione nocy
i zasmucone ptaki co ze słów czerpią nadzieję
kiedy twoja ręka szuka kobiety
w westchnieniu sennym zwiniętym w kłębek
mówimy,
o włosach rozrzuconych na gwiazdnej poduszce
gdy za firanką księżyc nagi świeci
bezwstydnie rzuconym na oparcie krzesła
i obojętnie wpatrzonym w jej oczy
krzyczymy,
niczym struna skrzypiec smagana smyczkiem
jękiem liści deptanych jesienią
i gdyby nie ona,
ta miłość
nasza
umarlibyśmy z przeznaczenia

Brzoza

nie napisałam sobie urodzenia
dłonie grały pustą kartkę
potem płacz, białe płótno,

dłonie trzymały się razem...
nie napisałam sobie wieku
pijanym wzrokiem dodawałam cyfry
ulatywały zera, proste kreski
drzewa marszczyły czoła...
kiedy konary oplotły głowę
młotek rytmicznie stukał w drewno
trzasnęły drzazgi, zgrzytał czas i mdliło słodkim przemijaniem
liśćmi się potem zawstydziłam
palce zarosły mchem zielonym
okrągłe plecy wiatr wysmagał
ktoś skopał nogą pień zgarbiony
i posmutniałam krzykiem trawy
wylałam morze łez czerwonych
ptaki spłoszone drzemią w chmurach
a ja zasypiam snem zimowym

Nieokreślone

nie powiedziałam tego słowa!
on jawnie skrzywił się z przekazem.
kanciaste myśli w ustach schował
on, ona, ono
z wąsem...
potem te płci nieokreślone
dierzawią w dłoniach swoje ego
palcami grabią puste skronie
z refrenem miałym,
pieśń dla niego.
później x, y – niewiadome
po co to pisać, skoro nie wiem
czy to dziewczynka zadżumiona
ślepy zaułek, czy dziura w niebie.
coś nagle szybko mi uciekło
goni po kartce jak w oblędzie
a gdzie jest teraz? - pytam pana
czy kwoka dalej siedzi w rzędzie?
nieokreślone literacko, zaspokojone linie sławy
bezpłciowość kartki zapisanej
pożre kleks z pióra bez obawy
boisz się tworzyć wiersze bez twarzy?
skorupki myśli, rzędy literek
nie napisałam tego do dziennikarzy
a jutro będzie dzień usterek

Podróż do Sochaczewa drogą morską

ostatni zielony promień

wołał zza fali
za tęczą przymglonych wspomnień
rybaka sieć w oddali...

po tafli spokojnej wody
przebiegł koń morski
pędzony wiatrem swobody
wzburzoną falą, szorstki...

na muszli zakotwiczonej
śpiewa syrena
szant łzawy uwiedzionej
zgwalcona rzeźba Rodina...

dłonie wzniesione do góry
światło przymknęły
w mroku nocnej chałtury
myśli z bursztynu umknęły...

pierwszym uśmiechem księżycyca
żagle wzniesione
latarnik gwiazdy przemyca
mleczną drogą, złocone...

powroty znikąd do domu
bywają trudne
listy na wodzie pisane nikomu
zwykle okrężną drogą, złudne...

Potem

potem przestaniesz płakać...
i kiedy słońce wejdzie przed wschodem gwiazdy
zapachnie siano wiosennym bzem
a późną jesienią wstaną krokusy
płatkami tuląc zmarznięte ptaki
potem przestaniesz myśleć...
otworzysz głowę dla białych aniołów
i pod parasolem nieba schronisz spojrzenie
jeszcze nie osuszonych rzęs
potem zamilknie...
na ustach nucąc kołysankę ubogim
świerszczem w koronkowym garniturze
co do ucha przypadnie znajomemu z przeciwka
a potem,
potem będą wschody i zachody
wiosny jesienne, letnie zimy
ciche melodie, szepty krzyków
głuche pretensje do pustych dłoni

i czerwona sukienka na lampce wina...

Taniec

tańczę
muzyką porwana dusza
hej, ptaku wolny nade mną
zaśpiewasz?
tylko krople wody muskają
ciszą zgarbione złotawe zboża

melodia głowę pod liściem schowała
refrenem się powtórzyła

zamknęłam w szafie wszystkie noce
tańczę
wolność na biało poubierałam
przystałam milczeć
rękę
rękę mi podaj
i zatańcz ze mną
proszę...

Twoje ramiona

a kiedy bierzesz mnie w swoje ramiona
konam zmęczona biciem serca
wśród zboża co śmieje się od gwiazdy do gwiazdy
i księżycy, co wspina prosto do słońca...
a kiedy bierzesz mnie w swoje ramiona
drży głos na małej literze w mych słowach
i gdy w rękach trzymam odłamki lustra
ranię jedynie nasze wspomnienia...
a gdy bierzesz mnie w swoje ramiona
uszczerbiony kubek do kawy drwi z metalowego budzika
- to we włosach utopiły się nasze poranki
to w porankach kończą się twoje ramiona-
a gdy bierzesz mnie w swoje dłonie
między nocą a nicią pajęczą
rozwieszamy westchnienia miłości...
płacze kropla na szybie w pokoju,
...kochaj mnie, proszę,
kochaj...
i żeby dalej...
twoje ramiona...
tylko chwilę
i czekam stęskniona

Umieranie

cieniem jesteś
szarą sukienką drewnianej laski
tekturowym życiem
oddanym na makulaturę
by wycisnąć z niego resztki współczesności
plamą na szybie
kiedy patrzysz w jej nieskończoność
między grą
a kształtem dłoni
z reumatyzmem zmartwień.
grzbiet kota z czarną sierścią
co przemyka nocą w twoim cierpieniu
wygina się pod twoją ręką
z bólem serca
kiedy porankiem z trudem otwierasz oczy
i wkładasz umysł w swoje ciało
i wyrzucasz śmierci
co zatechły w kuchni wraz z resztkami jedzenia
myślisz tak intensywnie,
i żeby schować gdzieś na jutro
i chociaż jedną szarą komórkę
i chociaż jedno małe obudzenie
tylko nucisz jednokierunkowo
tą piosenkę
odtwarzaną w gramofonie bez płyty
monotonnie, rytmicznie umierasz
w takt melodii, którą sam wymyśliłeś
- i nadal siedzisz w fotelu-
cieniem jesteś?
niebieskim parasolem
z drewnianą rączką, która nie ma już swojego cienia

Frasobliwy

ka jencmień złotem płace na ugorze
boleściwie snopy słońko ścisko w pasie
na bosej stopie paciorze odbite
wysupłane prośby ku Tobie przynosem
w tyj starej kapliczce co klyncy przy drodze
we śnie mojej matki zgarbione modlitwy
i ty frasobliwie patrzyjs przed sie Boze
kie ja zasiewam nieurodzaj siyćki
błękitne niebo furgace obsiadły
białe anioły pióra potraciely
przyprósone winy umarżły w dolinak
i łzy

co je my, ludzie, obudzili...

Modlitwa

na fali morza
układam modlitwę
o kolorowy wschód słońca jutrzejszym porankiem
codzienne czerwone zachody
dwa małe delfiny za statkiem płynące
o statek
na którym się modłę

Waria(tka)cja uliczna

bezwstydna
wariacja uliczna czerwonej kostki
czerwona sukienka
czerwona szminka
i szkielety poobgryzanych paznokci
na pustkowiu słów tylko sępy
i ta wariatka
uliczna
co tańczy świtem na mokrej czerwonej kostce
w rytm szalonej melodii
wieczorowo-wichrowa nocna koszula
unosi się świtem nad łąką
a ona dalej tańczy
wariatka
czerwona bez wstydu

Moja wolność

z niedowierzaniem dotykam swoich ust
odwiedzam słowa
niewypowiedziane
wykałaczką wydłubuję westchnienia
z pomiędzy przestrzeni szklących, zaciśniętych zębów
wczoraj, które zaczniesz teraz
właśnie przechodzi przez moje gardło
moje palce mają amnezję
malują dwukolorowe twarze
i rumieniec
zupełnie niepotrzebny nikomu
a potem wyprowadzają na spacer własne sny
zapominając o kagańcach na języki
z niedowierzaniem dotykam ust
odwiedzam dotyk pocałunku
i przegryzam jarzmo mojej wolności

Pusta szafa

starszy
o doświadczenia,
o trzy uśmiechy podarowane innej kobiecie
wiosenne kwiaty w tamtym wazonie
o słowa,
wczoraj wypowiedziane w gniewie
a kiedy pusto jest już w twojej szafie
opadam bezszelestnie w ciszę
przede mną na jednej nodze
ucieka pająk
z nicią miłości

Miłość z gazety

miłość z gazety? proszę pana!!!
szara, codzienna, zwykła mowa
pustka przy stole, zimna kawa
i nadgryzione czerstwe słowa

orzech się toczy po podłodze
na ścianie zegar zmarszczki liczy
już_czas_wy_ty_kać_dni_na_po_tem
już_czas_za_po_mnieć_ję_ki_ci_szy

głośne tykanie, dni spadają
liście na drzewach sennie nęcą
wąsem nad nimi księżyc kręci
głowa boli nicią pajęczą

miłość z gazety? proszę pana!!!
zbyt kolorowa, plastikowa...
najpierw usiadła przy stoliku
teraz w magazyn głowę chowa

jak mucha, co wędruje brzegiem
szklanki ze słodkim słowem - teraz
pan pije napój, pewny siebie
potem z gazety słowa zbiera

ktoś kiedyś dał mi te litery
kropki, przecinki z serca stawiał
grzmiały nagłówki JEJ MANIERY
i sławy zapach z gazet zawiał

miłość z gazety? nie chcę wrażeń

plastik się pali sztucznym ogniem
czekam na opis zwykłych marzeń,
które zapłoną jak pochodnie

Na drewnianym koniku

kiedy piszę wiersz umierają poranki
i niespokojna, cicho
mgła się kładzie na dywanie
tęczą grają rymy
i poeci po burzy
ze skrzydłami anioła
z nadpalonymi piórami
równoukładane słowa jadą wagonem do obozu
zamknięte rzędkie, szeregi, kolumny...
i nie uciekną
aby rozliczyć się z dniem
póki jeszcze jest, ten dzień.
przy oknie narodzenia
na drewnianym koniku
bujają się moje wiersze,
ale tylko do pierwszego promyka słońca
a potem,
ja,
ubrana w letnie rymy
idę wieszać pranie
pomiędzy wersami

Spotkania

te spotkania jak białe motyle
i wskazówka z zegara senna
słowa, które tylko na chwilę
w warkocz splata pora jesienna

pyłkiem kwiatu unoszą się wiersze
wersy rymów kłębią nad kawą
krzyczą słowa zębami przycięte
i poezja grana przez świerszcze

płatkiem śniegu spisane powieści
topią lody spotkań zimowych
pod swetrami schowane przygody
trzask w kominku intryg niewieścich

kilka zwrotek niewinnych, tych białych
kiedy w rękach pióro trzymamy
to Maestro nam kartki podkładał

by litery poezję składały

kiedy kropka, średnik, akapit
czy pan duży, czy mały, pan wie...
dzisiaj myślnik wszyscy stawiamy
lub przecinek, by wrócić bądź nie...

Promenada snów

pamiętaj, że kiedyś powrócę...

...w twoim śnie wsłuchana w kroki śpiących przechodniów. z poduszki, drogi naszego spaceru, wycieram ślady szminki. *a słońce dla nas nigdy nie zajdzie...* nie ma bowiem zachodu uczuć, choć wschody rażąco przypominają wieczory. gdy umierają jedno, rodzą się drugie, wciąż bez końca i początku niczym przyczajony punkt na okręgu życia. nie ma miejsca, w którym mógłbyś zamknąć swoje pragnienia i gdzie schowany drzysz w obawie przed swoim obnażeniem. i chociaż życie toczy się w kółko to ty zacieśniasz siebie do środka. coraz ciaśniej i ciaśniej. słońce już dawno przestało malować moje usta. chwyć mnie za rękę i prowadź po promenadzie snów... i wspominaj, wspominaj gorące spojrzenia przechodzących dni, których *dzień dobry* było tylko marnym skinieniem głowy poranka. i mów tak mało, zbyt mało, by pocałunek nie zamykał, lecz otwierał usta.

na promenadzie zwykle jest tłok...

przede mną, niczym namolnym owadem odganasz siebie z siebie, a resztki snu, które mogą choć odrobinę pokazać cię zabijasz bezpowrotnie. jak drapieżnik rozszarpuję twoje wnętrze, a zjadając duszę zamyślam się nad jej oryginalnością. nie ma w niej bezpieczeństwa. zostało zmasane niepewnością. czy obudzisz się po takim mocnym wrażeniu zachwiania własnego ego? bo to ty mnie wybrałeś i wsadziłeś we własny sen, a teraz, gdy zastąpiły go koszmary, chcesz wytrzepać mnie z pościeli razem z wygniecionym śladem po nocy. zgaś lampę, może to właśnie ona trzyma mnie w swoim kloszu.

pamiętaj, że kiedyś powrócę...

z filiżanką herbaty, którą dałeś mi bym spijała z niej swoje pragnienia. z jaśminową, z zapachem *tea* ulotnie parzonej. sen szepcze do ucha wabiące słowa spojrzeniem kołysząc się na moich kolczykach. pachnie mgliście, po czym oplata brzegi filiżanki tańcząc na niej niczym baletnica na pozytywce. a jaśminy tak późno kwitły tego roku... a mgliste opary herbaty, tak wcześnie ulatują znad mego kubka... na twoim policzku świeci rosa poranna. *świat łez jest taki tajemniczy... nie płacz księżę...* noc zawsze kusi zapachem... noc zwykle wabi ciemnością...

mówiłam ci, że wrócę?

z tą piosenką przy morskim bulwarze, rozbryzganą pianą na piasku i zaschniętą solą na skorupie muszli... wysmagane skały przyglądają się nadmorskim spotkaniom, a wczorajsza bryza szturcha splecione ciała porzucone leniwie gdzieś na portowej ławce. kiedy kochałam tutaj cię, kiedy byłam tutaj z tobą... teraz zakładam kapelusz przed słońcem i wędruję samotnie brzegiem twoich snów...

Elżbieta Plewa

*Miłość imion ma wiele i smaków różnych
Czasem gorzka jak piołun, to znów słodczą zamęcza.
Bywa tyranem lub pieszczotą zniewala,
Lecz wciąż jest sztuką – cierpliwości, wybaczenia i zapominania.*

Pokochaj mojego syna

Wrześniowa noc rozpoczynała się wyjątkowo nieprzyjemnie. Ostry wiatr zaciął lodowatym deszczem, błotniste kałuże utrudniały każdy krok. Mężczyzna szybkim krokiem zmierzał w kierunku majaczących w oddali zabudowań. Podniesiony kołnierz płaszcza i głęboko na czoło nasunięty kapelusz nie stanowiły żadnej ochrony.

Cholera, mogłem zabrać parasol, ale ranek nie zapowiadał aż takiej zmiany pogody. Spieszył się do domu, był głodny i zmęczony a błotnista śliska maź utrudniała każdy krok. Dzisiejsze obrady rady nadzorczej nie wniosły nic nowego, a niedawny tragiczny wypadek dyrektora technicznego wyglądał dość podejrzanie, jakby ktoś specjalnie to zaplanował. Nie najlepiej przedstawiały się też sprawy finansowe zakładów. Coraz częściej kusila go propozycja o sprzedaży zakładów i wycofaniu się z branży samochodowej. Ostatecznie uzyskane ze sprzedaży pieniądze może zainwestować w otwarcie prywatnej praktyki prawniczej i jeszcze zostanie sporo jako zabezpieczenie na starość.

Życie prywatne też nie układało się pomyślnie. Jedyne ciało żony stanowiła jasny promyk w jego życiu. Niecierpliwie czekał na to maleństwo, które z pewnością odmieni jego życie. Tylko nigdy nie pogodzę się z odejściem ukochanej Anny. Właśnie za kilka dni obchodzilibyśmy rocznicę swojego ślubu. Dlaczego mnie to spotkało - mruczał do siebie walcząc z porywistym wiatrem.

Tyle wydarzyło się od jego wyjazdu z Polski. Wypadek Anny, śmierć jej ojca, przejęcie firmy przez stryja, w zasadzie zamknęły mu drogę do kraju. Ojciec Anny przed śmiercią formalnie uczynił go spadkobiercą włoskiej filii. Tragiczne wieści z kraju, niepowodzenia w pracy, pozbawiły go chęci do działania i wtedy zostało zaaranżowane jego małżeństwo z córką prezesa kooperującej z nimi firmy, bardzo zaborczej i pięknej kobiety. Przecież jej nie kochałem. Jak głupiec uwikłałem się w ten romans a w konsekwencji ślub. Na dodatek niedługo po ślubie zgubiłem gdzieś złotą papierośnicę, jedyną-pamiątkę szczęśliwych lat i choć wszyscy jej szukali, nigdy się nie odnalazła.

Tak rozmyślając, zziębnięty i mokry, wszedł do jasno oświetlonego domu, gdzie powitała go uśmiechnięta teściowa mówiąc: Szybko przebierz się w suche ubranie, bo na górze czeka na ciebie długo oczekiwany gość. Wiadomość o dziecku zelektryzowała go. Szybko zmienił ubranie i uśmiechnięty wkroczył do pokoju gdzie kwilił maleńki opatulony w pieluszki chłopczyk. Nachylił się nad kołyską szepcząc : daj mi szczęście synku.

Anna otworzyła oczy. Przez szparę w zasłoniętym oknie, wdzierało się jaskrawe słońce rozpraszając mrok niewielkiego pokoju. Kolorowe zasłony i dywanik na podłodze kontrastowały z białymi ścianami na których wisiało kilka obrazków malowanych niewprawną ręką dziecka. Na stoliku przy łóżku stały dwie fotografie: Z jednej, zamyślony starszy pan na wózku inwalidzkim, spoglądał na drugą fotografię przedstawiającą roześmianą szczęśliwą, dziewczynę przytuloną do obejmującego ją mężczyzny.

Do pokoju weszła uśmiechnięta pielęgniarka.

- Pani Anno, dzisiaj rozpoczyna pani zajęcia z dziećmi od południa, ale wcześniej ma pani wizytę u lekarza.

Anna przyjechała tu dwa lata temu. Za sobą zostawiła koszmar kilku miesięcy trudnej walki ze śmiercią, psychicznym załamaniem po osobistych przeżyciach, łącznie z samobójstwem ojca, likwidacją domu i zupełną zmianą dotychczasowego życia.

Nie musiała podejmować pracy. Była zamożna, mogła żyć dostatnio i bezpiecznie, ale nie znosiła bezczynności. W pięknym miejscu, kilkanaście kilometrów od rodzinnej miejscowości kupiła duży dom z ogrodem i urządziła ośrodek rehabilitacyjny dla niepełnosprawnych dzieci. Ośrodek działał już trzeci rok, z pełnym poparciem władz lokalnych, a szczególnie rodziców przebywających tu dzieci. Te kilka godzin dziennego

pobytu dziecka w ośrodku, stanowiło dla rodziców możliwość odpoczynku, oraz wykorzystania tego czasu na załatwianie różnych spraw codziennego życia. Wtedy jeden z rodziców mógł spokojnie pracować zawodowo. Dlatego chętnie służyli radą i pomocą zwłaszcza w wykonywaniu drobnych remontów, w czasie wspólnych wycieczek, zabaw, różnych zajęć czy prac użytkowych na terenie budynku, w ogrodzie, do czego również angażowane były dzieci. Ot taka szkoła życia.

Dla Anny życie nabrało sensu i nowych barw. Czasem tylko rzut oka na fotografie powodował bolesny ucisk w okolicy serca, ale to mijało po chwili, a ważne sprawy dnia codziennego łagodziły ból i przywracały uśmiech zadowolenia z wykonywanej pracy. Nieubłaganie mijał czas. Nie mogła uwierzyć, że minęło już 5 lat od wypadku w domu, strzelaniny, zerwania zaręczyn. Czas podobno zbliznia rany ale jej uczucie dla Roberta nie wygasło. W głębi duszy była przekonana, że wydarzyło się coś niezwykłego, co spowodowało właśnie takie zakończenie ich związku. Minął ból urażonej dumy, a własne przeżycia i doświadczenia ostatnich lat złagodziły gorycz i pretensje do losu.

Czy tylko dla mnie los był tak okrutny? A rodzice moich pacjentów i oni sami na pewno są bardziej pokrzywdzeni a jednak cieszą się życiem, potrafią szczerze się śmiać, choć często jest to śmiech przez łzy, tłumaczyła sobie.

Ktoś zdecydowanie zapukał do drzwi gabinetu Anny. Na zaproszenie w progu stanął lekko przygarbiony mężczyzna, z siwą czupryną potarganych wiatrem włosów. Anna zamarła. Robert to ty? Za mężczyzną do gabinetu wsunął się może czteroletni chłopiec. Obaj wyglądali na bardzo zmęczonych. Dziecko przytuliło się do mężczyzny. Anno to naprawdę ty? Nie wierzyłem wiadomościom i swoje szczęście. Musiałem tu przyjechać. Nie mogę uwierzyć, że żyjesz i jesteś zdrowa - moja Anna. To oni wprowadzili mnie w błąd. Pisałem listy, nie odpowiadałaś. Anna blada jak ściana siedziała nieruchomo a po twarzy płynęły strumienie łez.

Robert wyciągnął rękę z białą kopertą. To list mojej byłej żony adresowany do ciebie.

Wyjaśnia w nim wszystko, o czym ja nie miałem pojęcia. Zatrzymałem się w miejskim hotelu. Jeżeli pozwolisz wrócę tu wieczorem i wtedy porozmawiamy. Teraz muszę nakarmić, syna i pozwolić mu się przespać. Jesteśmy bardzo zmęczeni i głodni.

- Nigdzie nie pójdziecie - krzyknęła Anna - Dzieckiem zajmie się pielęgniarka, ulokuje was w gościnnym pokoju, a ja w tym czasie przeczytam list i zdecyduję o naszej rozmowie. Ostatkiem sił przekazała gości dyżurnej pielęgniarce, poszła do swojego pokoju i z mieszanymi uczuciami otworzyła list. Niewyraźne pismo zlewało się w nieregularną plamę.

Anno, ja umieram. Zrobiłam to, co zrobiłam z zazdrości, że jednych los obdarowuje z nadmiarem, a innym skąpi wszystkiego. Mnie ukarał najbardziej, bo oprócz zdrowia i miłości wybranego przeze mnie mężczyzny podarował mi wszystko: pieniądze, urodę, szczęśliwy dom i wspaniałych rodziców. Twój stryj, po wyjściu z więzienia postanowił zdobyć majątek pozbawiając was życia. Ja w tym czasie byłam już szaleńczo zakochana w Robertcie. Mój ojciec wiedział o tym i postanowił zaaranżować nasze małżeństwo posuwając się nawet do szantażu Roberta. Wspólnie z twoim stryjem zaplanowali napad i doprowadzili do waszej tragedii. Byłam w to wtajemniczona i jedynym moim zadaniem było zdobycie przychylności Roberta. Uwikłałam nas w romans, który zaowocował ciążą, a to był powód komplikacji zdrowia i zagrożenie życia. Chciałam naprawić swój błąd i w ostatniej chwili powiadomiłam waszą policję o wszystkim, co uratowało życie twojego ojca, ale on, jak wiesz, nie mógł przeżyć twojego wypadku i zastrzelił się. Złotą papierośnicę ukradłam Robertowi zaraz po ślubie a potem przesłałam ci ją razem z lalką jako symbol nowej rodziny i oczekiwanego dziecka.

Z roztrzęsionych rąk Anny wysunął się list i upadł na podłogę. O Boże to jakiś koszmar. Dlaczego Robert uwierzył w moją śmierć i nie szukał prawdy. Zapomniał o mnie, czy miłość jego nie wytrzymała próby czasu. Podniosła list i czytała dalej: *Wymuszone małżeństwo nigdy nie było szczęśliwe. Jedyłą miłością Roberta zawsze byłaś ty i nasz syn.*

Śledziłam twoje losy, wiem o tobie wszystko. Trudne miałaś życie, ale wygrałaś walkę.

Jesteś zdrowa i silna. Jeżeli Robert cię odnajdzie otrzymasz ten list, wszystko zrozumiesz, a ja nie będę już żyła. Wtedy zapomnij o mnie i błagam, pokochaj mojego syna.
Julia

Anna odłożyła list na stolik. Ze zdjęcia spoglądały smutne oczy ojca. Otworzyła szufladkę, wyjęła z niej kartonik w kształcie serca i złotą papierośnicę dziadka.

Nie będzie żadnej rozmowy! Wszystko skończone. Kocham Roberta i pragnę szczęścia. Już dość wszyscy wycierpieliśmy. Pójdę do pokoju gościnnego, gdzie czeka na mnie dwóch mężczyzn, którzy od tej chwili będą treścią i szczęściem mojego życia. Bez zbędnych słów, jak przed laty, dam Robertowi Złotą Papierośnicę i swoją miłość.

Styczeń 2009 r.

Metamorfoza

Hej stara! Idziemy do sklepu? Obiecałaś mi super kieckę i buty. Studniówka już za dwa tygodnie - a ty co? W szkole spoko, Jacek przychodzi do domu jak chciałaś, mówi ci jak gdzieś idziemy. Te dziewięć stów to nie koniec świata. Wezmiesz nadgodziny i okey.

Zosiu zrozum, teraz nie mogę wydać tyle pieniędzy. Kochanie założysz tę, którą kupiliśmy na wesele kuzynki. Jest bardzo ładna, świetnie w niej wyglądasz a buciki też są nowe. W tym stroju nikt cię tu nie widział, bo miałaś go na sobie tylko raz.

Ty nie kumasz! Chcę ciuchy na topie! Nie wpędzisz mnie w deprechę. Co ty myślisz? Jestem dorosła, poradzę sobie. Pójdę do pracy i będę mieć własną kasę, bez łachy... Po cholere było mi liceum - ale ty się uparłaś. I jeszcze studia? O nie! Znajdę sobie sponsora albo wyjadę za granicę. Bez obciachu matka, co? Wybiegła z pokoju trzaskając drzwiami.

Boże! Co się stało? Od jakiegoś czasu trudno z nią wytrzymać. Nie mogę znów prosić mojej mamy o pożyczkę. Już tyle razy mi pomogła, choć nie pochwałała moich metod wychowania twierdząc, że konsekwencja i niewielka kara jeszcze nikomu nie zaszkodziły.

Zosia - moja ukochana córeczka. Zgrabna, kręte włosy czarne jak sadza i ogromne niebieskie oczy ocienione długimi rzęsami. Taka podobna do swojego ojca, którego nigdy nie poznała. Nie zaznała opieki ojcowskiej, a życie w pełnej rodzinie zna tylko z obserwacji i opowiadania. Nie umiałam przygotować jej do życia, które ma tyle barw i odcieni. Pilnowałam żeby niczego jej nie brakowało, chroniałam przed najdrobniejszymi niepowodzeniami, nie obarczałam zmartwieniami. Nigdy nie rozmawiałyśmy o wspólnych problemach. To był błąd! Czy uda mi się go naprawić? Straciłam wprawdzie osiemnaście lat, ale zrobię wszystko, żeby ją odzyskać.

Wyjrzała przez okno. Był ciepły letni wieczór. Z nieba mrugał do niej ten sam pyzaty księżyc, świadek słów wypowiedzianych kiedyś do męża: na gwiazdkę zostaniesz ojcem Aleksandrze. Na wspomnienie szczęśliwych lat, z oczu popłynęły łzy żalu i złości na niesprawiedliwy los.

Trzasnęły drzwi wejściowe. Ktoś cicho, powoli, wchodził po schodach. Po chwili usłyszała nieśmiało - mogę do ciebie wejść?

- Naturalnie, Zosiu.

Szybko otarła oczy, ale łzy nie przestawały płynąć. Spojrzała na córkę, jej bladą buzię i zaczerwienione oczy, jakby przed chwilą płakała.

- Mamo, płaczesz? Przecież ty nigdy nie płaczesz. Ja... - nie mogła mówić.

Podbiegła do matki i przytuliła się, jak za dawnych lat, kiedy wracała z podwórka z rozbitymi kolanami, podrapaną buzią i zakrwawionym nosem.

- Wiesz? byłam u Kaśki pożalić się na swój los, ale nie gadałyśmy. Jej stary przepił całą wypłatę, zrobił awanturę, skatował żonę - bo obiadu nie było, a teraz zmęczony śpi. Kaśka nigdy o swoich problemach nie wspominała mi. Często była smutna, zamyślona, a kiedy ja użalałam się nad sobą, mówiła kręcąc głową - „wyluzuj Zośka”. Nie pójdzie na bal. Zaraz po maturze zacznie pracować, a studiować będzie zaocznie i wcale nie czuje się nieszczęśliwa.

Wracając do domu rozmyślałam o życiu, o sobie, o tym że nigdy nie istniał nikt i nic, bo moje JA było mega super. Teraz kumam wszystko. Miałam luzackie życie, dla ciebie i babci byłam angielska królowa. Wypięłam się na was, bo to mnie rajcowało! Przecież my, mamu, nigdy nie rozmawiałyśmy o wspólnych problemach, kłopotach, tęsknotach i planach. Ty pracowałaś ponad siły, chciałaś wynagrodzić mi brak taty i było okej? Jest mi wstyd - sorry, mamu! Bardzo brakuje mi ojca. Nie znam słowa „tato”, niczego o nim nie wiem. Dlaczego !!!

Masz rację Zosiu. Dużo musimy sobie wyjaśnić, wybaczyć, zapomnieć. Ja też robiłam błędy. Ty jesteś już dorosła a mnie tak trudno pogodzić się z tym. Koniec z niedomówieniami,

brakiem szczerości, ukrywaniem błędów. Dajmy sobie szansę.

Twój tata był mądrym człowiekiem, wspaniałym mężem i ojcem. Taka jesteś do niego podobna. Bardzo za nim tęsknię. To tata wybrał dla ciebie imię, przekonany że będziesz mądrą dziewczynką. Zginął wypadku samochodowym wracając z pracy do domu. Ty miałaś wtedy 3 miesiące życia.

Pamiętaj, że bardzo cię kochał i od pierwszego dnia snuł plany na życie dla swojej córuchy. Bo widzisz, Zosiu - miłość to sztuka cierpliwości, wybaczenia i zmian na lepsze.

Karol Skiba

*widzę oczy
nocnego szaleńca
wykradającego sny*

str. 125

Białe bizona

pasą się białe
bizona
w krainie marzeń
a ty w samolocie
z chmur pełnym malin
pozwalasz
by spadły ołowiane
powieki serca
otwierasz oczy
by otworzyć je raz
jeszcze
widzieć siebie
jakim jesteś
bez krat umysłu
by poczuć
smak wiatru
i pocałunek ciszy

Nowy Targ, 18.08.2008

Biegnący błazen

każdy dzień daje
mi siłę
do łez pełnych
śmiechu
do radosnego
ból serca
i krzyku euforii
do wyznaczonej mety
gnam przez wzgórza
zielonego maku
wygram bo wiem
że życie to tylko
cisza wieczności
a ja radosny błazen
palącego jutra
mam w nim swoje
niepokorne miejsce

Być iskrą

mam być iskrą
w twoich oczach

radością na ustach
spokojem serca
pocałunkiem dłoni

chcę być zawsze
przy tobie nawet
kiedy cisza
gryzie cię
w nogę a bzy
już zwiędły
zmarznięte
chłodem poranka

Co dnia

wariuję
spokojnie
delikatnie
po cichu
ale jednak wciąż
bez ustanku
w głowie kołyszę się
ta myśl
bezsilna jak
mgła
patrzac w lustro
widzę oczy
nocnego szaleńca
wykradającego sny
czytam baśnie
z kwiatów i łez
i wiem że inaczej
nie chce żyć
a może nawet
już nie potrafię

Nowy Targ, 26.09.2008

Cukierek

taka krówka
mordoklejka
co dzieciństwem
smakuje
taka ot
zwyczajna
jak deszcz
taka krówka

mordoklejka
a jednak
w oku łza
moja krówko
mordoklejko
zaczaruj świat
by już nigdy
nie było
...dawniej

Toruń, 21.10.2009

Drzew szeleście

w dzień jasny jak sen
uśmiechem w kieszeni
z marzeniem pod ręką

(pieśń na ustach drga
niczym pneumatyczny młot)

kopiesz swój zielony
grób wieczności
mówili:
głupcze kwiaty nie kochają
ale ty mimo
a może i kontra
tańczysz z tulipaniem
i żyjesz w każdym
jego czerwonym płatku

zawsze chciałeś umrzeć
na wiosnę
ale nie znalazłeś nigdy
roześmianej trawy

Nowy Targ, 14.08.2008

Dzieci z plastiku

nadgarstki pokryte
liśćmi by ślady cięć
przykrył cień
cierpienie duszy
widoczne
szklanym okiem
folią owinięci
maszerują po sen

bez wartości
bez wyrazu
bez sensu
nogi ich skaczą
taniec błazna
w rytm głuchego
stukania w drzwi
nie... do nich
nikt już nie przyjdzie
przyjaciół sprzedali
za odrobinę
lepszego jutra

Toruń, 07.01.2009

Gdy daleko

ból wykręca cały
spragniony umysł
wdziera się
w zakamarki ciała
czeka
by zaatakować
jeszcze mocniej
i silniej
nie daje spać
jeść
krępuje język
i wolę
marzeniem jest
cisza
codziennością
krzyk
...
bez ciebie umieram
jak cmentarny kwiat
uśmiechem maskując
swój wewnętrzny grób

Nowy Targ, 27.09.2008

Ja ciebie ty mnie

ja ciebie ty mnie
jak śliwka w kompocie
trzymasz w uścisku

pływamy razem

w górskich piaskach
w łodzi pełnej węży

ja ciebie ty mnie
nigdy nie zostawisz
bez pożegnania kanapką

razem przez szare
słońce na niebie słońi

ból serca jak ogień
na dłoni grzeje
pociętą dusze

i wiem że mnie już
nie opuścisz
jak ziemia swego księżycyca

Los poety

zabiłaś we mnie poetę
bo poeta nie może
być szczęśliwy
i cieszyć się słońcem
poeta ma być przeklęty
jak cholerny słoń
co nadepnął na ucho
dziecku burmistrza
poeta ma być wiatrem
co każdy go ma
choć nikt na zawsze
płakać ma ze wszystkimi
ale z nim nikt
poetę ma boleć
nie kostka jak mnie
ale serce
tylko że wolę być
przeklętym szczęśliwcem
niż tragicznym poetą

Nowy Targ, 26.09.2008

Mechatnik

jestem błękitną
porażką systemu
ocalałą przez stado
stokrotek pędzących

po morzu zabobonów
szukam czego nie zgubiłem
znajduje to czego nie szukałem
czyżbym istniał tylko po to
by odnajdywać sens słów
ukrytych w bełkocie rowerów
tak. bo cisza zabija parami
nasze krzykliwe myśli
jak sęp miast gryźć nas
delikatnie - szarpie
dla siebie kawałki ciała
by dla nas nie zostało
nic już. Bo i po co
wybaczcie moją infantylność
ale głupota mną gardzi
dlatego nie nazywam się
głupcem lecz mechatnikiem
jestem fragmentem
zmechaconego swetra
kołtunem i kłaczkiem
ością w gardle
ale mimo to wciąż
jestem sobą

Toruń, 08.01.2009

Miska cukierków

gdzieś w misce cukierków
szukam swego szczęścia
wpadło tam wczoraj
przy obiedzie
i już go nie ma
a może zjadł
je pies?
a może brat
szukając żelków
wszamał je przypadkiem?
nie. to ja sam
schowałem je do kieszeni
na jakiś lepszy czas
gdy zabraknie
promieni słońca

Na parapetach

na parapetach nocnych
klubów jak sny
tańczą śliczne dziewczyny

piękne i figlarne
niczym śmieci na łące
oczy mają pełne
gorszej miłości
a serca puste
choć spragnione
odrobiny ciepła
zamiast gorących warg
łóżka na jedną noc

...
podobno nie ma złych ludzi
jest tylko za mało
prawdziwych domów
dla dzieci ulicy

Toruń, 19.10.2008

Niebieskie okulary

patrzysz na świat
przez niebieskie okulary
i cieszysz się cegłą
wystającą z muru

masz w sobie
cień brzozy po deszczu
i ten zapach ciszy
w dębowych liściach

i nie martwi cię
zbite jedno szkiełko
szum wiatru i tak
kołysze cię do snu
każdej burzowej nocy

Nowy Targ, 07.07.2008

Nocny taniec

skaczesz. tak.
w rytm serca
wieje wiatr
muzyka lęku
uwalnia się
z twego serca
kiwasz głową
w jej takt
tańczysz po
trupach wolności

śmiech i skowyt
wieńczą ostatni
krok snu
pijanego jutra

Nowy Targ, 11.06.2008

Pani z za baru

bezpruderyjna
pani z za baru
zmęczona ciszą
snem
otulona
pała uczucia
benzyną zła
i chociaż walczyła
koszmarom grając
na rzesach
i tak zmieniali
jak rękawiczki
jej dłoń
przegrała ze
sobą każdy mecz
dla niej
zwycięstwem była
tylko śmierć

Nowy Targ, 22.08.2008

Poczwarka

poczwarką
byłem
ale wyrosłem
z ciasnego
kokonu umysłu
uczę się żyć
na nowo
poznaje świat
i on mnie
kształtuje
swoim
bezczelnym
batem

Toruń, 07.10.2008

Polowanie na mola

ludzki mola z gruntu
niepokojny jak zew
snówłamaczu
przdrzeźniasz ciszę
z patelnią w ręku
gnasz przed siebie
licząc na cud
bierzesz co popadnie
by przeżyć jeszcze
jeden zidiociały dzień

Prosty system

chaos kontrolowany
w twojej głowie
jak banany eksportowe
skacze w rytm
zardzewiałych skrzypiec
skronie pulsują od nadmiaru
powietrza

przytulony do ostrza noża
śpiewasz pieśń pawiana
i nawet gdybyś jutro umarł
to nic nie znaczy

dostałeś już swoje
jabłko w nagrodę
za uśmiech staruszki

Skrzypiące oko

oko mi skrzypi
niczym wiekowe
drzwi
skrzypi od patrzenia
na brudny świat
oko mi skrzypi
bo ma dość
bycia łącznikiem
pożądania
oko mi skrzypi
skrzypi mi
skrzypi
i dobrze że hej
jak skrzypi

znaczy się
że jeszcze
je mam

Toruń 07.10.08

Spolecznicy

społecznie pracować można
kalekom pomagać
dzieci w sierocińcach odwiedzać
staruszkom zakupy robić

społecznie można zagrać
koncert przedstawienie
powiedzieć wykład
obraz na aukcję wystawić

ale być dobrym społecznie
koledze pomóc bez poklasku
tego społecznik nie zniesie
bo to kolejna praca za darmo

Toruń, 03.02.09

Stado

idziesz ty sam
i idzie stado
i jest wam dobrze
ale pewnego dnia
spotykasz stado
i idziesz ty
i idzie stado
razem w jednym
kierunku
jednak nazajutrz
już nie ma ciebie
nie ma my oni ty
jest tylko stado
myśli i czuje
za ciebie stado
i tak jak już
nie jesteś sam
tak i nie ma
ciebie
jest tylko stado

Toruń, 17.07.2008

Świat i ty

świat jak 30 srebrników
rzucono ci w twarz
a wciąż cieszysz się
jak gdyby nigdy nic

zajadasz pomarańcze,
czysty dziecka sen
robisz swoje
bez względu na resztę

i czasem gdy patrzysz w dal
uśmiechasz się
a mrówczy świat
nigdy dla ciebie
nie jest zły

Umrzeć raz

umrzeć raz
a potem znowu
umierać w każdym
twym spojrzeniu
i rodzić się
w uśmiechu na nowo
słowami okryć się
przed deszczem
samotności
w cieniu twego
ducha
oddychać ciszą
zapomnieć
o podłym krzyku
codzienności

Nowy Targ, 30.06.2008

W górach

opuchnięte nogi
to nic
że kostki obite
bzdura
ta krew na policzku
to śmiech

tam w górach
znalazłaś ciszę
siebie też
pośród tych drzew
czułości szmer
i jego usta
słodkie
pachnące sosną
a wiatr jak sen
otulił was
w wietrzności
chwilę

Nowy Targ, 22.08.2008

W pokoju bez drzwi

wyzbyłem się uczuć
krzyczę bezradnie
jak wilk
do księżyca
uciekam przed
lękiem
samotności i bólu
i modłę się
w ciszy
by w końcu odnaleźć
nie szczęście
nie płomień
lecz siebie

W słoiku

schowany
w słoiku
niczym poranny
ziew
wyzieram oczy
sponad mgły
wczorajszej
ciszy
mruczę
pod nosem
piosenkę
by zapomnieć
o tym że
wciąż jestem
chwilą

Toruń, 25.10.2008

Wychowanie społeczne

miało być prosto
ale nie jest
i nie będzie nigdy
bo i dlaczego?
nikt nie powiedział
że nie będzie boleć
gdy potkniesz się
o butelkę z winem
trzeba patrzeć pod nogi
tego się szybko uczysz
kolejne bity na plecach
sugerują pozycje
obronno-zaczepną
na swoje szczęście
kąsać po nogach
jeszcze potrafisz

tylko ten kto
nie boi się nosić
blizn na twarzy
potrafi kręgosłup
utrzymywać w pionie

Toruń, 03.02.2009

Zawsze z boku

zawsze z boku
na dystans
jak szczur w kanale
idziesz przez życie
niczym jeździec bez głowy
któremu i tak wszyscy
patrzą w oczy
sen jedynie przenosi
w świat gdzie
jesteś panem
malin i agrestu
a czasem kiedy nikt
nie słyszy
opowiadasz sobie
co by było gdyby...

Mariola Socha

*poezja jest nieubłagana
umie wszystko nazwać na moją korzyść*

Ulica Skromna

Nieopodal szarego płotu skręca w prawo ulica Skromna.... Jeszcze dwa domy i po lewej stronie stoi drewniany, zapomniany budynek – to tutaj mieści się Polski Związek Hodowców Gołębi – zapomniany związek, zapomniani hodowcy, tylko gołębie jak zwykle pięknie szybują w ciepłe dni po niebieskim niebie....

Tam właśnie spotkałam dziewczynę w czerwonej sukience...

Gdy ją doganiam jest prawie południe... droga piaszczysta zakręca w lewo, dziewczyna wstydliwie opuszcza wzrok gdy czuje, że patrzę na nią.

Odwraca się do mnie na chwilę, nie zgadniesz niczego potem, żadnej przyjemnej sytuacji. Jej puste oczy patrzą w niebo.

Dziewczyna:

Kto będzie mnie podziwiał gdy zmienię czerwoną suknię na szary przeciwdeszczowy płaszcz? Usiądę wtedy na końcu ulicy – tam gołębie dojrzą mnie z niebieskiego nieba – będą sfruwały na moje dłonie. Tak jak ja nie wiesz co będzie jutro... bo przecież nikt tego nie wie.

Czerwona sukienka dotyka leciutko twojej jasnożółtej torebki.

A potem... potem wszystko już jest łatwe... jeśli nie musisz występować solo... to wszystko jest takie zwyczajne – chór zgodnych głosów.

Przechodzień:

Księżyc pędził przed siebie – albo raczej chmury przesuwają się po jego jasnej tarczy odważnie...

Kiedy budzę się rano... jeszcze jest ciemno – ale dzisiaj rano słodycz twoich ust i twoje delikatne palce oszołomiły mnie na tyle, że nie zobaczyłem budzikowej tarczy – a zawsze ją widzę, nad ranem. Co tam życie – nigdy nie będę czarodziejem - więc spotkałem cię na rogu ulicy wczoraj – no przecież znamy się nie od dziś – ty roznosisz jajka do bogatszych domów, bo w tych biedniejszych nawet nie otwierają... A ja pożyczam ci czasami wózek na kartony – wtedy starasz się uśmiechnąć – chociaż dla nas uśmiechnąć się to już znaczy takie niewielkie wygięcie ust, którego nikt pewnie nie spostrzeże...

Gdy jest ciepłe lato - ścieżka jest sucha, trawy pachną – dom z lewej strony jest jasny – gołębie – latają sennie – wolniej niż zwykle – przecież tak gorąco. Gdy dochodzę do zakrętu – czuję się jak w jakiejś innej krainie...Słodkie oszustwo zmysłów zawsze popłaca – mam lepszy humor...

Gołąb:

Wiatr wiał rano, teraz jest ciepło... Gdy przymykam oczy mogę krążyć wokół drzew jak długo chcę...

Na dole dwie małe plamki – jedna ciemnoszara - druga ciemnoczerwona – to ludzie – gdzieś daleko szczeka pies. Usypiam w ciepłym, słonecznym powietrzu... światło komponuje barwy, coraz piękniejsze, coraz bardziej południowo-pastelowe... Przecież już dwunasta.

My z Ulicy Skromnej:

Stoimy po przeciwnych stronach ulicy – z podniesionymi rękami – jak do egzekucji - odwróceniu tyłem, nie widzimy się...

Szukam w sobie romantycznych nastrojów, nie da się niczego wymyślić do przodu – prawdziwe życie jest na ulicy Skromnej. A ja stoję na niej jak na początku życia.

Podnieś głowę do góry, do nieba i śpiewaj. Bo życie jest, bo niczego nie można wytłumaczyć, tylko czasami małe definicje udają się między wierszami. Wtedy zaczynamy się uspokajać.

Nasz czas jest określony przez fantastycznie rozwikłanie obrotów ziemi.

Moje prośby zamieniły się w rozważne równoważniki.

To Bóg kładzie swoje ręce na główce dziecka, aby je zdjąć gdy już nie będzie siły – wtedy człowiek straci równowagę i wtedy poczuje, że życie już minione...

Kochać kogoś – to znaczy tą miłością być...

A Miłością być - to biec w czerwonej sukni przez ulicę Skromną nad ranem, kiedy mgły nad domami, a rosa na trawie.

Gdy wejdę do świątyni – już będę znać swoją duszę, nie będę musiała czytać napisów na kamieniach... Nie boję się już wyobraźni, która prowadziła mnie najczęściej na manowce...

Galeria obrazów – cichutko brzęczące jarzeniówki – zawsze kojarzyło mi się to z dziwnymi kształtami na obrazach... z kulą pokrytą czarno-białymi zdjęciami położoną w szklanej półkuli...

Wszystko co nie do końca przeżyliśmy wraca do nas – tak jak przeszłość zawsze żyje w nas i jakby o tym myśleć dokładnie i cofać się arytmetycznie w przeszłość – to pocujemy, że wszechświat żyje w nas od swojego początku – przemienione cząstki i pierwiastki, które ułożyły się w pewnym momencie w sensowny i odczytywalny dla nas układ – jedynie przechodzą przez nas i pędzą gdzieś przed siebie – w następne życia i pokolenia.

Jakbyśmy tylko na chwilę przechowywali jakąś genetyczną tajemnicę. Nic się nie zmienia, gdy moje serce przestanie bić. Dobrze jest zaistnieć – jesteśmy we wspólnej przestrzeni. Powielamy i zmieniamy jakiś kod, który pędzi przed siebie w kosmiczne, granatowe pustki.

Trudno myśleć o tych przestrzeniach, a jeśli jeszcze dodamy do naszego trzeciego wymiaru – jeszcze jeden....

Zawsze będziemy chcieli zatrzymać tych, których kochamy. Najdziwniejsza rzecz, która przydarza się nam to Miłość. Inne uczucia - ambicje, zazdrości, starte na proch, nikt ich nie żałuje. A to cholerne uczucie między samotnością, pragnieniem, głodem? śmiercią? Ale śmierć istnieje tylko dla nas – osoba, jednostka ludzka umiera - tak naprawdę nikt nigdy nie słyszał o tym abyśmy po urodzinach zniknęli z tego świata - zawsze żyjemy – w powietrzu, w wodzie i na lądzie – zależy na jaki pomysł wpadną wasi potomkowie – tradycyjny pogrzeb czy rozsypanie szarego pyłu nad górami lub utopienie urny w oceanie.

I tylko nam się wydaje, że Miłość wypromieniowujemy gdzieś, bo szkoda nam przecież stracić tyle uczuć, które doprowadziły nasze nerwy do rozstroju. Nie umiemy uwierzyć w istnienie jakichś pierwiastków z tablicy Mendelejewa. A to właśnie powinien być dla nas najważniejszy przedmiot w szkole. Szalone pierwiastki i marne drobiny...

Odchodzimy w przyszłość, ulicą Skromną, to pewne...

Dublińska opowieść

gdy przyjedziesz do Dublina przed Bożym Narodzeniem
będą tramwaje, ludzie, autobusowe przystanki
potem wieczór i dziewczyna z parasolką
gwiazdy znów utoną w Liffey
malutki hotelowy pokój, kręte schody
mewy śmieszki rano
ledwie po wschodzie słońca
dzień idzie przez pokój jasną plamą
niepełna jestem uczuć
gdy most srebrzy się deszczem

na poczcie świąteczne kartki
Kruk z Krainy wieczności na ramieniu człowieka
na ramieniu niezwykłego irlandzkiego Cuchulainna
zapach prochu, strzały
płonące papiery, cierpienie, jeszcze trochę wytrzymać

ludzie w kolejce po listowe znaczki
szuranie butami, mokre, deszczowe płaszcze
mężczyzna odwraca się
w ręce trzyma polecony list
uśmiecha się niepewnie patrząc na moje zaczerwienione policzki

gdy zaczyna padać deszcz jestem bardziej samotna niż wczoraj
nie można chcieć wszystkiego, nie można wybrać sobie miłości
dwoje ludzi, dwa obłoki, dwa serca
puste pola, brak słów
choinka z tysięcy żarówek nie rozpali twojego serca
ale przyjedź porannym pociągami

Wieczny Ogień w metalowej kuli, otoczony łańcuchami
zniewolony jak człowiek
tylko jeden jesienny liść chce go pocieszyć
spadł i zatrzymał się w pobliżu ognia
nie szalej liściu jesienny, bo spłoniesz

nad rzeką mewy i ludzie na moście
śpią z plastikowymi torebkami pod głowami
to oni z kamiennego pochodzą po drugiej stronie rzeki

kamienny mężczyzna przyciska do piersi chleb
korowód kamiennych wyrzutów sumienia
bezradna kobieta cieniem już jest i nie ma siły podnieść rąk
więc wznosi do nieba oczy
a za jej plecami ulsterski bank
gdzie bogactwo rozsypuje się w rękach
bogactwo bezładnych kamieni

nadzieja jak różnokolorowa choinka z tysięcy żarówek
ich blask rozmywa się w wieczornej wilgoci
oświetlone świąteczne drzewka
są jeszcze zbyt małe by święcić triumfy dorosłych drzew
Przyjaciółki przystanęły pod parasolem
na moście zapaliły się światła.

na przejściu dla pieszych na O'Connell Street wysypały się cytryny
jak żółte kanarki rozbiegły się pod koła samochodów
kobieta załamała rękę
pomocnicy zaczęli wciskać jej w dłonie
coraz to nowe znalezione cytryny
a nawet jedną pomarańczę i chusteczkę, bo po co płakać
kobieta przeszła na drugą stronę, przystanęła
niedołężna już jestem, nie mogłam się schylić, mój Boże
dobrze, że ci ludzie
nic się nie stało tylko ja już wiem, że jest inaczej westchnęła i schowała
cytryny do ogromnych kieszeni płaszcza

Przyjedź do Dublina po zachodzie słońca
wszyscy już wiedzą, że na ciebie czekam
oglądając wczesny wieczór w ciemnoniebieskim Trinity College
muzea i książki lubią mrok
więc zwiedzam jak przykładni turyści
strona celtyckiej książki zatrzymuje się na opowieści
tylko dla nas na ten dzień odpowiedniej
malowane litery utwierdzają mnie w tym
że to obietnica miłości, ciszy, nadziei

na piętrze jest biblioteka
na jednej z piętrowych półek na pewno jest granatowa książka z opowieści
księga, która ratuje życie
zawsze powinna leżeć na gościńcu aby można było ją znaleźć
tutaj w bibliotece odpoczywa po trudach przebywania wśród ludzi

w katedrze przyciskam rękę do serca
bo grają organy i światło-cienie w nawach
srebrna obrączka pasuje na serdeczny palec

jeszcze tylko jeden spacer nad kanałem
jeszcze jeden księżyc, jedna droga
z tobą spotkanie, mój smutny mistrzu Patricku
nieumówiona i nieoficjalna randka we dwoje
ja wiem muszę wybrać, muszę żyć
ty już odpoczywasz i możesz patrzeć na wodę
a ja nie dbam o spokój, niech to diabli

zmęczona wracam przez znajome już ulice

kiedy przyjedziesz do Dublina nocą

pokażę ci pełnię księżyca nad Grand Canal
płynący statek świeci drugim księżycem
dwa światła, dwa księżyce
dają sobie znaki płynąc po wodzie i po niebie
granatowo-ciemnożółty wieczór

przyjedź do Dublina przed Bożym Narodzeniem
będę pocieszać twoje serce
trzymać cię za rękę na Raglan Road
potem poznam cię z dublińskim wieczorem – ja dziewczyna z parasolką
wtedy gwiazdy znów utoną w Liffey
malutki hotelowy pokój, kręte schody
mewy śmieszki w wigilię rano...

Dublin, listopad 2008

Dwie części

*Jest taka przełęcz na polsko-słowackiej granicy,
gdzie w nocy na cmentarzu wojennym błyska czasami mdle światelko...*

I. Kacper i wojna

Światło na wzgórzu. Od niedawna stoi tam jakiś barak, przy nim jasna latarnia. Postawili ją wojskowi. Przyszli do wioski na wiosnę. Przyszli, kiedy pola były jeszcze puste i niezaorane - wiosenne, zielone, z niewielką jeszcze trawą - łąki. Cisza w południe.

Za wioską dwa cmentarze wojskowe - malutkie, niedające żadnego sensownego wyobrażenia o wielkości bitew i ogromie bezsensownego, ludzkiego nieszczęścia.

Wojna przychodzi do wioski nagle, gdy ogłaszają pobór do wojska. Wtedy kobiety zakrywają oczy.

- O Jezu, Jezu – zawodzą beznadziejnie chociaż wiadomo, że i tak to niczego nie zmieni.

A może ktoś usłyszy ich skargę? Kto?

Teraz pójdą młodzi chłopcy, bo starszych od nich mężczyzn wzięli już wcześniej.

Młodzi poborowi spotykają się za wsią. Dość krzykliwi, wydaje się, że nie boją się, że traktują tę wyprawę jak przygodę.

Tylko niektórzy z nich zaglądną jeszcze na kładkę. Wrzucają z niej ostatni kamyczek do wody, zapamiętują promień zachodzącego słońca nad drzewami, w środku wsi.

Zegar głośno tyka, gdy matka szykuje wieczorny chleb. Babka kiwa się, jakby z przyzwoleniem na taki los. Nie poszła jeszcze dzisiaj spać, chociaż co chwilę sennie zamyka oczy. To ostatni jej wnuczek. Tego Jędrzejowego stratowały konie, gdy chciał je zatrzymać, bo uciekały panu z zagrody. Babka przymknęła oczy - nawet pieniędzy pan trochę dał, wtedy. Ale co to za pieniądze, za chłopaka. Ładny był. W niedzielę, w kościele dziewczyny oglądały się na niego, aż ksiądz czasem mruzczał niezadowolony.

Babka westchnęła. Jadziny poszedł do wojska dwa lata – już będzie. Nawet teraz nie pisze co z nim. Miał szybko wrócić, a tu wojna... No i teraz jasnowłosego Kacper – to dziecko przecież – babka porusza ustami, jakby się modliła. Bo modli się. Za niego, za Kacpra z jasnymi włosami, za jej ostatniego wnuka. Babka otwiera oczy – Kacper już siedzi przy stole.

- Siadajcie – mówi córka do niej.

Wstaje wolno. Podchodzi do stołu i po chwili mówią chlebową modlitwę.

- Wiecie, że wszystkich już chyba wzięli? – Kacper czuje, że ma prawo mówić jak dorosły.

- Boże, co to będzie? - matka wzdycha.

- Dla nas podobno dobrze, tak mówią, że jak biją się – nareszcie coś z tego będzie – Kacprowi zabłyszczały oczy.

- Nic dobrego nie będzie, dziecko. Wojna to wojna – matka odwróciła się do pieca, aby ukryć łzy.

Tej nocy w izbie pełno było księżycowego światła. Jakby specjalnie dla Kacpra, który wodził oczami po stole, krzesłach, nawet półki matczynego kredensu też zapamiętywał. Nie mógł spać. Po raz pierwszy w życiu. Po raz pierwszy przekonał się ile jest dziwnych stukotów, szelestów i szmerów w nocnej izbie. Każdy tajemniczy i wart zapamiętania. We wsi szczekają psy. Pachnie dym, który jesienią tak długo w noc włóczy się po polach.

Jaki tam jest świat? Tam na tej wojnie? Czy chociaż trochę taki jak tu? Kacper myśli jak ciekawy świata podróżnik, może dlatego, aby nie dopuścić do siebie nawet na chwilę,

nawet na sekundę tego kołającego się wraz ze ściśniętym sercem jedyne pytanie – czy wróci, do tego oblanego księżycowym blaskiem stołu...

Rano matka pakuje chleb, żegnają go z babką, która z powagą dotyka jego czoła robiąc znak krzyża.

- Babciu – wzdycha Kacper.

- Przestań, Kacper – może mnie już nie zobaczysz - tłumaczy się z nagłego szloch babka.

- Jak wrócę, to zobaczę – chłopak odpowiada zadziornie.

- Wrócisz, dziecko wrócisz, tylko moje dni policzone – babka siada ciężko przy piecu.

Kacper podchodzi do innych chłopaków ze wsi. Za chwilę robi się cicho – zjawiają się mundurowi. Ustawiają ich w kolumnę, ruszają już w kierunku lasu.

W gardłach kobiet, ojców, dziewczyn, matek – zastyga oddech.

Oni będą szli długo. Bo długo idzie się na wojnę.

II. Kacper i Śmierć

Płaszcz prawie mnie nie przykrywa. Jest zimno. Wydaje mi się, że kilka metrów ode mnie ktoś leży. To na pewno człowiek. Przecież tu wszędzie pachnie krwią. Wiosenne pole zasłane jest ludźmi takimi jak ja. Chociaż nic nie jest pewne we mgle. Gdy odwracam głowę nad niedalekim horyzontem ciemnieją krzewy. Gęste krzewy. A za nimi jakieś światło.

Ludzie palą ognisko. Śmieją się, żartują. Ubrani inaczej. Nie znają mnie. Zastanawiałby ich pewnie mój mundur. Tyle lat minęło od naszej bitwy... Nagle czuję, że ktoś jest obok mnie. Ktoś mnie podnosi się do pozycji siedzącej. Ale potem wyjmuję pistolet. Strzela.

Przy ognisku śpiew cichnie. Ktoś rozchyła krzewy i wychodzi na puste, dla niego pole bitewne.

Podnoszę się nieznacznie, jestem śmiertelnie... przerażony. Śmiertelny przecież jestem.. Krztuszę się krwią i śmiechem. Przecież nic gorszego już się nie zdarzy.

Ja śmiertelny patrzę na tego jeszcze nienarodzonego dla mnie człowieka, wychodzącego z krzewów.

On patrzy z niedowierzaniem, świecąc latarką, która wygląda jak nieosiągalny kwiat paproci pośród nas... Pośród nas, umierających na wojnie. Czy widzi nasze koszarne pole bitewne? A może słyszał strzał, który zatrzymał moje serce?

Ten człowiek, wychodzący z krzewów nie słyszy jęków moich przyjaciół, nawet mnie nie widzi.

Godzina śmierci... i cztery inne rzeczy ostateczne. Patrzymy na niego – malutki, prawie nienarodzony robaczek na pograniczu śmierci. Jego dni już policzone.

Płaszcz nie okrywa mnie wcale. Czuję chłód i nie chcę już walczyć z Bogiem. Dobrze. Śmierć to tylko chwila.

Jak długo istniejesz, Boże? Tak długo jak ja żyję. Tak długo jak umieram.

Do chłopaka z latarką dochodzi dziewczyna.

- Co tam widzisz? Chodź już, zimno mi – pyta go, okrywając nagie ramiona dłońmi.

Dziewczyna patrzy na mnie. Tak mi się wydaje, przecież nie może mnie widzieć. Dla niej tutaj nie ma żadnej bitwy, pole jest zwykłym wiosennym polem, a nie bitewnym sądem ostatecznym.

Nie wiem, dlaczego jednak dziewczyna wyczuwa mnie. Wzdycha cicho.

Czy naprawdę istnieje nadgarstek dziewczęcy i jej lekka jedwabna sukienka?

*Moje siedem grzechów głównych. Pierwszy to... **Gniew** na płaszcz, że nie okrywa mnie wcale. Chłód odbiera mi zmysły chociaż jestem zbyt **pyszny** i rozmawiam z Bogiem ostatni raz.*

*Leżę **leniwie** na pustym polu. **Nieczyste** mam myśli, chciwe i zazdrosne w godzinie śmierci, w czwartej rzeczy ostatecznej...*

*Umiarkowany jestem tylko w **piciu**, bo krew nie zamieniła mi się w wino. I na próżno zaciskam dłoń na zranionym śmiertelnym ramieniu.*

Duch Święty mówi: wstańcie na Sąd Ostateczny.

Więc nareszcie wstaję, czuję lekkość, wtedy odważnie biorę dziewczynę w ramiona. Dziewczyna kładzie rękę na moim płaszczu. Odrzuca włosy do tyłu, uśmiecha się z wdziękiem.

Jej towarzysz odchodzi do ogniska.

- Chodź, Marta – mówi do niej, ale ona czuje już księżycowe światło.

Nie jestem już zazdrosny, ani pyszny, ani zagniewany.

Właśnie wytłumaczyłem sobie zmartwychwstanie. Jasne chmury obejmują moje ręce.

Przytulam dziewczynę tak mocno, że jej włosy dotykają mojego śmiertelnego ramienia.

A ona na wszystko mi pozwala... chociaż odwraca jeszcze na chwilę głowę, bo wie, że gdy spojrzę w jej oczy, pójdę za nią wszędzie...

Moja życiowa przestrzeń – Myspace

Taki bal był tylko jeden. Wszyscy przyjechali, a kolorowy korowód wystrojonych postaci nie miał końca. Zapowiedziano go niedawno, ale i tak wszyscy zdążyli tu przybyć.

Wiatr uderzał w szyby, padał rześisty deszcz. Weszłam w szpaler ludzi – idę wolno lekko dotykając chłodnego materiału białej sukni. Ludzka ciżba zerka na mnie, mężczyźni cmokają lub uśmiechają się głupio, a kobiety szepczą coś sobie nawzajem. Jestem pewna, że mówią o mnie – bo wszyscy wiedzą, że przyjechałam do ciebie.

Tylko ty o tym nie wiesz. Nie poprosisz mnie do tańca ani do rozmowy. Ja mam takie frywolne życzenie, aby być tutaj, na balu i patrzeć od czasu, do czasu na ciebie. Nie widziałam cię przecież nigdy. Wszyscy o tobie opowiadali – o twoich chwalebnych czynach, o bohaterskich bitwach i polowaniach. Do naszego miasteczka nigdy nie docierają władcy.

Jedynie twoi heroldowie pokrzykiwali czasami na rynku i tam można było wysłuchać twoich słów, które czytali malowniczo rozwijając sztywny papier.

Ale w takiej w ciżbie niewiele można zobaczyć... stojący obok mnie mężczyzna wybuchnął co chwilę śmiechem, nie mogłam niczego usłyszeć. Herold patrzył na wszystkich i potem czytał jedno zdanie – co też to mogło być? Może ogłoszenie o dodatkowych podatkach, a może nowe projekty dróg prowadzących do miasteczka.

Gdy hałaśliwy mężczyzna, aż trzymając się za brzuch z radości, odszedł przepychając się niegrzecznie w powoli topniejącym tłumie – herold zaczął zwijać swój papierowy wywód.

- To nie dla nas – mruknął staruszek w fioletowym żupanie.

- Dla ciebie na pewno nie – zawtórowała mu żona w białym, przepisowym czepku.

Odwróciłam się za siebie...

- Bal, bal – cicho powiedziała do siebie córka zamkowego strażnika, wystrojona w różową, koronkową sukienkę.

- Bal – wzruszyła ramionami siwowłosa wdowa po królewskim skarbniku.

- Bal, bal – szeptała woda w studni...

- Bal – jaki bal? – spojrzałam na rozchodzący się tłum.

Twój herold właśnie wsiadał na konia. Spojrzał na mnie tylko przez chwilę, niby przypadkiem upuścił zrolowany papier – nawet się nie obejrzał.

Papier upadł na kamienie rynku. Podniosłam go szybko. Podnosząc się zerknęłam, czy ktoś mnie obserwuje. Nikt na mnie nie patrzył.

Już po wszystkim. Rozkaz odczytany. Nikt się nie zatrzymuje.

Przyciskam rulon do piersi. Idę w kierunku ratusza. Przechodzę przez rynek i schodzę nad rzekę, tam mogę wreszcie przeczytać, że organizujesz bal – mój Boże – w twoim pałacu, w stosownych strojach. To może być jakieś ograniczenie - może będę musiała poprosić wróżkę, aby mnie wspomogła, aby ubrała mnie w najpiękniejszą suknię jednym dotknięciem swojej czarodziejskiej różdżki.

Gdy wysiądę z czterokonnej karety służba będzie mnie prowadzić do pałacowej sali, a muzykę będzie słycać na zewnątrz.

Światła balowej sali były jasne tak jak najjaśniejsze słońce... Nie szłam korowodem ludzi jak wyobrażałam sobie – ale i tak zauważyłeś mnie – tak myślę... W prawej ręce trzymałam książkę. Na gościńcu było zamieszanie i moja kareta stanęła przed wjazdem do miasta. Dwóch mężczyzn szarpało jakąś kobietę. Spojrzałam na mojego milczącego, niewzruszonego stangreta – i otworzyłam drzwi. Może moja złość, albo moja wyczarowana przez wróżkę suknia zrobiła na nich wrażenie, że nie musiałam mówić ani słowa i puścili ją. Odwrócili się, zakleli i odeszli w stronę miasta. Kobieta stała z potarganymi, spadającymi na twarz włosami. Podeszłam do niej nie zważając na zabłocony gościniec. Kobieta oddychała

szybko, dotknęłam jej ramienia, była trochę ode mnie niższa... wtedy podniosła twarz. Patrzyłam na jej wyraziste oczy – kogoś mi przypominała...

- Nie mam jak ci podziękować panienko – wyciągnęła do mnie rękę z książką.

- Nie, nie... proszę, nie jest mi pani nic winna... odwróciłam się i ruszyłam do karety tym razem już starannie podnosząc jasną suknię do góry.

- Weź, pomogłaś sobie – jej tekst i cichy głos zdziwił mnie, obejrzałam się – wzięłam zawieszoną między nami w zmierzchowym powietrzu – książkę.

- Dziękuję, proszę na siebie uważać – powiedziałam zabierając książkę.

Dziwna kobieta została na drodze.

Gdy kareta ruszyła pokręciłam ze zdziwienia głową. Książka... to dziwne, kto daje obcemu człowiekowi książki... Było już dosyć ciemno – ale zbliżyłam ją do okna – miała granatową okładkę, gdy usiłowałam odczytać na niej wypukłe literki stangret krzyknął do mnie, że już mury miasta i nie wie jak dalej jechać.

- Pewnie, nic nie może być jak w bajce – pomyślałam zawiedziona.

Po kilku minutach zajechaliśmy pod pałac. Weszłam do środka... no i dalej już proste... stoję w świątłach balowej sali ściskając nieznaną mi książkę z granatowej okładce...

Gdy zobaczyłam ciebie, poczułam zawrót głowy.

Tańczyłeś z najpiękniejszą księżną, albo kimś takim... przepłynęliście obok mnie gdy ujęłam swoją suknię w dłonie. Gdy doszłam do pierwszego filara na sali balowej przypomniałam sobie, że mam wachlarz i mogę ochłodzić się, stanąć, nie przejmować się nikim... bo wszyscy nagle zaczęli patrzeć na mnie, czułam się źle... pewnie znają się tutaj na dworze królewskim doskonale... a ja jestem kimś zupełnie nowym. Moje zagubione spojrzenie zatrzymuje się bezradnie na tobie – twoi dworzanie uśmiechają się wtedy z lekkim zrozumieniem i politowaniem – znają przecież twoje niezliczone, miłosne przygody....

Gdy dotknęłam rozgrzanego policzka nie zauważyłam nawet, że podszedłeś do mnie.

Wtedy spojrzałam na ciebie... a ty na mnie – opuściłam oczy natychmiast przepisowo i chętnie, bo nie wiedziałam co można zrobić, gdy na mnie patrzysz tak uważnie...

Ukloniłeś się przede mną – pewnie prosisz mnie o taniec – domyślam się, pochylam głowę i podaję ci dłoń... Patrzę ci w oczy gdy podajesz mi rękę i obracamy się jak figurki w tańcu – światła wirują wokół mnie i suknie – piękne kolorowe suknie – obok mnie – cudowne kobiety – grzeczni mężczyźni... i ty... obejmujesz mnie śmiało – wirujemy na środku balowej sali – to przystoi jedynie królowi, albo księciu... na balkonie gra orkiestra, czarnowłosa dama zbliża się do nas, uderza mnie wachlarzem niby przypadkiem, spogląda tak, jak tylko zdenerwowana Hiszpanka potrafi... ale ty na nic nie zwracasz uwagi – dotykasz mojej odkrytej szyi i szepczesz mi do ucha - skąd jesteś, nie znam cię... dlaczego trzymasz w ręce książkę...

Zanim zdążę ci odpowiedzieć, że nie wiem, że nie mam jej gdzie zostawić, bo właśnie ze mną zatańczyłeś... bo jest mi droga... bo zdarzyła mi się w życiu nagle taka niespodziewana przygoda... jak ty... jak kobieta na gościńcu....

Dotykasz mnie delikatnie – moja suknia dotyka twojego uroczego ubrania, jeszcze minutę temu nie wierzyłabym, że to możliwe...

- Jesteś piękna, zostań tutaj na moim dworze – mówisz, ale za chwilę gasną światła i ja wiem, że muszę uciekać jak każda nieprawdziwa księżniczka... wysuwam dłoń z twojej i po omacku usiłuję wyjść z sali, ludzie krzyczą... rzucają się w tę ciemność rozpaczliwie, szarpiają moją suknię, wcale nie jest jak w bajce... wreszcie jestem na zewnątrz... moja kareta czeka – wsiadam z żalem – to koniec – właśnie teraz... teraz kończy się nasza bajka... Ty zostałeś na balowej Sali z niedopieczonymi księżniczkami w kolorowych sukniach...

I to już koniec, niestety... Najgorsze jest to, że zgubiłam moją granatową książkę... Co powiem kobiecie na gościńcu – jeśli ją spotkam w drodze powrotnej – myślałam gdy

wsiadałam do powozu. Ale droga była pusta i ciemna... Nikomu nie musiałam się tłumaczyć...

Nie wiem kiedy znalazłam się w moim domu, w mojej izbie – moje okno – z widokiem na morze.

Nie minął tydzień, gdy na rynek naszego miasteczka przyjechał twój herold – sąsiadka zapukała do mnie - okryłam się granatową chustą i na rynek poszliśmy razem.

Herold rozwinął arkusz z twoim rozkazem – że poszukuje się dziewczyny, takiej, a takiej - z książką, żeby ktokolwiek wie... moja sąsiadka popatrzyła na mnie z uśmiechem – a ona przecież nie wiedziała na pewno... to kto miał wiedzieć... Wszystkie plotki zaczynały się i kończyły u niej przecież!

Gdy wróciłam do domu – matka zapytała, co ogłosił król – odpowiedziałam jej, że to nic ważnego... szuka dziewczyny z balu...

- Z jakiego balu - matka niczego nie wiedziała – córeczko – a ty? – zapytała niepewnie.

- Ja byłam tam, ale niczego nie spodziewam się – mam... - odpowiedziałam jej szczerze.

W następnym tygodniu do naszej wioski przyjechali twoi królewscy żołnierze.

Na rynku zostawili konie...

Siedziałam przy oknie z książką – gdy weszli - wstałam. Miałam na sobie skromną szarą suknię i nad wyraz grzecznie zapięte włosy...

Królewski żołnierz - wysoki blondyn – spojrzał na mnie uważnie. Wiedziałałam, że patrzy jeszcze uważniej na moją książkę... mój Boże... Kładę ją na parapecie.

- Jaki tytuł miała tamta książka? – człowiek w ciemnym płaszczu patrzył na mnie uważnie.

Wycieram mokre od potu dłonie w jasnoniebieski fartuch.

- Nie wiem – mówię cicho.

- Musisz mi coś powiedzieć panienko, jeśli to ty, kiedy tańczyłaś z królem miałaś książkę - musisz o niej wiedzieć więcej – westchnął i zaczął grzebać w torbie.

- Ładna jesteś i taka spokojna – mogłabyś być tą, której szukamy – bo nasz pan, wybiera takie - machnął ręką zupełnie nieodpowiednio jak na sługę Króla.

Podniosłam brwi do góry – z dezaprobatą – jak można tak obgadywać pana.

- Dasz mi tę książkę? - żołnierz spojrzał na mnie uważnie.

- Przecież zgubiłam ją na balu, wasz Pan powinien ją mieć...

- Nie żartuj z nas – Pan kazał jej szukać i dziewczyny, która ją miała – żołnierz dodał za chwilę.

Nagle drzwi otworzyły się i do środka wpadł wójt – nasz wójt z czerwonymi policzkami, dużym wąsem i donośnym głosem...

- Moje córki czekają – panowie – zawołał stanowczo... i niecierpliwie...

Spojrzałam na żołnierzy z uśmiechem. I pewnie ich cała skromna, niestety biblioteka, też na was czeka – pomyślałam, przepraszam za to, złośliwie.

Pierwszy żołnierz ruszył w stronę drzwi – ale drugi doszedł do mojej półki z książkami.

- Jak znajdziesz właściwą, skoro właśnie ja jej nie znam... znalazłam ją przypadkiem, a miałam na balu, nie znałam jej tytułu, a potem musiałam uciekać bo tak jak w bajkach bal kończy się nagle dla Kopciuszka...

- Co ty mówisz panienko? – żołnierz obejrzał się od drzwi...

- Mówię prawdę – nigdy nie znajdziecie tej książki, a jeśli ktoś was oszuka – albo wasz pan rozkaże aby ją koniecznie odnaleźć to będzie to tylko kolejne oszustwo.

- Skąd wiesz? – zapytał poważnie żołnierz.
- Skąd wiem? – westchnęłam. Bo - to ja tańczyłam z królem – pochyliłam głowę – poczułam, że lży pieką mnie pod powiekami.
- Wszystko na tym świecie jest teatrem, nie czekajcie na więcej – powiedziałam.
Żołnierze spojrzeli na siebie zdziwieni. Ruszyli w kierunku wyjścia. Na pewno z córkami wójta porozumieją się lepiej – pomyślałam.

Kadzidło pachnie jak twoja jasnoniebiesko-ciemnoczerwona apaszka – moja pani z obrazka... To pewnie drogie perfumy i jakieś eleganckie papierosy. Tajemnicza kobieta przechodzi obok mnie.

Na przyjęciu tłum różnokolorowy, nawet nie wiem gdzie jest pani domu-moja koleżanka a przecież niedawno witała mnie, taka śliczna.

Jej mąż – skrzypek – wielce utalentowany – właśnie zaczyna grać – wszyscy go prosili o krótki występ... Staję przy kelnerze, który szybko podaje mi szampana, kątem oka widzę jak zamykasz małą, gustowną torebkę – wkładając do niej śliczną haftowaną chusteczkę.

Popijam sobie szampana i trochę zaczyna mi się kręcić w głowie, bo jestem już po niezłej dawce czerwonego wina... a ty - ty jak zwykle przytomna - przeciskasz się przez tłum i przechodzisz obok mnie – czuję ten cudowny zapach – to herbaciana róża na pewno – albo miłość – tak szepcze mi na ucho mój anioł. No tak – to bardziej pewne.

Pan domu – skrzypek – gra najlepiej jak umie. Na fortepianie leży jakaś książka – na dłuższy czas przykuwa mój wzrok. Przy ogromnej palmie – siedzi śliczna pani domu i patrzy z uwielbieniem na męża – a może tylko wyćwiczyła taką uroczystą minę u siebie.

Nagle, tajemnicza kobieta wychodzi z pierwszego szeregu w stronę grającego pana domu – podchodzi do fortepianu – piękny, prosty kapelusz zasłania jej twarz – pani domu trochę zaniepokojona patrzy na nią - skrzypek też na moment, gra tylko dla niej – bo patrzy na jej postać – a ona – ona zabiera książkę z fortepianu. Spoglądam na gości, tak naprawdę niewielu z nich wie co się dzieje, tylko kilka osób w pierwszym rzędzie spogląda na kobietę z wyraźną dezaprobatą – że przeszkadza.

Jej ciemna suknia zlewa się z okładką książki, którą bierze do rąk. Szybko wchodzi w tłum gości i znika.

Nagle staje się rzecz niespodziewana – pan domu skrzypek przestaje grać – zwraca się do swojej uroczystej żony mówiąc dość głośno.

- Kochanie – co się dzieje?

Moja śliczna koleżanka zrywa się na równe nogi – i wchodzi w tłum za tajemniczą kobietą – ale ona już jest daleko – goście zaczynają trochę sobie szumieć – jak to goście – po co dali im wino i szampana – teraz bawią się w najlepsze... i wcale nie słuchają utalentowanego skrzypka, samego pana domu – bo właściwie wcale go nie słuchali – tylko tak stali w nabożnej w ciszy może w podziękowaniu za zaproszenie na to wspaniałe przyjęcie.

Jakieś drzwi trzasnęły – a może tylko wydawało mi się.

Zaczynam iść w stronę wyjścia – chociaż zauważam jak mąż mojej ślicznej koleżanki, doskonały skrzypek, patrzy z niedowierzaniem na zamknięte wieko fortepianu, na którym leżała jeszcze niedawno książka, której okładka tak doskonale pasowała do sukni tajemniczej kobiety.

Wreszcie doszedłem do korytarza i zobaczyłem moją śliczną koleżankę, która uśmiechnęła się do mnie, zmieniała właśnie buty – wysokie, srebrne szpilki na jakieś półbuty....

Wtedy postawiłem pusty kieliszek po szampanie na półce – wychodzisz? – zapytałem.

- Tak – chcę zobaczyć – gdzie podziała się ta dziewczyna z książką.

- Widziałaś ją?

- Właściwie nie dość dobrze.

Wyszliśmy razem – odwróciłem się do niej, bo czułem, że jest jej zimno – może weźmiesz płaszcz?

Spojrzała na mnie dotykając ramion w jasnoniebieskiej sukni – piękna i trochę wystraszona – wezmę – poczekaj.

Za chwilę trzasnęły za nią drzwi – wtedy poczułem chłód, ale ja nie wróciłem po swój płaszcz. Na ulicy padał deszcz – zmrużyłem oczy – wtedy pojawiła się moja śliczna koleżanka – mój Boże żebym tylko pamiętał jej imię, albo imię jej utalentowanego męża, przecież wcale się nie śmieję żebym tylko umiał zacząć tę nonszalancką i grzeczną rozmowę...

Na ulicy jest ciemno – trochę wilgotno, po niedawnym deszczu – za mną trzasnęły drzwi – obok mnie staje moja koleżanka –

- Pewnie nie pamiętasz mojego imienia? – mówi do mnie niespodziewanie.

Kiwam głową w zakłopotaniu.

- Eleonora – uśmiecha się do mnie trochę drwiąco.

Spojrzałem na nią – pewnie zorientowała się, że nie dowierzam – któż to dzisiaj może mieć tak uroczyście na imię.

- Możesz tak do mnie mówić... Znasz tę dziewczynę?

- Nie znam, ani nie mogę ci powiedzieć gdzie nie mieszka, ani gdzie poszła – znam ją tylko troszkę – wiem jak pachnie i wiem, że pali eleganckie papierosy – cieniutkie jak...

- Wiem, nie musisz mi wyjaśniać, ja też takie palę...

- No właśnie – dlaczego twojego męża zdenerwowała ta książka – powiesz mi co to jest, jaka to książka...

- Właściwie nie wiem – mój mąż swoje recitale przygotowuje sam i nie wiem co mu przyszło do głowy, aby na fortepianie położyć tę dziwną książkę. Nie wiem nawet skąd ją ma.

- Mhm – mruknąłem.

Szliśmy obok siebie przez chwilę. Ulica była ciemna, mgła czyniła ją tajemniczą, a wiatr hulał jak w bajkach – latarnie zapaliły się, a ja poczułem się jak w bajce Andersena...

Życie jest bogatsze i dziwniejsze niż bajki, więc tuż przed nami zatrzymał się jakiś pojazd. Przypominał starodawną karetę. Staaliśmy z moją śliczną koleżanką Eleonorą w osłupieniu.

Kareta stała – konie niepokoiły się, woźnicy nie było widać pod skórzanym, ciemnym płaszczem... Zrobiłem kilka kroków w kierunku powozu, Eleonora nie poruszyła się.

Gdy podszedłem do okna karety firanka uchyliła się – zobaczyłem jasną plamę jakiejś twarzy – drzwi uchyliły się nieznacznie, także mogłem słyszeć dziwny, cichy – niewątpliwie kobiecy głos.

- Muszę odjechać... powiedziała kobieta z karety.

Podszedłem blisko ledwie uchylnych drzwi.

- Dlaczego? – odważyłem się szepnąć cicho.

- Zabieram książkę – nie martwcie się – kobiecy głos był teraz stanowczy.

- Znam tylko jej okładkę... dlaczego książka jest taka ważna- zapytałem po chwili.

- Nikt nie wie o niej więcej, niż powinien...a ponieważ albo ja źle wybierałam tych, którzy ją dostawali, albo wszyscy jesteście podobni, życiowi nieudacznicy bez cienia wyobraźni. Pierwsza była dziewczyna – kochała ponad miarę, nie mogła jej mieć...bo karty książki niszczą się gdy ktoś tak płonie... - kobieta powiedziała cicho.

- Czyżby też płonęły? – zapytałem trochę drwiąco.

Kobieta milczała – zaczęła mówić po chwili.

- Potem był chłopak, gdy ją znalazł – zachwyił się piękną okładką, postanowił ją dać komuś kogo bardzo kochał, ale zanim do niej zajązwał położył ją na szafie w swoim pokoju. Potem odjechał stąd i zapomniał o książce... zapomniał też o tej, którą kochał nad życie... może dlatego jego życie już nie jest Życiem. To tylko praca, dzieci, rodzina i OBOWIĄZEK.

Potem książkę dostał skrzypek, który... każdego wieczoru gładził jej granatową okładkę i nigdy nie był gotowy, aby przeczytać chociaż jeden wiersz... zadufany w sobie... musiałam mu ją odebrać.. a myślałam, że artysta będzie najlepszym wyborem... – kobieta zamilkła.

- Ale gdzie on ją znalazł?... zapytałem.

- Jak to gdzie – ta książka zawsze leży na gościńcu... nietrudno ją znaleźć...

- No nie żartuj – teraz już nie ma gościńców... zdziwiłem się.

- Zawsze jest droga, zawsze... jest jakiś gościniec – każda droga nas gości prawda? Co innego robisz idąc – idąc przez pola, po piaszczystej drodze, idąc alejami świetlistymi jak rozjarzone reklamy mijanych sklepów... wszędzie może być droga – kobiecy głos był jakby niecierpliwy.

- Więc ta dziewczyna... to ty... zamyśliłem się.

Usłyszałem jej cichy śmiech.

- Mogę być każdą osobą – to nie jest trudne - ja wiem – dla was ludzi to dziwne – wy kochacie tylko swoją zewnętrzną powłokę, bo jesteście w ogóle krótkotrwali... ale można być każdym... nie ma to znaczenia – jesteś duszą, jesteś kimś kogo akceptujesz albo nie – kogoś kochasz – albo nie... bardzo proste, ale nie bezbolesne, niestety... - głos kobiety był trochę rozbawiony.

- No tak – masz zupełną rację – przytaknałem jej.

- Dzięki, że się zgadzasz – co za cud... Muszę zabrać książkę - nie jesteście jej warci – drzwi karety zaczęły się przymykać.

- Co to za słowa, nie żartuj... a zresztą, skąd wiesz – ja właściwie nigdy tej książki nie chciałem, nigdy o niej nie wiedziałem. Myślisz, że to jakiś sens – jak mówisz – zabiorę wam coś, co dla nas chyba nie ma wartości, nie gniewaj się, ale tak jest – może tego nie rozumiemy, zresztą nigdy nie dałaś jej mnie – a Eleonora – pokazałem brodą moją cichą towarzyszkę... może ona jest jej warta...

- Może - wydawało mi się, że drzwi powozu otworzyły się szerzej...

Może chciała spojrzeć na Eleonorę, która wyglądała teraz zjawiskowo w świetle latarni.

- Powiedz mi – co to za książka – jakaś bardzo międzynarodowa – tylko nie mów, że Biblia lub Koran... - mruknąłem.

- Dlaczego... boisz się oczywistości?

- Może – nie chcę aby to było takie jak sobie wyobrażam... zresztą wszyscy je wymieniają kiedy jakiś inteligentny redaktor w telewizyjnym programie zapyta sławę wszechczasów albo jakiegoś innego idola... co zabrałby na bezludną wyspę. Wtedy – aby nie wyjść na głupich – zazwyczaj wymieniają biblię...

- Naprawdę, wiesz zadziwiłem mnie... Ale to nie jest taka książka - każdy z was może mieć coś czego pragnie – nie wierzysz – że mogę to dać.... Dlatego tego nie pragniesz, boisz się tego chcieć...

- We wszystko wierzę... odpowiedziałem, ale już mniej odważnie.

- Naprawdę? To wsiądź – drzwi karety otwierają się szerzej... nawet przez moment widziałem chyba szczupłą rękę w długim, granatowym rękawie.

Nawet nie oglądam się za siebie... wiatr wieje i jest mi zimno, tak dobrze byłoby wsiąść, schronić się w ramionach tej kobiety – musi być piękna, zresztą jeśli naprawdę może być tym kim chce – to na pewno będzie najpiękniejszym wyobrażeniem dla mnie – zakocham się od razu... i co dalej...

Życie ma tyle kolorów - poważne miny i płacz i smutek i śmiech... muzykę, wiersze - nie wierzę... nie wierzysz? Pewnie – trudno w to uwierzyć!!

Bo życie to tylko zwykły ruch krwi – żyły - tętnice- przedsionki – komory – krwinki...

Ale życie – to też oddech – wiatr – otwarte okno – spojrzenie – dotyk – skóra gładka – dziewczyna – jasne włosy... morze...

Białe karty książki nie są jednakowe, nigdy nie były i nie będą...

Będą cię tylko zwodzić i mylić. Bo wszechświat jest niejednakowy.

Księga – jednoznaczny symbol - właściwie symbol czego? – to tylko nasz ludzki znak mądrości... A mądrość to co... Nic... tylko wyobrażenie.

Kiedy pojedziesz nocą przed siebie – poczuje pustkę - wszędzie – dookoła mnie – we mnie, pustkę jak czarna chusta ścielącą się po wieczornych polach...

Okrywam się szczelniej marynarką, pada deszcz, całe szczęście, że nikt nie widzi moich zaciśniętych w kieszeniach rąk. Nie wiedziałbym co powiedzieć, jak zareagować...

I nagle gdy szybko przechodzę przez ruchliwą ulicę czuję zawrót głowy... muszę szybko dojść do chodnika... Co to może być, czy nie jestem chory? Może nie, może to... Szczęście.

Szczęście – może wisi w wilgotnym powietrzu – jak wieczorne latarnie.

Szczęście – to coś całkiem niedużego... prawda?

Szczęście – marzenia we śnie – jeśli nie śnią się koszmary, jak zwykle...

Trzymasz książkę I WĄTPISZ WE WSZYSTKO... zamykam oczy i dotykam twoich dłoni – nie poruszasz się... No i jak jest lepiej – lepiej? Czy inaczej?

Jeśli na mnie poczekaasz, noc się wyjaśni – dzień zacznie żyć – wtedy pójdę przed siebie.

Księga... otworzysz książkę...

Twoja skóra, twoje serce... twoje tysiąc powodów...

Białe karty nie są jednakowe, nigdy nie były i nie będą...

Będą cię tylko zwodzić i mylić. Bo wszechświat jest niejednakowy.

Ale pozwolisz mi czekać, nie odbierzesz mi nadziei?

Nie przejmuj się moją egzaltacją. Nie znalazłem cię tyle lat... Ale to w moim życiu coś załamało się i może to przypadek, że od zupełnej pustki uratowała mnie twoja granatowa książka...

Wszystko w nas miesza się i wzbiera. Żyjemy w jednym świecie. Niczego nie uczymy się na pamięć. Jak niesforni uczniowie ciągle mamy problemy z zapamiętaniem czegokolwiek, a odpowiedzi na stopnie marnie nam wychodzą...

Ale jest książka... otworzysz książkę, w której białe karty nie są jednakowe, nigdy nie były i nie będą, ale gdy ją czytasz jest ci łatwiej, łatwiej, kochanie, płynąć przez morza i przemierzać dalekie krainy...

Nie moja pani, wybac mi tę chwilę milczenia, wahania - jeśli wsiądę do twojego powozu - nigdy nie przeżyję mojego życia, będę ciągle czytał twoją książkę w granatowej okładce...

- O, dobrze ją pamiętasz... kobieta przez moment pokazała swoją twarz w szybie...

- Wybac mi, bo przecież nie powinienem ci odmawiać – kobiecie nie odmawia się...

- Nie przejmuj się, zadziwiłeś mnie swoim tekstem... Wracaj do Eleonory – ona marznie – drzwi zatraskują się - wracaj zanim się rozmyślisz, to naprawdę proste... zostać...

Powóz odjeżdża, a ja nie odwracam się...

Nie odwracam się i natychmiast zaczyna się deszcz.

Myślę sobie – niech ona podejdzie, niech mnie obejmie – może zacznę jakiś nowy romans – zawsze podobała mi się...

Ale stoję, wilgoć jest nieznośna – odwracam się... latarnia ledwie świeci we mgle. Jestem sam. Nikogo nie ma oprócz mnie. Odwracam się – szukam Eleonory...

Mglana cisza trochę przeraża mnie – bo nie wiem czy coś się stało – czy znudziła się i poszła... wróciła do domu, do swojego męża, zarozumiałego skrzypka, który miał ostatnią możliwość otworzenia tajemniczej, granatowej książki...

Na ulicy jest cicho, nikt nie jedzie – latarnie świecą – a moje buty są zupełnie mokre – w niczym nie przypominają kaloszy szczęścia...

Bo cóż to jest szczęście – tylko jakaś zamglona przestrzeń...

No i życie to bajka - król z trudnym charakterem pokochał zwykłą dziewczynę – znalazł ją w domu przy rynku – w niewielkim miasteczku... ożenił się z nią... ustatkował się - przytył... już wam nawet nie wspomnę, że była to jedna z córek wójta, która była posiadaczką, rzekomej, tajemniczej książki – król uwierzył, że tańczył z nią na balu i od kilku lat stanowili zgodne stadło... Jaki świat jest tajemniczy – Pewnie wcale nie byłoby dobrze naszej pięknej dziewczynie, która wyratowała dziwną kobietę z rąk jakichś rzezimieszków – i dostała od niej granatową książkę... Król był przecież człowiekiem nerwowym, srogim i naprawdę mało inteligentnym... ot taki hulaka zwykły – czas spędzał na polowaniach i zabawach często organizowanych w królestwie. Cóż zobaczyła w nim nasza młoda dama, która tańcząc z nim przed północą jak Kopciuszek zakochała się ślepo..

Ślepo, bo jak inaczej nazwać ten stan – król nie obgadując go – był nieciekawym mężczyzną...

Ale życie to bajka... jak już powiedzieliśmy, ponieważ książka mogła ich połączyć – dziewczyna musiała ją zgubić, aby nie cierpieć już więcej...

Życie też wymyka się czasami niestety bajkowej scenerii – przy ryneczku małego miasteczka – mieszka siwa już dzisiaj kobieta – często siada przy oknie, szydelkuje – patrzy przed siebie pięknymi, bladoniebieskimi oczami – wspomina królewski bal... czasami na rynek przybywa królewski herold - jak zwykle odczytuje rozkazy... Wtedy kobieta zasłania okno, wieczór przyżywa cicho i jest ukojeniem jej długiego, smutnego dnia...

Może ktoś w bajce o czymś zapomniał? Dlaczego dziewczyna-staruszka ciągle wspomina króla?

Bo taki bal był tylko jeden. Wszyscy przyjechali, a kolorowy korowód wystrojonych postaci nie miał końca. Przyjechała też dziewczyna, ale król nie poprosił jej do tańca ani do rozmowy. A ona miała takie życzenie, aby tam być i patrzeć na króla..

*Moje serce jest jak trójwymiar, jak **myspace** in your heart, zupełnie jak moja życiowa przestrzeń – w twoim sercu.*

Czy to zbyt wiele?

To tylko bal, wybacz...

Bal, bal – szeptała woda w studni...

Spotkanie

To ty, naprawdę? – mężczyzna spojrzał na kobietę przy lodówce z jogurtami. Miał ręce zajęte jakimiś paczkami. Market przed świętami, jak zwykle pękał w szwach od niewiarygodnego, rozwydrzonego zakupami ponad miarę, tłumu. Kobieta odwróciła się. Miała krótkie, jasne włosy, duże ciemne oczy i jasnoróżowy берет. Patrzyła na niego zdumiona, ale wydawało się, że wie, kim on jest.

- Zgubisz берет – pokazał brodą i uśmiechnął się.

Zdjęła берет i wrzuciła go do koszyka. Była tam już jakaś woda mineralna i pudełka z ciastkami.

- Dzięki, dobrze, że się spotkaliśmy, bo naprawdę bym go zgubiła – mruknęła niegrzecznie i odwróciła się do lodówki. Zaczęła przyglądać się jogurtom, podnosząc co chwilę któryś do oczu.

Mężczyzna westchnął.

- Do licha, przecież nic się nie stało, po prostu cię zauważyłem – poprawił wypadające z rąk paczki.

- Weronika – powiedział wyraźnie jej imię.

Boże jak dawno go nie wypowiadał na głos, jak dawno jej nie widział... - pomyślał.

Odwróciła się niecierpliwie.

- Chyba wystarczająco długo tu stoisz, twoja żona będzie zaniepokojona – rzuciła na niego krótkie spojrzenie.

- Skąd wiesz? – jakiś mężczyzna potrącił go - ej ty, uważaj – mruknął wściekły.

Wybrała jakieś serki i jogurty, włożyła do wózka i zaczęła jechać w kierunku drugiego regału.

- Weronika, zaczekaj – zawołał.

Uśmiechnęła się pod nosem.

- Po co? – odwróciła się i spojrzała na niego.

Kiedy był ten dzień, gdy patrzyła na niego po raz pierwszy? Jej oczy... zawsze myślał, że ze wszystkich dziewczyn, które znał – to ona miała niewiarygodnie metafizyczne oczy... To jest określenie – pochwalił się w myślach zadowolony.

Gdy patrzyła na niego, na jego paczki, nieporadnie poprawiane w rękach... wyciągnęła rękę do niego i wzięła jedną paczkę.

- Uważaj, upuścisz ją – spojrzała na pudełko.

- Widzę, że kupujesz jej wykwinną bieliznę, tak trzeba... żony to lubią, przynajmniej tak jest w serialach – powiedziała wyniośle.

- Przestań, Weronika, przecież naprawdę cieszę się, że się spotkaliśmy – obejrzał się za siebie nagle.

- No dobrze, ale teraz już musisz wracać - położyła biało-różową paczkę z wykwinną bielizną - na wierzchu piramidy, którą trzymał.

- Daruj sobie ten ton surowej mamusi – mruknął.

- Popatrz, kłócimy się po – zmarszczyła brwi – po piętnastu latach – czy to nie jakiś fenomen?

Odwróciła się i odeszła pchając przed sobą marketowy wózek. Ludzie szybko zaczęli pochłaniać jej sylwetkę, za chwilę prawie już jej nie widział.

Zaczął iść za nią, tak szybko jak był w stanie. Zastanawiał się, gdzie może być Basia, ale ona pewnie się nie nudzi w markecie, zresztą wybierały z Moniką zabawki.

Weronika miała na sobie jasny, zimowy płaszcz, przewiązany paskiem. Była szczupła. Zawsze była zgrabna - pomyślał z uznaniem. Zachowuję się jak głupi samiec, który jest zadowolony, że kiedyś... był z ładną kobietą...

Weronika zauważyła, że jest znów blisko niej.

- No co, Romeo? – zapytała złośliwie.
- Nie bądź taka szydercza, nigdy taka nie byłaś – powiedział spokojnie.
Stała chwilę patrząc na niego w zamyśleniu.
- No dobrze, wrzuć te swoje paczki tutaj i opowiadaj co u ciebie, bo nie odejdziesz zanim się tym nie pochwalisz - pokazała na swój koszyk.
Chwilę zastanawiał się, kiwnął głową i zaczął powoli wkładać paczki, Weronika pomagała mu. Przez chwilę znów byli jak dawniej – mąż i żona na zakupach przed świętami Bożego Narodzenia.
Wyprostował się, poprawił kurtkę.
- Nie zmieniałaś się wcale – powiedział ciepło. Chciał tak powiedzieć.
- Tak się mówi, zazwyczaj – spojrzała na niego z uśmiechem.
- No to jak? Żona? Dzieci? – powiedziała głośno.
- Tak... potwierdził tylko.
- Nie bądź ironiczna, przecież ty też nie jesteś sama – odważył się na pierwszy dzisiaj atak.
Roześmiała się.
- Tak masz rację – spojrzała na niego śmiało.
- To udało nam się, to dobrze – podrapał się po policzku.
Jej uśmiech zamarł.
- Udało nam się, ten barwny rozwód uważasz za coś co NAM się udało? Może z moim Patrykiem jest OK, z twoją Barbarą... ale nam, Misiu, nic się nie udało... wszystko zawaliliśmy... żadna romantyczna historia... Weronika była wściekła.
Pochylił głowę.
- Masz rację, jasne, przecież wiem... szepnął.
- Wiesz? Ile razy można być szczęśliwym, jak myślisz? Jeden? Dwa? Czy tysiąc razy? Myślisz, że nic to dla mnie nie znaczyło? – Weronika była spokojna gdy to mówiła.

*Pan Kostrzewski proszony jest do stoiska numer 9 – powiedział marketowy głośnik.
Powtarzam... Pan Kostrzewski...*

Kobieta w granatowym płaszczu potrąciła Weronikę.
- Ale tu pani stanęła, nie powiem – prychnęła wściekła.
Stali przez chwilę bez ruchu.
- Twoja żona – powiedziała Weronika patrząc gdzieś przed siebie.
- Skąd ją znasz? – zapytał zdziwiony.
- Z telewizji, występowaliście w programie... chyba „Ciche życie artystów” – czy coś takiego...
- Cześć – Barbara wyciągnęła rękę.
- Jak się masz – Weronika zdjęła rękawiczkę.
Barbara popatrzyła na nich, na koszyk Weroniki.
- Przekładamy coś? Widzę, że to nasze paczki – Barbara powiedziała rzeczowo i spokojnie.
- Tak – potwierdził roztargniony.
Posłusznie zaczął układać paczki w koszyku Barbary.
Monika podbiegła i niespodziewanie złapała go za rękę.
- Mam cię, już mi teraz nie uciekniesz – uśmiechnęła się radośnie. Miała krótką, kasztanową kitkę spiętą zieloną gumką i rozświetlony uśmiech.
- Tak, kochanie – powiedział do córki.

Przy kasie Weronika pomachała do Barbary, która ustawiła się w kolejce.
- Gratuluję książki, widziałam film o tobie, o was... - Weronika powiedziała do niego odchodząc.

- Wiesz jak jest z takimi filmami, to tylko promocje – schylił głowę jakby w zawstydzeniu.

- Nie, dlaczego... ładny dom, kwiaty, twój gabinet, jej ogród, wasze dzieci. Romantyczna historia – ten wasz związek, nie wiedziałam, że przyjechała do ciebie, specjalnie, tak daleko... powiedziała nie patrząc na niego, poprawiając torbę z proszkiem do prania.

- Zapamiętałaś to głupie zdanie? – spojrzał na nią.

Zamilkła.

- Myślisz, że było głupie? – zastanowiła się.

- Ten reporter nie wiedział, że byłem wcześniej żonaty – westchnął właściwie z ulgą.

- Wiesz, co powiedziała, jakby to wiedział?... uśmiechnęła się - że w ogrodzie hodujesz pawie i piszesz tylko czarnym atramentem... bo miłość nigdy nie przemija, jest jak choroba i jej zarazki przechodzą na innego osobnika... - Weronika poprawiła włosy i mrugnęła filuternie.

- Cześć, Misiu, życie ciągle jest – szepnęła cicho nachylając się nieznacznie do niego.

Mikołaj w czerwonym płaszczu, z białą, długą brodą przejechał na wrotkach – potracił ich oboje. Weronika zniknęła w tłumie.

- Daj mi kartę – usłyszał głos Barbary. Sięgnął do portfela z roztargnieniem, podał jej bankowy kartonik.

- No popatrz, cała rodzina spotkała się przed świętami, twoje dwie żony i córka, ale przypadek.... Jest ciągle piękna... – Barbara mruknęła ironicznie – pakując wszystkie zakupy do koszyka.

Odwrócił się bez słowa chowając kartę do portfela.